

Marian Golka



Pocztówki z Europy

## Pocztówki z Europy



Marian Golka

## Pocztówki z Europy



Leszno 2011

©Copyright by Marian Golka 2011

Pierwsza strona okładki przedstawia zdjęcie rzeźby Anny Chromy na Placu Vendôme w Paryżu w 2005 roku.

Redakcja: Paweł Zajadacz

Skład i druk: Drukarnia Leszno, [www.drukarnia.leszno.pl](http://www.drukarnia.leszno.pl)

ISBN: 978-83-61876-36-6

(Wydanie drugie - poprawione)

Wydawnictwo Wyższej Szkoły Humanistycznej im. Króla Stanisława Leszczyńskiego  
w Lesznie

ul. Królowej Jadwigi 10

64-100 Leszno

[www.wsh-leszno.pl](http://www.wsh-leszno.pl)

## Spis treści

Od autora.....	7
Francja .....	8
Paryż .....	9
Lazurowe Wybrzeże.....	15
Prowansja .....	25
Bretania .....	44
Tu i tam .....	53
Hiszpania .....	59
Portugalia.....	77
Anglia.....	91
Beneluks.....	95
Szwajcaria .....	102
Skandynawia .....	112
Kraje Bałtyckie .....	121
Ukraina .....	128
Rumunia .....	138
Grecja .....	147
Bałkany .....	163
Włochy.....	183
Rzym .....	184
Toskania .....	188
Umbria .....	206
Lombardia i Emilia-Romania.....	214
Sycylia.....	224
Z północy na południe.....	234
Tu i ówdzie w Europie Środkowej.....	250



## Od autora

Dziś już niemal nikt nie wysyła z podróży pocztówek. Owszem, piszemy SMS-y, e-maile, niektórzy piszą blogi – tylko nie pocztówki. Kartki pocztowe są jeszcze drukowane, zresztą coraz ładniejsze. Są dostępne w każdym mieście, gdzie mogą pojawić się przyjezdni. Im większe czy bardziej atrakcyjne miasto, tym większa ich oferta. Są też kupowane, jednak bardziej jako pamiątki mające uzupełnić fotografie niż jako obiekty, na których dzielimy się ze znajomymi naszymi wrażeniami z podróży, przesyłamy im pozdrowienia czy po prostu chwalimy się tym, że jesteśmy w jakimś ciekawym miejscu.

Ja sam także nie wysyłam już kartek pocztowych z podróży. Trochę z lenistwa, a trochę dlatego, że przestałem wierzyć, iż jeszcze ktokolwiek ich oczekuje. Tymczasem pozostało jakieś pragnienie podzielenia się wrażeniami czy choćby jakiegoś ich utrwalenia.

Przedstawione tu impresje są lakonicznymi zapisami tych odczuć, które pojawiały się podczas pobytu w różnych miejscach i w różnych latach. Ich skrótowość wynika z przekonania, że obszernych przewodników, wspomnień czy blogów jest na tyle dużo, iż nie sposób z nimi konkurować. Stąd chęć zamknięcia wrażenia w takim skrócie, żeby utrwaliła się w nim odrobina pamięci i kropla poezji.

Oczywiście każdemu ze wspomnianych dalej miejsc można by poświęcić całą książkę. I tak zrobiłem – tyle że w wyobraźni. A potem ponownie zamknąłem wrażenia w kilku czy kilkunastu zdaniach.

Ta książka o „widzialnych miastach” powstała więc niejako w zastępstwie niewysłanych pocztówek do bliskich, do przyjaciół, do znajomych – a może najbardziej do siebie samego.

## Francja

Francję obdarzyć można wieloma przymiotnikami: piękna, interesująca, bogata, powabna, czarująca, otwarta i gościnna. Bo też i Francja hojnie obdarza podróżnego wieloma darami: naturą i historią, urodą i sztuką, życzliwością i wdziękiem. Przybysz nie staje się tu tubylcem, bo nigdzie nim się nie staje, jednak czuje się tu swojo, niemal błogo. I jeżeli nie może wziąć sobie na własność wszystkich darów Francji, to może sobie je wypożyczyć.

## Paryż

Marzenie, tęsknota, mit. Tak wspaniały, że jego spełnienie może przytłoczyć, jednak nigdy rozczarować. Nie łatwo o nim myśleć, gdy jest się daleko, jeszcze trudniej pisać. Najlepiej tu być – lub choćby bywać. I zamieniać ten mit w codzienność. Aż do znudzenia – choć nigdy złudzenia.

## Paryż na początek



Tu potwierdzi się każdy mit i spełni każda tęsknota.

To nic, że nie wszyscy bukiniści nad Sekwaną sprzedają książki intelektualistom, lecz proponują gadzety turystom. To nic, że teraz na Montmartrze jedyni artyści, to artyści biznesu. To nic, że teraz i na Polach Elizejskich można zjeść hamburgera. Mimo tego wszystkiego, Paryż i tak jest miastem niezwykłym.

Oczywiście Paryżów jest wiele. Nawet jeżeli często się tu bywa, to i tak odkrywa się ich kilka, może kilkanaście. Ale i tak pozostanie wiele innych, nierozpoznanych. Paryż to uwertura, którą można czytać na różne sposoby. I do której ciągle trzeba zaglądać poprzez częste powroty. Łatwo uzależnić się od tego miasta, bez którego trudno potem żyć. Na szczęście Paryż, podobnie jak Rzym, to miasto „otwarte”.

Najlepiej zacząć poznawać to miasto od porannej kawy wypitej na najbliższym rogu ulic. Jej zapach będzie potem przewodnikiem po mieście.



Choćby się tylko przebiegało paryskie muzea, to przez pełen miesiąc można jedynie zobaczyć te najważniejsze. Nie wiadomo, czy jest inne miasto na świecie, gdzie byłoby ich więcej, a tu ciągle otwierane są nowe. Przyjezdni mają zazwyczaj jedynie czas, by zobaczyć Luwr, d'Orsay czy Beaubourg. Bardziej zainteresowani docierają do muzeum Rodina czy Picassa, niektórzy też do muzeum erotyzmu. A co z setką innych? Czekają na bardziej wytrwałych.

A do tego setki galerii, w których można kupić wytwory najwyższej klasy artystycznej. Są w Paryżu ulice i miejsca, gdzie są niemal same galerie sztuki (np. Rue Quincampoix, arkady Palais Royal czy Place Vosges).

To miasto jest hojne. Niemal na każdym placu, skwerze czy w każdym zaułku zobaczyć można całe wystawy rzeźb – zarówno dawnych, jak też współczesnych. Zmieniają się one co pewien czas, tak więc przyjeżdżając tu po raz któryś, zostaniemy zaskoczeni czymś nowym.

Nie ma też chyba innego miasta na świecie, w którym odbywałoby się tak wiele małych spektakli ulicznych, a przede wszystkim koncertów różnych zespołów. Spotyka się grających nad Sekwaną i w dzielnicy łacińskiej, spotyka się ich na Montmartrze i w metrze.

To otwarta akademia sztuki, w której przechodnie są radosnymi studentami.

## Paryż architektoniczny



Można sobie wyobrazić bardzo piękną kobietę w dobrze skrojonej i eleganckiej sukni, która nałożyła na siebie arcydzieła sztuki jubilerskiej. Taki właśnie jest Paryż. Jego kamienice z białego piaskowca, z powtarzającymi się cynowymi dachami i kutymi kratami balkonów stanowią tło, na którym wyeksponowane są budowle średniowieczne (katedra Notre Dame, St. Chapelle, St. Germain), renesansowe (Place des Vosges), barokowe (Place Vendôme). Dziewiętnastowieczne bulwary i ulice, pałace i banki, nie muszą wstydzić się przy budowlach z dawnych epok, a ich wyniosłość dosłownie i w przenośni podkreśla wieża Eiffle'a.

Paryż jest odważny architektonicznie: Centrum Pompidou, postmodernistyczne budowle w dzielnicy La Defense oraz szklana piramida przed Luwrem są wyrazem nie tylko odwagi, ale też wyrafinowania oraz wdzięku.

Rozległe przestrzenie – place, szerokie bulwary, dolina Sekwany – sprawiają, że Paryż nie kryje swych wdzięków. Przeciwnie, ukazuje je z filuternym uśmiechem damy, która wie, że jest piękna, może najpiękniejsza, i która wie także, że się podoba. Warto tam bywać choćby dla rozkoszy patrzenia.

Paryż jednak nigdy nie odda się przybyszowi cały.



Do Paryża przyjeżdżali i nadal przyjeżdżają przybysze z całego świata: z Europy, z krajów arabskiego Maghrebu, z czarnej Afryki subsaharyjskiej, z Azji, a nawet był czas, że z Ameryki – jak na przykład Ernest Hemingway.

Paryż przyciąga robotników i artystów, kloszardów i filozofów, modelki i prostytutki. Do pewnego czasu wszystkim tu było dobrze. Gdy niektórzy przybysze – głównie z Afryki – zaczęli w pewnych dzielnicach dominować, dawna harmonia uległa zachwianiu. Na szczęście, ciągle trwa.

Ale Paryż jest nieustannie kolorowy i pogodny, różnorodny i tolerancyjny: nieważne, jaki się ma kolor skóry i jak się ubiera; nieważne, jak się mówi i co się robi; nieważne, co się myśli i kogo się lubi. Nieważne, bo i tak nie zostanie się pełnym paryżaninem. Ale i ta niewielka cześć, w której się zostanie, też jest wcale niemała. Szczególnie, gdy stanie się on małą ojczyzną, która dla wielu bywa większa i lepsza od tej prawdziwej. Pod dachami Paryża wyzwalają się sny, o których wcześniej się nie śniło.

## Paryż jako spektakl



A jeżeli w Paryżu nie ma się nic – nie ma domu, rodziny, przyjaciół – i tak ma się wszystko: ma się całe miasto. Ma się mosty i bulwary nad Sekwaną, ma się place i skwery, ma się witryny sklepów i piękne dziewczyny, ma się dzieła sztuki i ma się kwiaty.

Na to miasto można patrzeć bez końca. Można patrzeć za dnia, w nocy i nad ranem. Można patrzeć o każdej porze roku (choć najlepiej wiosną i jesienią). Można patrzeć na trzeźwo i przez butelkę wina. Można patrzeć nostalgicznie i można patrzeć hodując nadzieje. Nie można jednak patrzeć samemu.

Gdyby tak się złożyło, że podróżny znajdzie się tam sam, niech się nie martwi. Zawsze znajdzie do pary jakiś zbłąkany księżyc, czyjeś zagubione spojrzenie czy jakieś swe dawne marzenie. A gdyby i tego nie znalazł, do pary będzie miał Paryż.

## Lazurowe Wybrzeże

Tęsknota niespełnionych słońc. Marzenie rozczarowanych północą. Pogoda za bezcen. Wyobrażenie beztroski. Okruch wielkiego świata. Można je oglądać w wielu miastach, można je oglądać jadąc w słońcu południową autostradą z Marsylii do Genui. Każda estakada staje się wtedy najpiękniejszą salą kinową świata. I jak tu się ustrzec podniosłych słów. Na Lazurowym Wybrzeżu jest to chyba niemożliwe.

## Cannes



Mały wielki świat. Najdroższe hotele przy bulwarze biegnącym nad brzegiem morza, potem – nieco dalej – dla średniozamożnych, i jeszcze dalej dla nieco bardziej średnich. Wielki świat potrzebuje wszak widowni, widownia potrzebuje wielkiego świata.

Dla wielu przyjezdnych i tak najważniejsze jest bezpośrednie zetknięcie z Morzem Śródziemnym, z jego historią, jego mitem i jego kolorem. Dobrze, gdy po raz pierwszy staje się to właśnie w Cannes. Wtedy to miasto polubi się – mimo jego blichtru.

Gdy uda się znaleźć kawałek plaży, który nie należał do żadnego z wielkich hoteli, gdy uda się zanurzyć ręce w wodzie, poczuje się wzruszenie i spełnienie, które potraktować trzeba jako obietnicę znalezienia się kiedyś w wielu innych miejscach nad tym morzem. Kolacja z *frutti di mare* i wino wypite nad jego brzegiem będą przypieczętowaniem tego paktu. Można wierzyć, że nikt tego nie odbierze.

Dobrze jest, gdy przybysz nie chce tu oglądać ludzkiego „wielkiego świata”, a chce po prostu oglądać Morze Śródziemne. Cannes mu je otworzy.



Chyba nigdzie tak nie potwierdza się fakt, iż Lazurowe Wybrzeże jest lazurowe, jak właśnie w Nicei. Tylko ta kamienista plaża... Może nawet w Nicei nie może być zbyt dobrze. Ale przecież jest jeszcze miasto.

Nie trzeba spacerować w Nicei pełną blichtru Promenade des Anglais. Należy raczej wybrać się do starego miasta, zagłębić się w jego kręte uliczki, posmakować zwyczajności, która i w tym mieście się przejawia. Można kupić sobie na miejscowym targu oliwki w zalewie ziołowej, czerwone wino i popijać ze smakiem na przygodnym skwerze. I nie trzeba się martwić, iż nie mieszka się w pięciogwiazdkowym hotelu.

Potem można wejść na wzgórze Le Chateau, gdzie z tyłu jest port, a z przodu długi pas lazuru i cała Nicea. To wszystko będzie u stóp. Tylko rosnące w pobliżu wysokie kwiaty agawy, które podobno zakwitają raz w życiu, przypominą, że jednak jesteśmy tu przejeżdżając.

## St. Tropez



Jeżeli nie można zamieszkać w St. Tropez, jeżeli trzeba stąd wcześniej wyjechać, należy jednak zabrać ze sobą jak najwięcej. Należy dokonać wyboru: nie brać ukrytych wśród ogrodów i wzniesień wspaniałych rezydencji, nie brać drogich jachtów cumujących leniwie u nabrzeży, nie robić drogich zakupów w miejscowych butikach.

Lepiej zabrać ze sobą piękne stare miasto z plataniną wąskich uliczek, stary kościółek z charakterystyczną dzwonnica, która mogłaby być minaretem, zalesione wzgórze nad miastem, z którego znakomicie widać jego urodę. I można zabrać kamienisty brzeg morski ze starymi domami, które zostały niedawno odnowione, i z nowymi domami, które ładnie udają stare. No i zabrać całą zatokę.

Nie warto też martwić się, że przyjechało się do St. Tropez o czterdzieści lat za późno, i że nie spotka się już tu młodej Brigitte Bardot. Znalezione urocze stare miasteczko ciągle się podoba, bo jemu ze starością do twarzy.

## Port Grimaud



Tu wygląda tak, jakby ktoś pozazdrościł jednocześnie wyglądu St. Tropez i Wenecji. To miasto stworzono niedawno – na nadmorskich bagnach, które częściowo osuszono przecinając je licznymi kanałami.

Port Grimaud jest jak St. Tropez, gdyż jest drogim kurortem usytuowanym na Lazurowym Wybrzeżu. Jest też jak Wenecja, gdyż zamiast ulic i samochodów są tu kanały i łodzie (choć i tak dobrze, że nie ma gondoli). Wybudowano nowe domy, które mają wyglądać jak stare: są nieco krzywe i spatynowane. Jest też nowy kościół, który wygląda trochę jak romańska budowla, a trochę jak arabski ribat. Są mosty, pod którymi przepływają łodzie, i po których spacerują przechodnie.

I tylko nigdy nie będzie tu prawdziwego weneckiego „mostu westchnień”. Może nawet nie będzie żadnych westchnień.

## Ramatuelle



W Ramatuelle jest pusto. Może dlatego, że jest oddalone od brzegu. A może dlatego, że już poumiały wszystkie panie, które tu kiedyś przyjeżdżały – dawne wielbicielki Gerarda Philippe'a pochowanego na miejscowym cmentarzu.

W Ramatuelle jest pięknie. Na szczęście żyją tu miejscowe starsze kobiety, które bardziej niż Gerarda Philippe'a kochają swoje miasteczko. Szorują schody i zmiatają uliczki, malują drzwi i podlewają kwiaty rosnące w pięknych donicach z terakoty. Winobluszcz spływający ze ścian domów i obmurowań jest ich wiernym sąsiadem (bo mężczyźni jakoś stąd poznikali).

W Ramatuelle jest pogodnie. Upał nie dociera do wąskich uliczek, tylko światło słoneczne przenika w dół i podkreśla fakturę osamotnionych ścian.

W Ramatuelle jest trochę smutno.



Antibes ma piękną nazwę, ma urodę i ma szlachetność. Ma też więcej ciszy i spokoju niż inne, głośnie miasta położone wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Antibes ma port jachtowy, ma interesujące muzeum sztuki współczesnej i targ, na którym mieszkańcy zaopatrują się we wszystko, co potrzebne do życia. Bo też czuje się tu jego codzienność. Jego fontanny nawet w południe są tak świeże, jak źródła schładzane tajemnicami ukrytymi w skałach.

Tak to brzmi, jak notka w prospekcie reklamowym biura turystycznego albo agencji handlu nieruchomościami. Tylko, że Antibes nie trzeba reklamować. Ma ono swoich zwolenników i częstych oraz wiernych gości od dawna.

Antibes jest dyskretne i autentyczne. Jest prawdziwe bez blichtru i sławy. Pasuje jak ubranie w znakomitym gatunku, w którym od lat dobrze się czujemy. Antibes jest takie nawet wtedy, gdy przyjechaliśmy tu na krótko, bo żadna terażniejszość tu znaleziona nie chce stać się przeszłością.

## Vence



Nie wiadomo dlaczego, lecz nazwa tego miasta nie wszystkim się podoba. Ci mogą dziwić się, dlaczego zamieszkał tu Witold Gombrowicz.

Można się tak dziwić, póki się tu nie przyjedzie. Wtedy okaże się, że Vence jest pięknym miasteczkiem na tyle oddalonym od wybrzeża, że nie zalewa go fala wczasowiczów i turystów. Może sobie pozwolić na spokój i samoistność. A także na odrobinę wybitności. To tu Marc Chagall namalował nieduży fresk w miejscowej średniowiecznej katedrze, która jest zresztą zaledwie niewielkim kościółkiem, zaś Henri Matisse wykonał dekorację w niedalekiej Kaplicy Różańcowej. To wreszcie czas wyrzeźbił tu piękne miasteczko mając jedynie do pomocy kamień i światło.

Śliczne uliczki i place Vence są prowincjonalne, ale i wyrafinowane. Będąc w Vence można w pełni zrozumieć Gombrowicza, że chciał tu zamieszkać. Tym bardziej, że dom, w którym przebywał, też jest piękny. Można tylko żałować, że spacerując po Vence, jakoś trudno wyobrazić sobie chodzącego tu pisarza. Był przekorny, więc może przechadza się, gdy odwracamy wzrok.



Piękny filigran ulepiony z jasnych kamieni. I z miłości do bajek zaklętych w małych domkach.

Wielu przyjezdnych nic wcześniej nie wiedziało o St. Paul de Vence. A przecież już od dawna przyjeżdżali tu artyści (Bonnard, Modigliani, Picasso, Braque). No tak, ale oni sami kiedyś byli nieznani. Dawna gospoda, w której się żywili, teraz jest małym muzeum ze wspaniałą kolekcją dzieł sztuki przez nich pozostawionych. Niektórzy z artystów nigdy stąd nie wyjechali – na małym cmentarzyku jest grób Marca Chagalla.

St. Paul de Vence jest piękne. Snują się po nim turyści jak somnabulicy. Wiedzą, że muszą w końcu stąd wyjechać, ale chodzą w kółko i po wielokroć tymi samymi uliczkami i zaułkami, przysiadają na stopniach czy na kamiennych balustradach. Wyjątkowo wydają się bliscy, tą bliskością spowodowaną wspólną adoracją tego samego obiektu.

Mieszkańcy wiedzą o tej adoracji, ale dyskretnie chowają się za okiennicami. Przyjezdni mogą choćby przez kilka godzin myśleć, że St. Paul de Vence należy tylko do nich.

## Monako



Monako to nie Francja ani Włochy, ale jednak Lazurowe Wybrzeże, i nie można go tu pominąć. A chciałoby się.

Monako jest piękne i imponujące. Jak najdroższy brylant oszlifowany historią, morzem i pieniędzmi. Te pieniądze widać na każdym kroku. Nie tylko w kasynie, ale i w markach samochodów, w witrynach sklepów i w twarzach ludzi. Nawet kelnerzy mają spojrzenia wytrenowane przez usługiwanie ludziom bogatym.

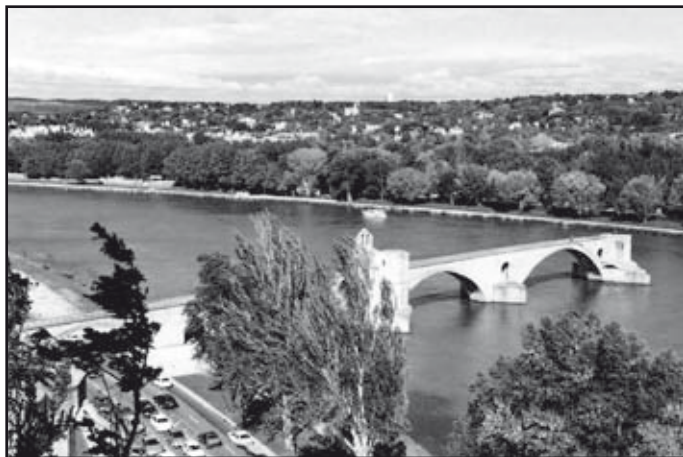
Spacerując po Monte Carlo szczególnie czujemy, że nie jesteśmy na swoim miejscu. Że przypadkowo znaleźliśmy się na scenie, a nie mamy ani odpowiedniego kostiumu, ani nie znamy swej roli. I że wszyscy czekają, abyśmy stamtąd zeszli i znaleźli się na widowni – gdzieś w ostatnich rzędach.

Monte Carlo jest piękne i imponujące, lecz żalosne. I pewnie nie ma świadomości, że trochę wygląda jak dziwoląg pokazywany gawiedzi na jarmarkach.

## **Prowansja**

Marzenie artystów i milionerów. Lawendowe pola i złote krzewy słonecznego żarnowca. Wysmukłe cyprysy i terakotowe dachy. Rzymskie zabytki i średniowieczne budowle. Dostojne katedry i wdzięczne fontanny. Miasta z uroczymi zaułkami i wioski, które mogą się przyśnić. Klimat, w którym nawet kłoszardzi czują się błogo. Ilekroć by się tu nie przebywało, i tak chce się tu wracać. Kraina, w której się marzy, i o której się marzy.

## Awinion



To miasto nie musi kojarzyć się tylko z niedokończonym mostem na Rodanie. I z dawnym pałacem papieży, którego majestatyczny ogrom nie musi przygniatać, bo może się też podobać. Zwiedzania Awinionu nie trzeba więc ani zaczynać, ani kończyć na moście, który jest jego symbolem. Można tu sobie zaśpiewać za Ewą Demarczyk, że „tańczą panowie, tańczą panie na moście w Awinion”, a tak naprawdę na całego można dopiero zatańczyć na dziedzińcu przed ogromnym średniowiecznym pałacem papieskim. Po pierwsze, dlatego że niemal zawsze, nawet późnym wieczorem, ktoś tu gra na jakimś instrumencie, a po drugie, dlatego, żeby nieco zmiękczyć jego majestat.

Przychodzi się tu wielokrotnie, by jeszcze raz spojrzeć na most i żeby posiedzieć przed ogromną papieską budowlą. W międzyczasie należy krążyć po ulicach Awinionu. Nie, nie można zbłądzić. Jak przystało na prawdziwe średniowieczne miasto, podróżnym zawsze zaopiekują się wielkie mury obronne, które je opasują. Będzie się czuł błogo otulony ich wspaniałą mocą, która delikatnie się tworzy przy każdym spojrzeniu na nie.

Spacerując po mieście, łatwo trafić na jakiś uliczny teatr. One lubią to miasto, a miasto lubi teatr. Mury Awinionu nie są kurtyną – są scenografią.



Do Arles przyjeżdża się jak do dobrze znanego miasta. Bo to i słynny rzymski amfiteatr, i kościół St-Trophime'a – jedna z najwspanialszych romańskich świątyń w Prowansji, i *Arleżjanka* Bizeta, i pobyt Vincenta van Gogha, i przyjazd do niego w odwiedzinach Paula Gauguina, i wszystkie legendy z nimi związane. Tak więc chodzi się po tym miasteczku niemal jak po swoim. (I nawet nie będzie przeszkadzał w tym deszcz, który może akurat mżyć.)

Nie, nie należy tu szukać obciętego ucha van Gogha; można natomiast poszukać miejsca, gdzie była jego pracownia i gdzie podczas 15-miesięcznego pobytu namalował około 300 obrazów. Ale i tę pracownię trudno znaleźć, może więc lepiej pójść do dawnego szpitala zwanego obecnie L'Espace van Gogh – gdzie teraz jest centrum kulturalne. Można też wejść do kawiarni jego imienia, która została tak odnowiona, by przypominała tę z jego obrazów – przede wszystkim z *Nocnej kawiarni*. Pijąc dobrą kawę nie należy się martwić, że nie znajdzie się wiele żywych śladów po van Goghu. Bo przecież najważniejsze jest to, że oprócz cyprysów za miastem, znajdzie się tu siebie: jednego z milionów spóźnionych adoratorów twórczości artysty.

## Châteauneuf-du-Pape



Nie górujący nad okolicą zamek papieski z XIV wieku (spalony zresztą podczas wojen religijnych w XVI wieku) przyciąga do tego prowansalskiego miasteczka, a właściwie wsi. Przyjeżdża się tu po najlepsze podobno wino regionu Côtes-du-Rhône. Kamienisty grunt jest jego tajemnicą. Kamienie nagrzane słońcem za dnia, oddają w nocy ciepło korzeniom winnej latorośli, a ona oddaje potem wyprodukowanemu z jej owoców trunkowi swój wyborny smak i aromat.

Gdy pozna się jednak inne wina z obszarów położonych nad Rodanem z różnych bliższych i dalszych miejscowości, trzeba uznać, że wszędzie jest ono wspaniałe. Może więc po zwiedzeniu starych piwnic należy zbuntować się i nie kupować tu wina, tylko należy pojechać do innej wsi i za mniejsze pieniądze nabyć nie gorsze wino i nie mniejszą satysfakcję. A przy okazji zobaczyć może piękniejsze budowle, fontanny i pejzaże. Choć już bez papieża w nazwie. Tylko czy jest on akurat niezbędny w tytule wina? Przecież my wiemy od lat, że najlepszą nazwą wina jest po prostu słowo „wino”.



Przyjezdny pewnie niewiele zapamięta z tego miasteczka. Jest jak każde inne urocze miasto w Prowansji: zadbane, czyste, i choć kamienne, to przecież serdeczne. L'Isle-sur-la-Sorgue ma jednak coś szczególnego: wiele dawnych kół wodnych, które omszałe przypominają o nieskończonych wstęgach strumieni wody przepływającej przez wieki pod nimi i nieskończonych obrotach, którymi uśmiechały się do upływającego czasu. Podobno kiedyś było tu ich 70, posadowionych w różnych miejscach na rzece Sorgue i jej dopływach; obecnie jest ich zaledwie 6, a i tak, spacerując po miasteczku, nieustannie na nie się natrafia.

Teraz są już nieczynne, ale czy czas może być nieczynny? Przypominają o jego upływie – tyle że w milczeniu. Sprawiają wrażenie, że zatrzymały się tylko po to, aby właśnie nad jego upływem zadumać się. A może myślą o swej terażniejszości? Albo o terażniejszości w ogóle? A może o tym, czy jakakolwiek terażniejszość jest „w ogóle” – bo przecież każda jest inna i oddzielna.

## Fontaine-de-Vauclès



Może się zdarzyć, że kogoś nie zachwyci zachwycające źródło rzeki Sorgue, które dało nazwę temu miasteczku, na pewno jednak zachwyci samo miasteczko. Jest tu dom, w którym w młodości mieszkał Petrarca, a teraz jest tu muzeum jemu poświęcone. (Na sąsiednim piętrze jest muzeum poświęcone René Charowi – może jeszcze bliższemu nam poecie – który tu niedaleko się urodził.)

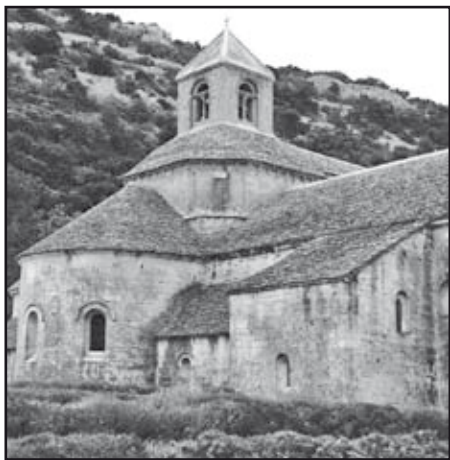
W Fontaine, podobnie jak w L'Isle-Sur-la-Source, są też stare koła wodne, które przez wieki napędzały młyny, olejarnie i wytwórnie papieru. Wrażenie wywołują tu ściany budowli. Stare i nowe domy murowane z ledwo ociosanego kamienia mają fakturę, która wspaniale zaprzyjaźnia się ze światłem. A że słońca tu dużo, to i tej przyjaźni jest wiele.

Spacerując po miasteczku, spotyka się ją co krok. Może się zdarzyć, że właśnie tu trafi się przed miejskim ratuszem na koncert z okazji jakiejś uroczystości. Może się też zdarzyć, że właśnie tu po raz pierwszy spróbuje się słynnej prowansalskiej anyżówki. Smakując ją, podróżny tak się zaslucha, że z trudnością przypomni sobie o odjeździe. Po latach, gdy będzie sobie przypominał Fontaine-de-Vauclès, ciągle będzie miał przed oczami kamienne faktury jego domów narysowane światłem. Albo światło podtrzymywane kamieniami.



Gordes przypomina ślimaka. Nawija swoje zwoje wokół wzgórza, na którym się usytuowało. A może inaczej: które obrastało przez wieki. Pewnie dawni mieszkańcy zaczęli od samego wierzchołka, bo tam czuli się najbezpieczniej. Gdy miasto się rozwijało, kolejni mieszkańcy budowali swoje domy coraz to niżej, i coraz to niżej schodziła serpentina jego ulic. Teraz, gdy czują się bezpiecznie, wolą budować swoje wille już całkowicie poza miastem, gdzieś na bardziej wygodnych do życia równinach u podnóża starego miasta. Może tylko na niedzielny spacer wybierają się na sam szczyt, by tam na spłaszczonym wierzchołku pokręcić się po średniowiecznych uliczkach. Wtedy mogą też z góry spojrzeć na tarasy schodzących w dół ulic i domów. Może jednak teraz mieszkańcy są leniwi i nie mają ochoty na wspinanie się pod górę; z pewnością zastąpią ich artyści i turyści. Wszak to tu kupił kiedyś miejscowy zamek Victor Vasarely i utworzył w nim własne muzeum. To muzeum już nie istnieje, ale istnieje Gordes, które samo w sobie jest pięknym muzeum. Zwiedza się je po spirali, jak słynne nowojorskie Muzeum Guggenheima, od którego Gordes jest tyłuż starsze.

## Abbaye de Sénaque



Gdy podróżny zbliża się do tego średniowiecznego opactwa, jedzie przez pola lawendy uprawiane przez mnichów. Jeżeli ma szczęście, i lawenda kwitnie, jest otoczony morzem fioletu i oceanem zapachu. Gdy nie ma takiego szczęścia, przecież i tak je ma, bowiem prędzej czy później zza wąskiego przesmyku drogi wyłonią się przed nim dwunastowieczne budowle z poszarzałego i omszałego kamienia. Będą dowodem na to, że szarość może też być piękna.

Po latach opuszczenia wrócili tu mnisi. Podróżny może nie będzie chciał dłużej się tu zatrzymać, bo przecież nie musi polubić tych surowych wnętrz pozbawionych mebli i ozdób. Może jednak kupi sobie na pożegnanie płytę z chorałami gregoriańskimi śpiewanymi przez mnichów. Po latach, słuchając tej płyty, będzie miał wrażenie, że ponownie znalazł się w kamiennych murach starego opactwa. Gdy jednak nie kupi żadnej płyty, i tak usłyszy śpiew samych murów. Trochę przytłumiony przez porastający je mech.



Jeżeli podróżny nie ma dużo czasu, i może sobie pozwolić na poznanie tylko jednego miasta prowansalskiego, to niech wybierze właśnie Roussillon. Powitają go tu piękne kolory ochry, której w tej intensywności już nigdzie indziej nie zobaczy, a której jest tu podobno aż 17 odcieni. Powitają go cudownie krzywe uliczki i uśmiechające się stare bramy domów. Powitają uśmiechający się mieszkańcy i powitają inni przybysze, którzy czują się tu pogodnie. Co chwila może zatrzymać się na jakimś placyku albo niewielkim tarasie i stamtąd przyglądać się urodzie tego miasteczka. Może też przysiąść przy stoliku kawiarnianym i popijając anyżówkę (którą już zdążył polubić – przynajmniej na czas pobytu w Prowansji) kontemplować błogi spokój popołudniowej części majowego dnia. Jeżeli jest zainteresowany, może szukać śladów Samuela Becketta, który tu kiedyś mieszkał. Jednak niech nie wtóruje pisarzowi w jego dezaprobachie wobec tego miasteczka, zaś jego *Czekając na Godota* niech przeczyta sobie później, w domu. Teraz niech przebywa tu w przekonaniu, że to miasteczko czekało właśnie na niego.

## Pont du Gard



Tym akweduktem nie płynie już woda – płynie historia. Zbudowany krótko przed rozpoczęciem naszej ery, łączy dwa wysokie brzegi rzeki Gardon. Teraz jeszcze bardziej niż brzegi rzeki, łączy odległą przeszłość z teraźniejszością. Można tu bywać wielokrotnie, a za każdym razem doznawać zdumienia na jego widok. To imponujące przedsięwzięcie inżynieryjne jest też niezwykle wysmakowane estetycznie, a akwedukt – zresztą jak każda tego typu konstrukcja – jest niezwykle fotogeniczny.

Rośnie tu też stara oliwka. Mówią, że ma tysiąc lat. Ona jest także bardzo fotogeniczna, wieki i wichury poskręcały jej pień i konary w misterną formę.

Mając dobry nastrój, można przysiąść nad rzeką i patrząc na stary akwedukt i starą oliwkę, wpatrywać się nie tyle w przeszłość, ile wypatrywać przyszłości. A może też choćby przez chwilę pilnować, by czas nie zabrał stąd starej oliwki i jeszcze starszego Pont du Gard.



To ponure i zimne gmaszysko nie pasuje do słonecznej i ciepłej Prowansji. Zwiedza się je częściowo z niedowierzaniem, a częściowo z zażenowaniem. No i z poczucia obowiązku: ot, niejako stanęło na naszej drodze i nie można go ominąć. Można tylko pocieszyć się tym, że zamek kiedyś należał do króla René Dobrego, który tu mieszkał na początku XV wieku i tu stworzył imponujący kulturą dwór. Potem zamek przez wieki był więzieniem i teraz właśnie ta jego atmosfera, a nie dawna wzniosłość, jest w nim odczuwalna. Budowla położona nad Rodanem imponuje, ale też odpycha. Trzeba szybko ją zwiedzić i wyjechać. No i może jeszcze raz obejrzeć ją z daleka. Pomniejszona i umieszczona w pięknym pejzażu wydaje się bardziej ludzka i sympatyczna. Tak, gdy dawny zamek staje się elementem scenografii, nabiera trochę ciepła, którego wcześniej pozbawiało go przeznaczenie. Jak wiadać, nawet potężne mury nie uchronią od jego widzimisię.

## Orange



W Orange podróżnego wita stary rzymski łuk triumfalny i nieco młodszy, ale z pewnością wspanialszy rzymski teatr zbudowany krótko przed początkiem naszej ery. Rzymianie zbudowali tu łuk triumfalny około setnego roku przed naszą erą, mimo że kilka lat wcześniej w przegranej bitwie pod Orange stracili 100 tys. żołnierzy. No cóż, po kilku latach, gdy już im się udało podbić Galów, budując łuk triumfalny rozpoczęli marketing polityczny.

Spacerując po uroczym miasteczku nie myśli się jednak ani o tej odległej przeszłości, ani o późniejszych wojnach religijnych, które tu się toczyły. Owszem, ogląda się średnio-wieczne kościoły i błądzi po starych uliczkach, obserwując współczesnych pogodnych i uśmiechniętych ludzi, nie wnikając w to, ile w nich rzymskiej, a ile galijskiej płynie krwi, albo jakiego są teraz wyznania. Można sobie też przysiąść w jakiejś kawiarence położonej przy którymś z pięknych placyków obsadzonych platanami i rozmyślać nad tym, że są takie szczęśliwe miasta na świecie, które są nie tylko piękne, ale mają też piękną, pachnącą nazwę. Myśląc o tym, trzeba jednak zapomnieć o historii.



Nie należy szukać tu dawnych greckich i rzymskich pozostałości, choć jest tu ich sporo. Od razu trzeba zacząć spacerować po pięknym i urokliwym miasteczku, w którym podobno lubią pomieszkiwać gwiazdy filmowe. Można krążyć po jego uliczkach, oglądać stare kamienne ściany i okna osłonięte okiennicami. Można zastanawiać się, czy kryją jakieś tajemnice; można te tajemnice sobie wyobrazić. Można dyskretnie zaglądać w schludne patia i zazdrościć tej południowej formy architektury i prywatności.

Prędzej czy później trzeba jednak pójść do dawnej kliniki St-Paul, która mieściła się w starym dwunastowiecznym klasztorze, a w którym do dziś zachowały się piękne wirydarze i krużganki. To tu przywieziono z Arles Vincenta van Gogha, gdy obciął sobie ucho. I tu można próbować sobie wyobrazić jego cierpienia. Chyba jednak nikt nie zdoła sobie ani wyobrazić tych cierpień, ani wyobrazić jego wyobraźni. Wtedy należy spróbować obejrzeć miejsca, które artysta malował podczas tutejszego pobytu. Tylko już na wszelki wypadek nie należy wracać do centrum miasteczka, gdzie można spotkać współczesną gwiazdę filmową, która rano obcinała sobie u manicurzystki paznokcie.

## Les Baux



Łatwiej z daleka zobaczyć na wysokiej skale ten zamek, niż dotrzeć do niego. Zbudowany został w X wieku przez władców, którzy uważali się za potomków Baltazara – jednego z Trzech Króli. Idzie się do niego usytuowaną wzdłuż skośnej skarpy drogą obudowaną średniowiecznymi domkami. Idzie się dla samego wejścia, bowiem na szczycie są już tylko ruiny. Ze wszystkich stron strome ściany urwiska przypominają o wyniosłości zamku i wyniosłości jego dawnych panów walczących z Saracenami. Teraz rzesze turystów odbywających rytuał zwiedzania walczą ze zmęczeniem. I pewnie żaden z nich nie martwi się tym, że tu nie ma, i nie może być, samochodów. Choćby po to warto zwiedzić Les Baux.

Gdyby ktoś jednak uparł się, że chce tu zobaczyć jakiegoś potomka jednego z Trzech Króli, będzie musiał rozpytywać się o tych mieszkańców, którzy żyją tu od dawna. Pewnie w żyłach żadnego z nich nie płynie nawet odrobina krwi Baltazara, lecz w zwojach umysłu tkwić może wiara w takie pochodzenie. I pewnie jest silniejsza niż mury zamku, który dawno temu został zniszczony.



Tego miejsca nie widać z dołu. Idzie się długo. Najpierw mija się krzewy żarnowca, potem wchodzi się w las i tam krętymi ścieżkami zmierza ku górze. Pojawia się zniecierpliwienie i niepokój, czy droga prowadzi we właściwym kierunku. Czasem w nagrodę wyłania się rozległy widok na prowansalskie wzgórza, jednak prawdziwa nagroda jest na samym wierzchołku, którym jest niewielki płaskowyż, gdzie las nieco się przerzedza tworząc niewielkie polany, a tam dostrzega się pozostałości opactwa z IV wieku. Są to wykute w ścianie jaskinie, tu i ówdzie wsparte na jakichś kamiennych filarach. Także wykute w skale podłużne niecki, które kiedyś były grobami mnichów. Wszystko tworzy dość misterną strukturę, której nazwą może być „niezwykłość” lub „opuszczenie”.

## Camargue



I w Prowansji są mokradła! I to podobno największe w Europie! Słone błota, jeziora, ale też pastwiska i wydmy. Bardzo rozległy obszar blisko już Morza Śródziemnego. Mało ludzi, za to dużo zwierząt: czarne byki i białe konie, ogromne stada białoróżowych flamingów i innego ptactwa – czapli, mew i szcudłaków. I błogi spokój natury, która czuje, że jest tu panią. Można tu w nieskończoność wpatrywać się w nią i razem z nią odczuwać błogość. By jej spokoju nie naruszyć, nic więcej nie trzeba mówić.

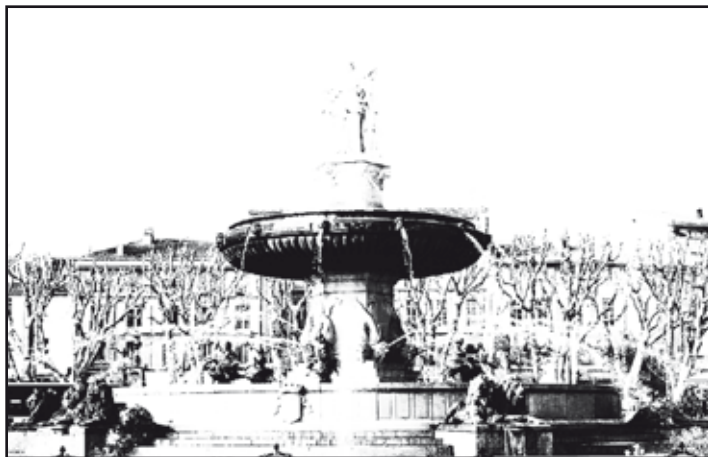
## Saintes-Maries-de-la-Mer



To już nad Morzem Śródziemnym. Podobno blisko dwa tysiące lat temu właśnie tu przybyły trzy Marie: Maria Magdalena, Maria Jakubowa (krewna Marii Panny) oraz Maria Salomea (matka apostołów Jakuba i Jana). Teraz jest tu też centrum pielgrzymkowe Romów i miejsce kultu św. Sary – Cyganki, która te trzy Marie miała uratować, gdy wyczerpane dopływały do wybrzeża.

Białe miasteczko schludnie wygląda odbijając się w błękitnych przybrzeżnych wodach, które pewnie w innej porze bywają groźne, skoro oddzielone są od brzegu wysokimi kamiennymi falochronami. Kamienny kościół w surowym stylu romańskim, z rzadka rosnące cyprysy oraz kwiaty nie odbierają miastu prostoty ani pewnej ascezy. Może to one sprawiają, że już chce się stąd wyjechać. A może tak trudno uwierzyć w tę legendę o „trzech Mariach”. Szkoda, że trudno uwierzyć, bo przecież Morze Śródziemne od wieków lubi kołysać różne mity i legendy. Więc pośród nich może być i ta.

## Aix-en-Provence



Kiedyś stolica Prowansji – teraz piękne miasto. Wiele starych placów, pałaców i fontann. Stary uniwersytet, który i dziś cieszy się prestiżem, a przede wszystkim sprawia, że w mieście jest dużo młodych, uśmiechniętych ludzi.

Tego miasta nie chce się zwiedzać – chce się w nim być. Tak więc należy po prostu przysiąść gdziekolwiek w jakiejkolwiek przyulicznej kawiarence i kontemplować w milczeniu dawną stolicę Prowansji.

Potem trzeba jednak powtórnie przejść się po mieście i przy choćby jednym placu, jednej budowli i jednej fontannie zostawić jakiś tajemny swój znak i jakiś podobny znak (a jeszcze lepiej: znaczenie) zabrać ze sobą. Może po latach uda się tu wrócić, odszukać dawne znaki i znaczenia, i dopasować je wzajemnie. To nic, że już nie będą pasowały do siebie; ważne, że będą istniały.



To miasto można uznać za początek wielkiego pasma lazuru, choć samo niesie inne skarżenia.

To nic, że bliskie lotnisko nie pozwala na wypoczynek. To nic, że ślady bohaterów *Hrabiego Monte Christo* są już nieczytelne. Nawet niedaleka wysepka If bywa często zamglona, a sztormowa pogoda uniemożliwia dopłynięcie do niej. To nic, że samo miasto – jak każde wielkie miasto portowe – nie wywołuje wzruszeń. Nawet gdy patrzy się z wysoko położonej bazyliki Notre-Dame de la Garde.

Przede wszystkim można żałować tego, że zetknięcie z Morzem Śródziemnym jest tu nieco odległe, bo oddzielone basenem portowym. Widoczne gdzieś tam na horyzoncie jego magiczne przestrzenie przesłania las jachtów. Tyle że na nabrzeżu można popatrzeć na poranny targ rybny. Owoce morza nie pachną jak te z ogrodu. Można jednak patrzeć na nie z nie mniejszym podziwem, jak na kwiaty i rośliny. Ba, dla podróżnego z lądu są one bardziej tajemnicze i bajeczne niż te, które widzi u siebie na co dzień. Ich egzotyka może być siostrą jego marzeń.

## **Bretania**

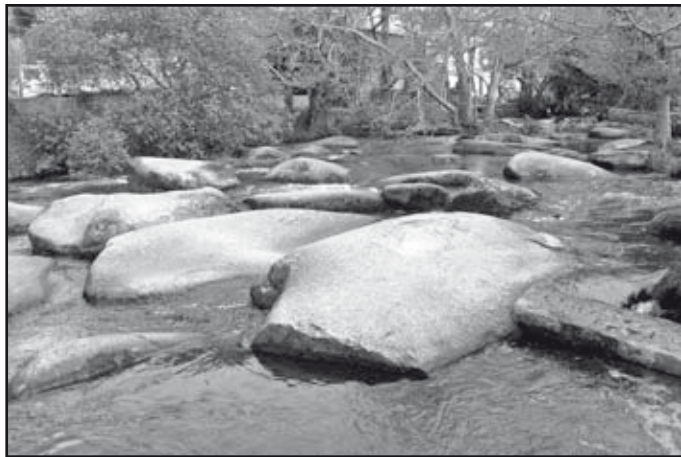
W Bretanii wszystkie dachy są z ciemnego łupku, a na każdej farmie krowy są jednej, określonej maści. Całość jest zielona i spokojna, przyjemna i czysta, przestrzenna i zrównoważona. To tylko wstęp, bo w Bretanii jest wszystkiego o wiele, wiele więcej...



Kto myślał, że przy tym pięknym bretońskim mieście zobaczy ocean (bo przecież na mapach wydaje się on tak blisko), a tymczasem okazało się, że do oceanu spływa stąd jedynie rzeka, niech nie martwi się. Zobaczycie tu wiele innych wspaniałych rzeczy – jak chociażby miejsce urodzenia Maxa Jacoba (który nosił jednocześnie gwiazdę Dawida i różaniec, malował i pisał wspaniałe poematy). Zobaczycie też piękną gotycką katedrę (gdzie będziecie mogli pomartwić się, że katedry gotyckie są nazbyt piękne, że lepiej szukać Boga w bardziej skromnych – romańskich).

Wędrując po mieście podróżnicy spotkają też wiele starych domów o konstrukcji szachulcowej (to zastanawiające, że każdy inny), wiele mostów, mostków i kładek, pięknie łączących brzegi dwóch rzek, które tutaj się zlewają. Z tych kładek i mostków może sobie upleść piękny dywan. Zobaczycie nawet dwa małe kucyki (tak małe, że wyglądają jak pieski), kupi płytę z tradycyjną muzyką bretońską i zwiedzi miejscowe muzeum (gdzie nawet znajdziecie dwa piękne obrazy Władysława Ślewińskiego). Gdy jeszcze będzie czegoś brakowało do szczęścia, to zje pyszne crepsy – najsmaczniejsze naleśniki na świecie. I niemal w każdym miejscu zobaczycie wymyślne gwiazdozbiory kwiatów i kwitnących krzewów.

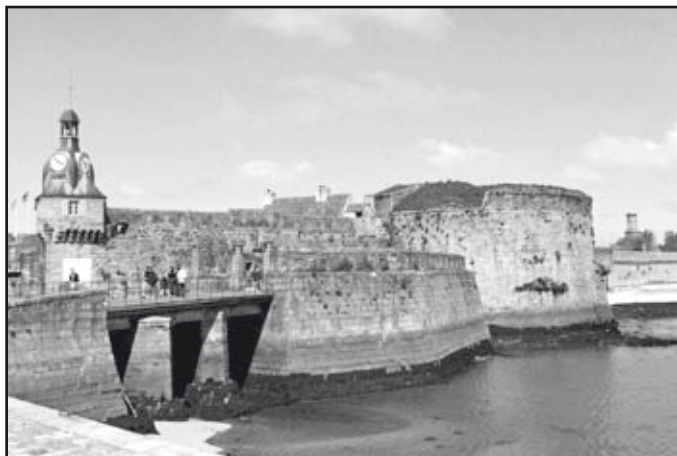
## Pont Aven



Nie wiadomo, czy to miasteczko stworzyło wybitnych artystów, czy – przeciwnie – przybywający tu już w XIX wieku artyści stworzyli miasteczko. Na pewno teraz żyje ono ich historią i mitologią. I na pewno obecnie liczne w Pont Aven galerie nie sprzedają dzieł, które będą tworzyły historię sztuki. To jest akurat nieważne, bo samo miasteczko jest tak piękne ze swymi kamiennymi domkami, dawnymi młynami, rzeką, której bieg inspiruje do sztuki życia, że już nic więcej do szczęścia nie trzeba.

Można szukać w Pont Aven miejsc, gdzie Paul Gauguin popijał absynt z Władysławem Ślewińskim, ale jest to trudne zadanie. Znacznie łatwiej znajdzie się miejsca, gdzie powstawały znane obrazy (zatroszczyły się o to władze miejskie umieszczając w tych miejscach odpowiednie informacje z reprodukcjami). Kiedy podróżny będzie długo spacerował po Pont Aven, dozna więcej wrażeń, niż gdyby błąkał się po salach muzealnych.

Chce się wrócić do Pont Aven na dłużej. Może wtedy znajdzie się nie tylko to miejsce, w którym łał się absynt. Zawsze też znajdzie się niezwykłą rzekę Aven, przy której kiedyś miało być czternaście młynów, a teraz może być czternaście tysięcy wrażeń.



Kiedyś całe zamknięte było pierścieniem murów obronnych. Wtedy broniło się przed obcymi, a przyjaźniło z oceanem. Teraz obojętnieje na ocean, a otwiera się na turystów. Stare miasto otoczone gigantycznymi murami jest już tylko zespołem sklepów z pamiątkami, dla których dawne mury i wieże obronne są teraz jedynie atrakcją. Tyle że jest to atrakcja bardzo solidna.

I tu dawniej przyjeżdżali artyści (między innymi kilka ładnych obrazów namalował tu Józef Pankiewicz), choć nie tak ochoczo jak do Pont Aven. I trudno im się dziwić. Stare miasto musiało być wtedy brudne i cuchnące. Teraz Concarneau rozrasta się na wszystkie strony, ale nieco traci przy tym swój dawny charakter. Na szczęście przypominają o nim mewy oraz piękne i malownicze dawne mury miejskie, na których tu i ówdzie porastają śliczne żółte kwiaty. I to, co najstarsze i najpiękniejsze: korona nadmorskich skał i głazów. To one witają ocean, ale też bronią miasta przed wszelkimi żywiołami. Patrząc na nie, lepiej nie pozostawiać tam swych nadziei – mogą zostać splukane przez fale.

## Carnac



W Carnac jest długa plaża z miliardami ziarenek białego piasku. Jednak przyjeżdża się tutaj dla kilkuset, może kilku tysięcy wielkich prehistorycznych kamieni – menhirów, dolmenów i innych form megalitów – tajemniczo usytuowanych w okolicy. Pewnie już nikt nie dowie się, czemu one kiedyś służyły. Jeżeli nawet ktoś widział podobne megality w Polsce (na przykład w Górach Świętokrzyskich na Św. Katarzynie, czy na Kaszubach w Odrach), to tutejsze przerastają wszelkie wyobrażenia. Żeby jednak nie szukać dla nich nieodgadnionych celów, niech sobie będą po prostu niezwykłymi kamiennymi symfoniąmi (wszak może nawet wiatr w nich gra na swój sposób).

Potem jeszcze można obejrzeć senne miasteczko Carnac i wrócić na plażę, żeby patrząc na piasek nadmorski, kolejny raz potwierdzić, iż jednak nie liczy się ilość, lecz wielkość.



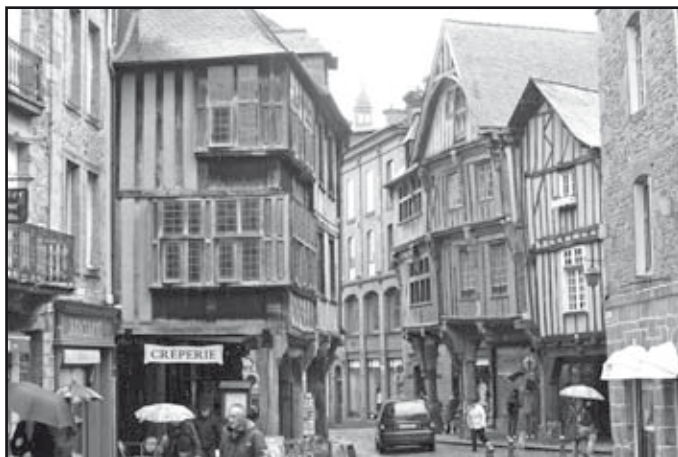
To miasto zawiera wiele miast. Jedno, to otoczone dawnymi murami miejskimi, imponujące, choć ponure, bo zbudowane z szarego granitu miasto osiemnastowieczne. Jego wielkie, sześciopiętrowe kamienice w żaden sposób nie pasują do tych średniowiecznych murów i bram. Drugie miasto, to zabudowania i urzędnictwo portowe przy wielkich basenach, które są usytuowane jakoś wewnątrz lądu. Niedaleko, na małych wysepkach są jakieś twierdze i forty, do których można dotrzeć suchą nogą w porze odpływu. I jeszcze wielkie miasto składające się z licznych willi, pałaców i rezydencji – tak ładnych, że odnosi się wrażenie, jakby były z bajki.

Wszystko zrozumiemy, gdy dowiemy się, że dawna siedziba korsarza stała się wielkim współczesnym kurortem (do którego skądinąd też pewnie przybywają współcześni korsarze). Szukamy swego miejsca w tym mieście i nie bardzo potrafimy je znaleźć. Wszystko jest ładne, ale jakoś obce. Pozostaje dla nas ocean – pod warunkiem, że zapomnimy o dawnych korsarzach, którzy po nim pływali.

## Vannes



Kiedy wchodzi się do Vannes od niewłaściwej strony, wyda się ono zwykłym, trochę nudnym miastem z nadmiernie pretensjonalnym ratuszem. Gdy będzie się w jego pobliżu piło wyborną kawę, kelner opowie historię o pobycie tu Napoleona III, któremu coś stało się z uchem, jednak nie bardzo zrozumie się co, gdyż opowieść będzie w dialekcie bretońskim. Nie należy jednak wtedy wyjeżdżać z miasta. Trzeba zrobić sobie przerwę, zdrzemnąć się albo długo rozmyślać o uchu Napoleona III (albo o uszach przechodzących Bretonek, które kiedyś przesłonięte byłyby wymyślnymi czepkami). Potem wybrać się w inną stronę miasta – w okolice dawnych murów miejskich i katedry Saint Pierre. Gdy przypadkowo znajdzie się uroczy Place Henri IV, można zacząć zastanawiać się, czy w ogóle stąd chce się wyjechać. Piękne stare domy i domki szachulcowe będą wabiły różnymi kolorami i kształtami, a smak zjedzonego nieopodal ciastka, o trudnej do zapamiętania nazwie, będzie się pamiętało do końca życia. Nie, to przecież nieprawda. Do końca życia nie pamięta się pewnie nawet samego życia. To jednak nie jest dobra myśl w tym miejscu.

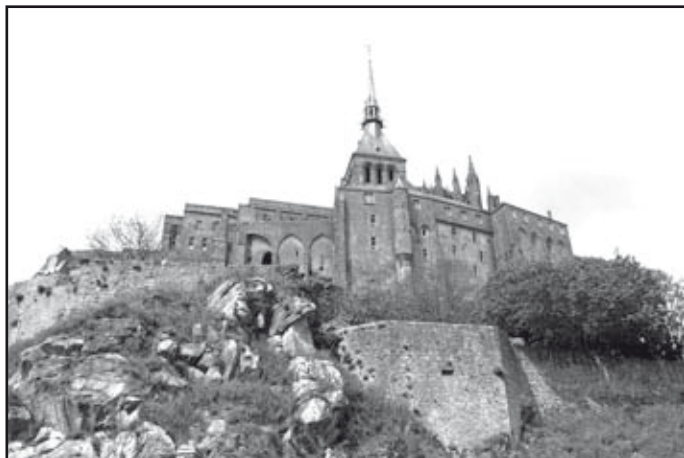


Miasteczko gromadzi wszystkie uroki starych miasteczek bretońskich. Stary, świetnie zachowany pierścień murów obronnych dobrze ochronił dawne domy szkieletowe, których fasady zdają się uśmiechać do przechodnia – nawet przy deszczowej pogodzie.

Kiedy wydaje się, że już wszystko zobaczymy w obrębie starych murów (łącznie z trzynastowieczną bazyliką St. Sauveur), nagle znajdziemy się obok czternastowiecznej bramy Jerzual, która od strony miasta ma wygląd twarzy ludzkiej. Dalej schodzi w dół cudowna uliczka Petit Fort. W pewnym momencie trzeba zawrócić, bo jej uroda jest zbyt kusząca i nie wiadomo, dokąd może zaprowadzić (podobno nad rzekę, ale kto to wie – może do jakiegoś ziemskiego raju).

Dinan jest jednym z takich miasteczek, w których można by spędzić życie. Jeżeli nie jest to możliwe, trzeba stąd wyjechać, zanim przestanie padać deszcz i wyrzy słońce. Bo wtedy może byłoby już zbyt trudne.

## Mont St.- Michel



To już nie jest Bretania, lecz Normandia – choć tuż, tuż, niedaleko. Gdyby nawet jednak było bardzo daleko, do Mont St.-Michel chce się przyjechać. Choćby po to, by uwierzyć, że coś takiego istnieje, i że jest prawdziwe. Ta niewiarygodna piramida wyrasta z wody i wodą jest otoczona. I wyrasta z historii.

Kiedyś – począwszy od IX wieku – było to opactwo benedyktyńskie. Mnisi pewnie gorliwie modlili się i pracowali, bo opactwo rozrastało się wszcz i rosło pysznie w górę. Gdy okazało się nie do zdobycia, stało się też twierdzą broniącą honoru Francji przed Anglikami. Potem było więzieniem, a obecnie jest atrakcją turystyczną.

Pewnie rzadko który zwiedzający zadaje sobie pytanie, czy to, co widzi, naprawdę istnieje. Bo przecież to niepowtarzalne miejsce jest tak niewiarygodne, że boimy się, iż nawet niewielka fala przyływu może je zmyć z naszych oczu. Na szczęście nic nie zmyje go z naszych wrażeń. I z pamięci ilustracji widzianej może dawno, dawno temu w jakimś podręczniku historii architektury.

## **Tu i tam**

W niemal każdym regionie Francji są piękne wioski, miasteczka i miasta, wspaniałe stare kościoły i pałace. Podróżny łatwo znajdzie tu odpowiednie miejsca dla swych marzeń i tęsknot, dla miłości i rozstań. Także dla nadziei, że zdoła poznać jak najwięcej tych miejsc. Zawsze jednak będzie to tylko niewielka część.

## Chartres



Pewnie do Chartres rzadko kto przybywa w innym celu, niż po to, żeby zobaczyć wspaniałą katedrę gotycką. I tak jest chyba od blisko tysiąca lat, a przynajmniej od ośmiuset, gdy została zbudowana obecna – podobno największa katedra gotycka w Europie.

Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście jest to największa katedra; trudno też powiedzieć, czy jest najładniejsza. Chyba nie, gdyż jej fronton z dwoma asymetrycznymi wieżami nie robi szczególnie miłego wrażenia. Znacznie wspanialsze są oba boczne portale, a przede wszystkim imponujące jest surowe wnętrze budowli. I na tle tej ciemnej i ponurej surowości niebiańsko piękne, oryginalne średniowieczne pionowe witraże oraz rozety. Brak analogii sprawia, że nie ma też umiejętności opisanie ich świetlistej urody. Są jak gwiazdy, które w chwili dobrego humoru Boga zajaśniały niewysoko nad ziemią. Może po to, żeby człowiek czuł pokorę przed nim. I przed anonimowymi artystami, którzy je stworzyli. A także przed czasem, który pozwolił je tutaj zachować.



Nie należy przejmować się tym, że to stare średniowieczne miasto zostało w XIX wieku zrekonstruowane przez historyka architektury Viollet-le-Duca. Bo przecież i tak jest piękne oraz imponujące. Otoczone dwoma rzędami starych murów obronnych chroni w sobie pamięć średniowiecza. I, mimo rekonstrukcji (albo dzięki niej), także pamięć dawnych zniszczeń. To nic, że nieco przypomina filmową dekorację. Na szczęście stąd jest daleko do Hollywood, więc i dekoracja jest bardziej autentyczna. Można sobie tu spokojnie spacerować nie bojąc się pobłądzić: kilka uliczek zawsze gdzieś się spotyka przy bazylice St-Nazaire albo przy murach, a te znowu zaprowadzą do centrum. Nie spotka się tu natomiast (niestety – albo „na szczęście”) błędnego rycerza. Wszyscy zostali wypłoszeni przez turystów i sprzedawców turystycznych gadżetów. Szkoda tylko, że nie można u nich kupić tego południowego słońca, które przygląda się sobie w jasnych ścianach średniowiecznych budowli.

## Sartene (Korsyka)



Długo wspina się autokar po stromych skalnych półkach, zanim dotrze do Sartene – miasta zbudowanego głównie z szarego kamienia. Miasto musi kojarzyć się z Korsyką, jednak nie chce kojarzyć się z południem – jest nieco zimne i obce, choć przecież na swój sposób piękne.

Sartene to miasto, do którego nie chce się wracać ani tęsknić za nim. Ot, pospacerować po jego uliczkach i placach, zobaczyć w niewielkich prześwitach rozległe przestrzenie, które zazwyczaj skrywają jego mury, dotknąć kamiennych ścian, może coś zjeść i wyjechać.

Czy taka jest cała Korsyka, które nie chce się otworzyć, która chce być niedostępna dla obcych? A może to złe wrażenie? Może nie należy hodować wrażeń na szarych kamieniach?

## Bonifacio (Korsyka)



Bonifacio to jeden z najpiękniejszych małych portów Morza Śródziemnego. Chyba wiedzą o tym milionerzy, którzy z całego świata przyplývają tu na swych wspaniałych jachtach.

Jednak najlepiej spacerować sobie pieszo po Bonifacio i jego porcie. Pijąc kawę lub wino w małej kafejce, też można poczuć się jak bogacz. Ba, można poczuć się bogatszy od bogaczy. Wszak ma się do dyspozycji całe stare miasto i dawną cytadelę, piękne wapienne skały udrapowane w cudowne formy i poczucie, że jakiś cud sprawił, iż tu się jest. Szczególnie, gdy wcześniej nic o Bonifacio się nie słyszało.

Gdy pod wieczór odpływa się z Bonifacio na Sardinie (nie luksusowym jachtem, lecz starym promem), ma się wrażenie, że już nigdy niczego piękniejszego się nie zobaczy. Zachodzące słońce oświetla wysoki klifowy biały brzeg Korsyki. Choć prom oddala się coraz bardziej, ciągle ma się wrażenie, iż można dotknąć wapiennych skał. Są jak jasny sen, który długo śni ten oddalający się brzeg – sen, którego nie chce się przerwać.

## Lourdes



Nie wiadomo, czy więcej tu wiernych czy ciekawskich. Setki hoteli witają równie serdecznie jednych i drugich, tak samo jak równie skwapliwie obsługują ich tysiące sprzedawców dewocjonaliów. No cóż: przemysł w zaspokajaniu wiary lub ciekawości jest bezstronny. Nie wiadomo, jak długo wymaga zaspokojenie tej pierwszej; wiadomo, że tę drugą można zaspokoić łatwo i szybko. I szybko wyjechać.

Owszem, jest gdzieś niewielka kapliczka prawosławna z malowidłami Jerzego Nowosielskiego, jednak trudno ją odnaleźć. Czyżby droga do sztuki też była długa? Lepiej jednak nie tworzyć pośpiesznych uogólnień ani kalekich metafor – wszak z tego kalectwa z pewnością nie można wyleczyć się w Lourdes.

## Hiszpania

Po przekroczeniu Pirenejów wjeżdża się w inny pejzaż: zaczynają dominować ugry, różne odcienie brązu, czasem szarości tęskniące do słońca i złota. Opuszczone wiejskie kamienne zabudowania, wyschnięte pola poprzedzielane kamiennymi granicami, na których rosną kolczaste opuncje. I cudowne stare miasteczka i miasta, w których historia została zaklęta w kamieniu, lecz promienieje w uśmiechach ludzi.

## Madryt



Madryt jest piękną stolicą pięknego kraju. Stołeczność nie pozbawiła go wdzięku – może dlatego, że musi konkurować z Barceloną. Podróżny nie potrzebuje znać ich intymnych relacji, a o politycznych nie chce pamiętać. Może mu być jedynie żal tych, którzy czują się zmuszeni wybierać pomiędzy nimi. Lepiej być łapczywym i wybierać obydwa miasta.

Gdy spaceruje się od dworca Atocha do Palacio Real poprzez Puerta del Sol i Plaza Mayor, mijając muzeum Thyssen-Bornemisza oraz Prado, nie zbywa się Madrytu. I to zarówno wtedy, gdy spaceruje się za dnia, jak i wówczas, gdy chodzi się tu wieczorami. Bo przecież Madryt, oprócz tego, że przejawia wdzięk, także imponuje swoją stołecznością. Wszystko tu jest wspaniałe i wyrafinowane, nie będąc przy tym napuszone. Dawna imperialność Hiszpanii stała się już jakby pastelowa i taka, na szczęście, jest też jej stolica: majestatyczna, choć piękna i delikatna. Chce się wracać do Madrytu, więc może dobrze jest zostawić tu coś niepotrzebnego: na przykład w jakimś śmietniku stare, zniszczone już buty, które służyły wcześniej na wielu wyjazdach.



Toledo jest niedaleko Madrytu, i choć jest niewielkie, nawet w jakiś sposób przygniata stolicę kraju. Jest historyczną, religijną, a nawet artystyczną esencją Hiszpanii. Alkazar na wzgórzu kolejno zajmowanym przez Rzymian, Wizygotów i Arabów, wspaniały późnogotycki klasztor franciszkanów, Dom El Greca i wiele jego prac. No i gigantyczna katedra, której budowę rozpoczęto na początku XIII wieku, a która jest tyleż zastygłą w kamieniu wiarą, co pychą. Zresztą chodząc po tym mieście, wszędzie dotyka się skamieniałej przeszłości – tyle że jest ona jak skamieniałe piękne obrazy. Kamień budowli jest formą, w której próbowano zamknąć upływ czasu.

Można oglądać miasto z bliska, spacerując po jego uliczkach, placach i zaułkach. Można też przejść przez kamienny most na Tagu i z pewnego oddalenia oglądać Toledo. Podaje się ono spojrzeniom ze wszystkich stron, jakby wiedziało, że z każdej może się podobać.

## Barcelona



Choć nie zawsze Katalonia chciała być Hiszpanią, to jednak jej stolica – Barcelona – może być uznana za skrót Hiszpanii. Wielu Europejczyków tu tylko przybywa.

Barcelona to bukiet nie wędnącej przeszłości: od średniowiecza poprzez odrodzenie, dziewiętnasty wiek do współczesności. Choć jej symbolem są budowle Gaudiego, to przecież w tym mieście wszystko jest ciekawe i bajeczne. Podróżny patrzy na Sagrada Família czy Park Gaudiego, ale widzi także zarówno średniowieczną katedrę, jak i współczesny miejski spektakl na Las Ramblas. Wieczorem może nawet zobaczyć „tańczące fontanny” przy Placa de les Cascades. Tak – od Barcelony trudno jest oderwać wzrok. I myśli. A potem pamięć. Może sami mieszkańcy miasta nie chcą pamiętać o upływie czasu, skoro od stu lat budują kościół Gaudiego Sagrada Família mówiąc, że potrwa to jeszcze 30 lat. Potrwa 130 lat.

A przy tym to miasto zaskakuje. Choć zazwyczaj latem jest tu bardzo ciepło, to może się też zdarzyć krótkotrwała obfita ulewa, gdy ulicami przez godzinę płyną rzeki.

Choć jest tylko stolicą prowincji, to przez wielu jest uznawana za jedną ze stolic Europy. I pewnie sama za taką się uznaje. Tak, Barcelona ma w sobie coś z nimfomanki. Zresztą, jest z tym jej do twarzy – czy raczej do jej kwiecistych budowli.



Nawet gdy podróżny nie jest zbyt wierzący, wjazd do tego sanktuarium unosi go. Jedzie się tu serpentynami i trawersami wysoko w górę. Czasem droga wiedzie po wąskiej półce, zawsze wtedy myśli się, czy ten wjazd jest naprawdę potrzebny. Często myśli się również o spalonych lasach: zwęglone kikuty drzew obok drogi świadczą o niedawnych pożarach.

Klasztor benedyktynów (którzy przybyli tu już w X wieku), a przede wszystkim kościół na Montserrat z niezwykłym frontonem jest równie piękny, jak wiele innych kościołów hiszpańskich w stylu plateresco. Przez to, że jest tak wyniesiony ku górze (dzięki czemu przypomina greckie klasztory w Meteorach), która dała mu nazwę, i wyodrębniony przez uroczy plac, który przed nim się roztacza, trudno od niego się oderwać. Nie wiadomo tylko, czy bardziej skłania do wiary czy do sztuki, do modlitwy czy do kontemplacji.

A może trzeba tutaj poszukać jakiegoś spokojnego miejsca, w którym wszystkie te sfery tworzą misterną całość? Kto był w Montserrat, ten wie, że taka próba nie jest bez szans. Tylko tak trudno znaleźć tu spokojne miejsce. Może w nocy, gdy widać tylko własne myśli?

## Blanes



Może w tym mieście niczego niezwykłego nie ma oprócz wspaniałej nadmorskiej promenady. Zamyka ją z jednej strony postrzępiona flanka starych i nowych domów, a z drugiej – wzgórze z dorodnym ogrodem botanicznym Mar i Murtra.

Na promenadzie rosną okazałe palmy (to nic dziwnego), stoją stare działa (dziwne miejsce im tu wybrano), ale przede wszystkim towarzyszy jej piękna skalista wysepka La Palomera. Gdy po niewielkiej grobli wejdzie się tam, można mieć wrażenie, iż znajdujemy się na skalistym statku, który tu przycumował, i który na szczęście nie chce stąd odpłynąć.

Wędrując kilometrami po promenadzie cieszymy się wrześnieowym spokojem. Przed wyjazdem z plaży zabieramy kamyk, o którym i tak potem zapomnimy. Po co o nim pamiętać, skoro i tak zawsze będziemy pamiętali La Palomerę.



To małe nadmorskie miasteczko wydaje się istnieć tylko dla wybranych. Nawet plaża w niewielkiej zatoczce jest tu mikroskopijna. Jego uroda jest zaś niezwykła. Dociera się tu, jak do ukrytej niespodzianki.

Dotykamy starych murów, jakbyśmy dotykali skamieniałego czasu. Wpatrujemy się w resztki budowli, które snują zapomnianą opowieść. Wędrujemy po wąskich uliczkach, jakbyśmy chcieli wytropić linie tajemniczego labiryntu. Małe stare kościółki mają zardzewiałe klamki – jakby współczesność nie chciała już dotykać przeszłości.

Szkoda, że tego miasteczka nie mogą całkowicie ukryć wysokie, urwiste, nadmorskie skały, zupełnie broniąc do niego dostępu. Wtedy byłoby tylko nasze – a więc także i twoje.

## Tarragona



Jeżeli podróżny chce zobaczyć w jednym miejscu mury cyklopowe pozostałe po starożytnych Iberach, pozostałości rzymskiego amfiteatru z czasów Oktawiana Augusta, dwunastowieczną katedrę wzniesioną na miejscu rzymskiej świątyni Jowisza i arabskiego meczetu oraz nowoczesną elektrownię jądrową, to powinien wybrać się do Tarragony. W prezencie dostanie jeszcze pas wybrzeża morskiego, które nie jest tak znane, jak osławione Costa Brava, lecz jest nie mniej atrakcyjne i ma nie mniej kuszącą nazwę: Costa Durada. Jeżeli się dobrze skupi, może też wypatrzeć w niektórych elementach architektury miejskiej wpływy mauretańskie, które promieniowały aż tu z południa Półwyspu Iberyjskiego. Nie, podróżny nie znajdzie tu śladów całego świata, ale znajdzie ich wielką część.

Gdy będzie miał szczęście, to może też trafić na kilkudniową festę Santa Tecla i wraz z mieszkańcami zatańczyć na ulicach Tarragony paso doble. Gdy wypije nieco miejscowego wina, może nawet udać mu się to tak dobrze, że nikt nie rozpozna w nim przyjeźdnego. Wtedy będzie już jednym z mieszkańców Tarragony.



To jest jedno z tych miast, w których żałuje się, iż tak krótko się tu przebywa. Wtedy nie zdoła się go uchwycić ani ogarnąć jego struktury, nie uda się też wyłowić jego pereł. Po-dróżny jest już oczarowany Estación del Norte i Mercato Central, ale na Plaza de la Virgen, gdzie z jednej strony widzi piękną katedrę z imponującą dzwonnica Miguelete, z drugiej bazylikę de los Desamparados, z trzeciej cudowną fontannę, poddaje się. Zbyt wiele jest tam pięknych budowli, by tak je po macoszemu potraktować.

Tak, czasem zostawiamy za sobą miasta, które oglądane w zbytym pośpiechu, jakoś obrażają się na nas. Oby tak nie stało się z Walencją. No cóż, można postać jeszcze chwilę przy monumentalnej bramie Torres de Serranos, popatrzeć na nią z jednej i z drugiej stro-ny, i... odjechać. Jak widać, niedobrze jest zbliżać się do starych bram pięknych miast, bo wskazują nam, co musimy zrobić.

## Kartagena



Zbiegły się tu różne epoki i kultury. Są fenickie kamienie, są rzymskie, a właściwie bizantyjskie fundamenty murów, są wąskie średniowieczne uliczki, słowem – jest dużo starej Hiszpanii. I jest też – niestety – turystyczna nowoczesność, która znad wspaniałej plaży jakby chciała zdusić stare miasto inwazją wielu hoteli.

Jednak pozostanie piękne brzmienie intrygującej nazwy miasta, która może kojarzyć się z imieniem pięknej kobiety. Musi to być nazwa interesująca, skoro powtarza się w różnych wcieleniach – od północnej Afryki po Amerykę Południową. Kartagena więc to nie tylko imię kobiety – to także imię historii i egzotyki.



To jest miasto, o którym śpiewano pieśni, jakie już w dzieciństwie można było usłyszeć. Jego mit poznaje się wcześniej niż dzieje Hiszpanii, a Dziedziniec Lwów widzi się na reprodukcjach długo przedtem, zanim ktoś wyobrazi sobie, że kiedyś może tu przyjechać. Nie musi uwodzić tego miasta, bo sam był od dawna w jakiś tajemniczy sposób przez nie uwiedziony.

Potem chodzi tu jak zaczarowany w upalny dzień i w nocy, przy księżycu (błądząc po biednych cygańskich dzielnicach). Chłonie jego mauretańską finezję i hiszpańską wspaniałość tak, jakby mu się to należało, a przecież ciągle nie wychodzi ze zdumienia, iż właśnie jest w tym mieście. Tu po raz pierwszy może być na występie flamenco i tu po raz pierwszy dotknąć może oczami tego, co nazywane jest arabeskami. I tu po raz pierwszy może zacząć się dziwić, dlaczego Arabowie i Hiszpanie nie potrafili zrozumieć, że przecież mają tego samego Boga, tyle że inaczej nazywanego i inaczej sławionego. Fizycznie arabska Alhambra jest w hiszpańskiej Grenadzie, ale też i jakoś poza nią. Na szczęście, pozostaną one już na zawsze bliską sobie całością.

## Sewilla



Już od pierwszego spaceru, nawet od pierwszego spojrzenia, podróżny postanawia tu kiedyś wrócić. Bo Sewilla jest tak piękna i ciekawa, jak jej nazwa. Przy katedrze można zapomnieć o innych miastach, i to nie tylko dlatego, że jest to katedra, o której miano mówić, że jej budowniczkowie zwariowali. W zaułkach miasta można chcieć pozostać na zawsze, by popijać tu wieczorami czerwone wino. I nie martwić się tym, że Złota Wieża wypełniana była kiedyś nie tyle złotem, ile złem zadawanym ludom Ameryki i Antyli. Owszem, odwiedzając Sewillę, odwiedza się też miniony czas, ale na szczęście jakiś odmieniony. To upływ tego czasu, który minął od rozboju konkwistadorów, nadał Sewilli i całej Hiszpanii szlachetność i delikatność, które samych Hiszpanów mogą dziś zadziwiać.

Nie wiadomo, kiedy wróci się do Sewilli, i czy w ogóle się wróci, ale wiadomo, że Sewilla sama będzie wracała.



Najpierw podróżnego ogarnia tu kamienny chłód. I to bynajmniej nie dlatego, że stąd pochodził groźny konkwistador Pizarro. Kamienne ściany domów, a nawet pałaców nie chcą się otworzyć. Nie widzi ludzi, tylko zastygłe stare miasto zbudowane przez konkwistadorów wzbogaconych na antypodach. Stara się jednak polubić to miasto, bo przecież czuje, że mu się podoba. Przemyka jego zaułkami, przechodzi jego mostami, przenika przez jego bramy. Zaczyna rozumieć jego linię obrony przed dawnymi napastnikami; nie rozumie jednak, dlaczego jest one jakieś oschłe wobec niego, skoro już je polubił. No cóż, chce ono być jakimś muzeum – kamiennym skansenem dawnych czasów. Trzeba mu na to pozwolić. Ale jak poradzić sobie z tym, że ono bardzo się podoba. Przecież podróżny nie zabierze ze sobą aż tyle kamienia. Może zabrać trochę fotografii i nieco zapamiętanych wrażeń. Jeżeli jeszcze wcisnęła się pośród nie wielka sympatia, jakieś też zdziwienie, to i tak będzie więcej, niż zdoła udźwignąć. Więc pora wyjeżdżać. A kamienne miasto, jak tyle innych, będzie trwać i czatować na nowych podróżnych.

## Vejar de la Frontera



To prawie białe miasteczko, w którym tylko gdzieniegdzie rosną palmy, mogłoby równie dobrze znaleźć się w jakimś arabskim kraju. Bo kiedyś przecież było arabskim miasteczkiem. Jeszcze teraz można sobie wyobrazić dawnych jego mieszkańców, przeciskających się na osiołkach wąskimi uliczkami. Podróżny może zapastryczyć się w jakąś samotną kobietę idącą po pustej teraz ścieżce, i pomyśleć, że może w jej żyłach płynie trochę krwi dawnych Maurów, a w jej sercu ciągle tkwi tęsknota za tajemniczymi, na biało ubranymi jeźdźcami na pięknych arabskich koniach. Kiedyś było to jednak miasto frontowe i szaty tych jeźdźców bywały pewnie czasem spryskane krwią. To dobrze, że teraz pozostała jedynie czysta biel domów i nostalgia, która nie musi przecież mieć koloru krwi. Ba, nie musi mieć żadnego koloru. Przecież biel to dobry kolor dla spokoju, którym w południe oddycha to piękne miasteczko.



Kręci się w głowie, gdy stoi się na brzegu urwiska, nad którym położona jest średnio-wieczna Ronda. Patrzy się w dół i wyobraża poczucie bezradności tych, co z dołu usiłowali może kiedyś napaść dawnych mieszkańców miasta. Teraz jest tu bezpiecznie i błogo, a jedynie głośnie okrzyki rozlegają się na wielkiej miejscowej arenie corridy. W muzeum obok obejrzeć można głowy dzielnych byków, które jako trofea ozdabiają ściany. Może lepiej byłoby tu widzieć głowy operetkowych torreadorów. Spaceruje się po wąskich i krzywych uliczkach, zagląda jak scenograf do licznych patio, w niektóre nawet wchodzi, gdy ma się pewność, że nie jest się intruzem. Przez moment można nawet poczuć się mieszkańcem tego pięknego prowincjonalnego miasteczka, choć wiadomo, że za kilka godzin trzeba będzie stąd wyjechać.

Gdy czuje się przed tym żal, należy zejść na dół i próbować zdobyć to miasto wdrapując się do niego po stromej skale urwiska. Będzie to trwało długo, a może nigdy się nie skończy. Ale będzie tworzyć najsilniejszą więź z miastem.

## Saragossa



Nie znajdzie się tu żadnego pomnika ani nie znajdzie się żadnego Potockiego, szczególnie gdy się ich nie szuka. Lepiej nie szukać nawet ich śladów ani symboli, gdy nie ma na to czasu, albo gdy jest tylko czas, żeby pobieżnie poznać miasto, a właściwie jego centrum. Może jeszcze bardziej niż poznać miasto, lepiej próbować poznać własny stosunek do niego. Wtedy miasto od razu podróżnego przyjmie i ujmie. Szczególnie wtedy, gdy niemal od razu znajdzie się on na Plaza del Pilar, którego uroda jest tak imponująca, jak i niespodziewana. Bazylika de Nuestra Señora del Pilar oraz niedaleka katedra La Seo tworzą dobraną parę.

Gdy dalej spaceruje się też po innych placach i ulicach, można zobaczyć jeszcze wiele pięknych budowli i rzeźb. Jeżeli jest akurat sjeśta, to podróżny może odnieść wrażenie, że całe miasto jest tylko dla niego. Nie zdoła jednak zabrać go w swojej pamięci. No cóż, będzie musiał potem jeszcze przeczytać jakiś „rękopis znaleziony w Saragossie” – niekoniecznie Potockiego.



Nawet gdy spędza się tu któreś swoje urodziny, nie doda to atrakcyjności temu miejscu. Także to miejsce nie doda odświętności urodzinom podróżnego, szczególnie gdy nie chce on o nich pamiętać. Bo i cała oprawa pobytu na Gibraltarze często bywa zepsuta: pada deszcz, wieje silny wiatr, jest zimno. Długo czeka się na przejściu granicznym do strefy angielskiej, przeklinając tę absurdalną granicę w jednoczącej się Europie. Może też brzydka pogoda odstrasza małpki – symbole, które zazwyczaj wesoło skaczą po tej wyniosłej skale, nieco odbierając temu miejscu jego napuszonej militarności. Nawet Cieśnina Gibraltarska okazuje się niesympatyczna, gdy płynie się promem do znajdującej się po jej drugiej stronie Ceuty. I nie zrobi żadnego wrażenia to, że przecież jest się już w Afryce. A i ta hiszpańska enklawa na marokańskiej ziemi wyda się absurdalna w końcu XX wieku. Na szczęście Gibraltar jest niewielki i można szybko go opuścić. I tak dobrze, że uniknie się podróży pomiędzy Scyllą a Charybdą, które starożytni tu sobie wyobrażali.

## Andorra



Do kolekcji dziwnych tworów państwowych trzeba też włączyć małą Andorrę. Położona gdzieś daleko w Pirenejach trwa tak już sobie od trzynastego wieku. Teraz jest pod zarządem Prezydenta Francji i jednego z biskupów hiszpańskich, a przecież ciągle jest suwerenna. Ot, tajemnica historii i polityki.

Choć miasto żyje z turystyki międzynarodowej, to pobyt tu jest zazwyczaj proporcjonalny do wielkości miasta. Krótki rzut oka na starówkę, zakupy w bezcłowych sklepach (teraz już mniej atrakcyjne) w nowej części miasta, spojrzenie na otaczające góry i odjazd. Po drodze jednak najważniejszy punkt programu: kontemplacja Pirenejów.

I ta ciągła niepewność: czy jadąc przez góry chcemy dojechać do miasta, czy jadąc do miasta chcemy przejeżdżać przez góry? Wiadomo, że nie da się jej rozwiązać podczas żadnej podróży, lecz mimo to, trzeba nieustannie próbować.

## Portugalia

Jedno z biur podróży nazywa Portugalię „atlantycką ślicznotką”. To bardzo trafna nazwa, bo jest to kraj niewielki, nie napuszony, a jednak dyskretnie piękny. Jest wystarczająco równinny, ale też pofałdowany i górzysty. Ma dużo gajów oliwnych i cytrusowych oraz lasów eukaliptusowych, dębów korkowych i sosen pini. Rosną tu też palmy. Jego sąsiedztwo z wielkim Oceanem Atlantyckim daje mu poczucie skromności, ale i uzasadnionej dumy z tego, że to kiedyś właśnie Portugalczycy jako pierwsi wybierali się w świat, by go opływać i poznawać. Później wyjeżdżali za pracą, ale teraz przyjeżdżają tu inni, by Portugalię podziwiać i polubić. Może dziwi ich tylko, dlaczego Portugalczycy, mimo tak pięknego kraju, są tak smutni. Może dlatego, że słuchają fado? A może fado jest smutne, bo tacy są Portugalczycy?

## Lizbona



To miasto ma swój charakter i dla nikogo nie może być obojętne. Gdy przybysz znajdzie się w dzielnicy Belém przy obłędnie pięknym klasztorze Hieronimów, czy na dostojnej Avenida da Liberdade, czy wreszcie w labiryncie wąskich uliczek dawnej arabskiej dzielnicy Alfama, gdzie bieda i wdzięk zalotnie do siebie się uśmiechają, zawsze patrzy na Lizbonę z mieszaniną uniesienia i czułości. I pewnej nostalgii, gdy lubi słuchać fado. Nie jest w tym osamotniony, to prawda. Wszak już *Lisbon Story* Wima Wendersa nauczyło wielu ludzi czułości wobec tego miasta, a wielbiciele Fernanda Pessoa mieli ją w sobie od dawna. Nie wiadomo, czy Lizbona odsłoni przybyszowi wszystkie swe uroki i tajemnice. Pewnie nie. Dlatego lepiej mieć też w zanadru własne tajemnice wobec tego miasta. Są w Lizbonie takie miejsca, w których można po cichu dokonać wzajemnej ich wymiany. Wymaga to jednak pełnej dyskrecji i niemal całkowitej konspiracji. Tak, tajemnica lubi tajemnicę.



To miasto obrastało wokół letniego pałacu królewskiego. Arystokraci chcieli być blisko królewskiego dworu, a mieszczaństwo chciało na nich zarabiać. Dzisiaj wszyscy zarabiają tu na turystach. I tylko ten średniowieczny pałac królewski jest wciąż najważniejszy. I najwyższej położony. Ale do dziś nie ma w nim toalety. Jednak gdziekolwiek by podróżny nie spacerował po stromych i wyszlizganych uliczkach miasteczka, zawsze wraca na dziedziniec przed pałacem.

Pałace nie są jednak dla podróżnych – dla nich są hotele i hostele. Pałace są do zwiedzania i podziwiania. Ten głęboki ukłon demokracji wobec społeczeństwa, które samo już nie musi kłaniać się władcom, nie jest jednak za darmo. Jego ceną jest chwila i pobieżność. Potem pałac trzeba przewietrzyć. W tym czasie podróżni zapominają, co widzieli.

## Cabo da Roca i Nazaré



Europa jest niewielka, ale i ona ma swoje najdalej wysunięte punkty. Na zachodzie takim punktem jest przylądek Cabo da Roca. Chciałoby się powiedzieć, że ta kilkusetmetrowej wysokości skała wcina się w Ocean Atlantycki. Ale przecież jest odwrotnie: to ocean wcina się gwałtownie w ląd, łaskawie pozwalając tej skale na jej poczucie wzniosłości – jakże dumnej – choć przecież nieuzasadnionej. Drewniana barierka dyskretnie podpowiada, gdzie jest niebezpieczna granica, którą może przekraczają straceńcy. A przecież ta skała desperacko broni honoru lądu – przy każdej pogodzie. I także w swej nocnej samotności.

Gdy szuka się innego nastroju, lepiej wybrać się bardziej na północ: do Nazaré. Jest tam też klif, lecz niższy i bardziej zagospodarowany religijnie i turystycznie. Na dole jest piękna zatoka, w której ocean jest bardziej spokojny, a plaże szerokie. Samo Nazaré jest jednak tak typowe, jak każda inna nadmorska miejscowość wypoczynkowa. Dlatego lepiej nad Atlantykiem zapamiętać Cabo da Roca. Choć i tak stamtąd ciągle daleko do Ameryki.



Po przejściu długiego mostu, który kiedyś był nad wielką rzeką, a teraz jest nad rzeczką, która przez wieki uległa zamuleni, wchodzi się do miasteczka pamiętającego jeszcze rzymskie czasy. Skośnymi uliczkami i bardziej stromymi schodkami podchodzi się najpierw do trzynastowiecznej katedry stojącej na fundamentach dawnego meczetu i zaraz potem do wielkiej twierdzy zbudowanej z czerwonego piaskowca przez Maurów w X wieku. Potem była ona chrześcijańską warownią, a jeszcze później więzieniem. Ważniejsze jest to, że jeszcze do dziś jest tam cysterna zbudowana przez Maurów, nosząca nazwę: „cysterna zaczarowanej mauretańskiej dziewczyny”, która do dziś zbiera wodę na potrzeby miasta. Spacerując teraz po mieście nie spotyka się, niestety, mauretańskich dziewcząt, zresztą nie spotyka się w ogóle dziewcząt. Czyżby wszystkie zostały zaczarowane? Może tak, dlatego lepiej tu przyjeżdżać ze swoją dziewczyną.

## Óbidos



Kto znajdzie się w słonecznym dniu w tym miasteczku, usytuowanym na wysokiej skale, zobaczy, że ono, choć wysoko położone, wcale nie jest wyniosłe. I pewnie jest takie nie dlatego, że ciągle chronią je pełne średniowieczne mury obronne i ogromna twierdza. Mury są trasą spacerową dla turystów, którzy nie cierpią na lęk wysokości, a twierdza jest luksusowym hotelem. Miasto nie jest wyniosłe, bo pobielilo wszystkie swe ściany i ozdobiło je pięknie kwitnącymi roślinami, które przytulają się do wielu domów (a może domy przytulają się do tych kwitnących krzewów?). Kiedyś było wianem którejś z królowych portugalskich. Dzisiaj jest wianem każdego ze spacerujących tu przyjezdnych.



To miasto samo w sobie jest sympatyczne, lecz nie ma to większego znaczenia. Znaczenie ma tu swoiste drugie miasto położone w jego środku – gigantyczny kościół gotycki i opactwo Cystersów z początków średniowiecza – którego jest wymowną pamięcią. Kilka sarkofagów królów portugalskich tym bardziej tę pamięć akcentuje.

Chodzi się po gigantycznej świątyni, po pustym teraz klasztorным refektarzu czy dormitorium, podziwia się spokojną dostojność tych budowli i może po cichu zastanawia się, czy żyjąc osiemset lat temu, chciałoby się być mnichem. Pewnie tak, choć teraz nie chce się tego wyznać – może dlatego, że w tych miejscach nie przetrwała świętość, tylko przetrwało piękno. Nie wypada tu zastanawiać się nad tym, czy stało się tak dlatego, że jest trwalsze, czy może dlatego, że jest powszechniejsze.

## Coimbra



Tu była kiedyś pierwsza stolica Portugalii, a teraz jest pierwszy uniwersytet. I najstarszy. To tu ponad siedemset lat temu mądry król (który sam może ledwo umiał pisać i czytać) oddał swój piękny pałac na siedzibę uczelni. Potem inni władcy raz po raz coś do uniwersytetu dodawali. Obecnie zwiedzanie miasta najlepiej rozpocząć od najwyższego punktu miasta – właśnie od uniwersytetu. I potem stopniowo schodzić w dół do miasta bardziej mieszczańskiego, ale i do wspaniałego, zbudowanego na początku XII wieku kościoła i klasztoru Santa Cruz. Po drodze można odwiedzić aż dwie katedry: Se Velha (uchodzącą za najwspanialszą budowlę romańską w Portugalii) oraz Se Nova (czy jeszcze jakieś inne miasto na świecie ma dwie katedry?), rozważając, która jest ciekawsza. I, jeżeli jest właśnie początek roku akademickiego, obserwować studentów pierwszego roku, którzy zgodnie ze starymi ceremoniałami średniowiecznymi starają się upodobnić do starszych roczników. Żałując, że się nie jest jednym z nich, można sobie kupić na pocieszenie płyty ze starą muzyką portugalską i dyskretnie wyjechać z miasta. Muzyka i tak podychają za nami.



Porto leży nad oceanem, ale i przy szerokim ujściu rzeki Duero. Od zawsze – czyli od czasów rzymskich – było znaczącym ośrodkiem handlu. Ale nie zatraciło też uroku, który rozciąga się tu na szerokim i pokrzywionym obszarze między imponującym bogactwem a sympatyczną biedą opuszczonych starych kamienic. To tu jest najbardziej niezwykły kościół pod wezwaniem „biedaczyny z Asyżu” – św. Franciszka, kościół, który wewnątrz cały wprost ocieka złotem. To tu jest bajecznie bogata gildia kupiecka i tysiące małych i większych kamieniczek i kamienic, których jedyną fantazją są misternie kute kraty balkonowe i ściany wykładane często wyblakłymi już płytkami *azulejos*. Może właśnie te niepozorne, choć liczne kamieniczki najbardziej zapamiętuje się z Porto. Płynąc po Duero, znakomicie widać, jak miasto spina kilka wdzięcznych starych i nowych bardzo wysokich mostów, które nie tylko łączą dwa brzegi, ale też wiele epok. Gdy wyjeżdża się z miasta po krótkim pobycie, nie sposób zorientować się, z której epoki wyjeżdża się przede wszystkim. Bo w Porto gość ma poczucie wdzięcznego zagubienia. I niewiele mu tu pomoże wypicie kilku kieliszków porto.

## Braga



Bragę najlepiej zacząć zwiedzać od poranku na górze z kościołem Bom Jesus do Monte. Wtedy jeszcze poranna mgła dobrotliwie przekomarza się ze słońcem, któremu jednak powoli ustępuje. Potem schodzi się w dół schodami z licznymi fontannami, figurami świętych oraz stacjami drogi krzyżowej. Jednak piękno i cała koncepcja tej kalwarii przeważają tu nad religią – przynajmniej dzisiaj.

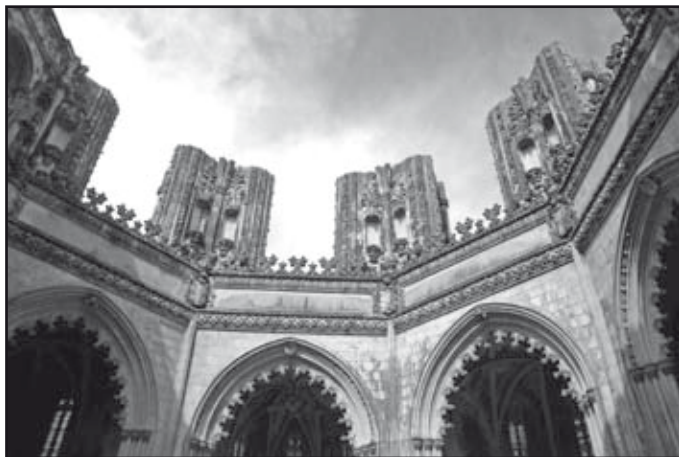
Później, w dolnym mieście, idzie się do średniowiecznej katedry, bo przecież Braga to religijna stolica Portugalii. Romańska katedra w Bradze wzbogaciła się o elementy gotyckie oraz – może przede wszystkim – ogromne i wspaniałe barokowe organy, które znakomicie wtopiły się w jej wnętrzu. Dzieci pod okiem organisty próbowały na nich grać, więc lepiej było wyjść na zewnątrz. Opoдал Antigo Paço Episcopal, czyli dawnego pałacu arcybiskupów Bragi, znajdzie się przepiękny ogród kwietny. Może będzie trudno stąd odejść, chyba że poczuje się głód. Wtedy należy poszukać baru, gdzie można zjeść smaczną frigdeuירę – podobno jedną z ulubionych potraw Portugalczyków, która odtąd z pewnością będzie i naszą ulubioną potrawą. Szkoda jedynie, że łatwiej zapamiętać smak niektórych potraw niż ich nazwy.



Przed przyjazdem tutaj można było nic nie wiedzieć o tym niewielkim mieście, a na miejscu okazuje się, że jest uznawane za kolebkę Portugalii, choć nigdy nie było jej stolicą. Tu się urodził i tu był ochrzczony przyszły pierwszy król Portugalii, a niewielką romańską kaplicę, gdzie znajduje się tamta chrzcielnica, można do dziś oglądać na wzniesieniu górującym nad miastem. Maleńką kaplicę obok wspiera gigantyczny zamek Castelo de São Miguel, który zaczęto budować już w X wieku przeciw Maurom i Normanom.

Lepiej jednak zejść do dolnego miasta. Tutaj urocze placyki konkurują ze sobą swoją dawną historią i dzisiejszą urodą. I choć przypuszczalnie z tych zawodów zwycięsko wychodzi plac Largo da Oliveira z kościołem i klasztorem Nossa Senhora de Oliveira (Matka Boska Drzewa Oliwnego), to pozostałe – z pięknymi starymi kolorowymi kamieniczkami – niewiele mu ustępują. Spacerując od jednego do drugiego, można jednak udawać, że kibicuje się jednemu i drugiemu. Guimarães nie potraktuje tego jako obłudy, lecz jako oddanie.

## Batalha



Kiedy nagle w niepozornym miasteczku, pośród niepozornych domów zobaczy się na rozległym placu gigantyczny kościół i były klasztor dominikanów, należy sprawdzić, czy się nie śni. Budowle te są tak niezwykle, że wątpliwości będą w pełni uzasadnione. Rozpoczęte pod koniec XIV wieku i kontynuowane do początku XVI wieku, są arcydziełem czystego stylu gotyckiego (w świątyni) i manuelińskiego (w klasztorze). Tak zwane „nie-dokończone kaplice” (nie mają zadaszenia) okażą się arcydziełem snów podróżnego, bo jego wyobraźnia dotychczas nie doznała takich wrażeń architektoniczno-rzeźbiarskich. Jeżeli podróżny modli się w takich obiektach, to tu zapomni o modlitwie. Zresztą, zapomni o wszystkim – także o sobie. Wychodząc, długo nie będzie umiał przypomnieć sobie o sobie. Będzie tylko widział Batalhę.



Może miasto Tomar jest ciekawe, jednak podróżny od razu udaje się na górę do zamku i klasztoru templariuszy, którzy później – po oficjalnej kasacji tego zakonu – stali się Zakonem Chrystusa. Ten zamek i klasztor same w sobie są swoistym miastem – miastem, które templariusze zaczęli budować w połowie XII wieku. Na początku XVI wieku na surowy styl romański i gotycki tu i ówdzie nałożył się bardzo ozdobny, dekoracyjny styl manoliński. Chodząc po licznych dziedzińcach i salach, można poczuć potęgę templariuszy i ich samowystarczalność. Pewnie była zbyt wielka, dlatego musiała zostać złamana przez królów i papieży. Zamek w Tomar jest echem tej potęgi – echem donośnym, bo w zamku jest mało zwiedzających. Można więc spokojnie krążyć po nim widząc nie tylko jego majestatyczną wielkość, ale też wpatrując się dokładnie w detale zdobień, zworniki żeber stropów i grymasy maskaronów, których jest tu wiele. Można sobie wyobrazić, co one wyprawiają nocami, gdy zamek pustoszeje. Chciałoby się podpatrzeć to z jakiegoś ukrycia.

## Évora



Dobrze jest zaczynać poznawanie Portugalii od Évory, ale lepiej jest żegnać się z Portugalią w Évorze. (Niektórym podróżnym udało się jedno i drugie.) To łagodne białe miasto trwa tu od czasów rzymskich – o czym przypominają kolumny świątyni Diany. Po Maurach nie ma śladów, natomiast dwunastowieczna katedra z trzema wieżami przypomina o średniowieczu, w czym wtóruje jej piętnastowieczny kościół São Francisco. Renesansowe budowle i fontanny dopełniają reszty. Évora jest tak urocza, że nie odstręczy jej nawet ponura Capela dos Ossos wypełniona kośćmi kilku tysięcy zakonników, ani piękny skądinąd budynek dawnej Świętej Inkwizycji. Spacerując po wąskich białych uliczkach tego uroczego miasta, przysiadając przy jego placykach, chłonąc jego październikowe słońce, podróżny może zacząć myśleć o tym, żeby to miasto go przygarnęło, zaczyna czuć się jego obywatelem. I już wtedy zaczyna też cieszyć się, że grupa muzykujących studentów, których przypadkowo zastał grających i śpiewających na jednym z placów, grała i śpiewała nie tylko dla siebie.

## Anglia

Gdy podróżnego nie pociąga północ, nie znajduje też w niej wiele atrakcyjnych miejsc. A przecież w Anglii, a tym bardziej w całej Wielkiej Brytanii, jest wiele wspaniałych miasteczek i miast, rzek i mostów, gór i chmur. Istnieją, choć nie zostały zobaczone. No cóż, póki co, niech pozostanie teraz choć kilka drobnych słów, by stały się pretekstem do przyszłych pełniejszych i bardziej dorodnych odwiedzin.

## Londyn



Londyn jest imperialny i dumny, otwarty i imponujący. Pałac Buckingham i parlament, Tower i City, British Museum i Westminster – wszystko robi ogromne wrażenie. Wszystko też mówi: „patrzcie, jacy jesteśmy wielcy i wspaniali”. No cóż, nie da się ukryć, że tak jest, mimo iż są to pomniki minionej chwały. Jest to jednak chwała dobrze zakonserwowana i przejawiana w dobrym guście.

Jednak nie każdy ulega tej chwale. Nie każdy może zaprzyjaźnić się z Londynem. Nie każdy też może wytworzyć w sobie tęsknotę do tego, by chcieć tu wracać. Ot, obejrzeć, pospacerować i wyjechać.

Londyn wydaje się często nieco zimny, i to nie tylko wtedy, gdy poznaje się go w miesiącach zimowych. Przecież nie musi być zamglony, przecież mogą akurat kwitnąć żonkile. Więc nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje.

Nie wszyscy powierzą Londynowi swe marzenia.



Miało to być miasteczko „po drodze” – zwykłe, angielskie, codzienne. Canterbury jest jednym z najważniejszych miast chrześcijańskiej Anglii. Nie wiadomo, czy z tego powodu bywa tu więcej wiernych, ale z pewnością bywa więcej turystów.

Można jednak powłóczyć się po Canterbury wyobrażając sobie, że jednak jest typowym angielskim miasteczkiem. Jego stare i zadbane uliczki pozwalają na takie wyobrażenia. Zresztą zawsze można wrócić do katedry, a przynajmniej jej fasady. Finezja zdobień wynagrodzi wszelkie wcześniejsze znudzenie. Choć nie można tu uchwycić średniowiecza na gorącym uczynku (katedra otoczona jest bardziej współczesnymi budynkami), to można jednak wyobrazić sobie średniowieczną perłę. Dzisiaj już nikt nie zapyta o to, z jakiego cierpienia ona powstała, bo czas zamienił dawne cierpienie na współczesną widokówkę.

## Windsor



To miejsce ma podwójne szczęście: siedziba królewska i nazwa rządzącej dynastii, której poprzednia wersja mogła źle się kojarzyć.

Zamek wielki i imponujący, jak całe imperium. Gdy nie przebywa w nim monarcha, może go zwiedzać lud – czyli turyści. To jeszcze jedna okazja do podziwu i uznania. I do dostrzeżenia poczucia dumy u Brytyjczyków, a skromności u przyjezdnych z uboższych krajów. I nie zaszkodził temu wielki pożar, po którym jednak szybko zamek odbudowano. Nawet ta odbudowa ma imponować.

Podziwianie zdobień zamkowych i mebli, zastaw stołowych i biżuterii jest traktowane jak ceremoniał – ceremoniał dla tych, którzy nigdy nie dostąpią zaszczytu zobaczenia monarchy z bliska.

Kiedyś myślano, że nawet powietrze, którym odycha monarcha niesie niezwykle majestat. Teraz, gdy monarchę nieraz trudno odróżnić od idola telewizyjnego, trzeba kupić bilet do muzeum zamkowego, by samemu sprawdzić, czy istnieją między nimi jakieś różnice. Po wyjściu nadal nie będzie to wiadome. Wszystko wszak przesłonięte jest nimbem majestatu lub przynajmniej mgłą dyskrecji.

## **Beneluks**

Trzy małe kraje, które pierwsze zaczęły integrować wielką Europę. Kraje o skali województw czy powiatów. Niewielkie, lecz błyszczące brylanty jej historii i jej urody. Jednej i drugiej jest tu więcej, niż mogłyby pomieścić całe kontynenty. Trio, w którym słychać różne dźwięki, jednak spójne i harmonijne. I pejszaże – niby niewielkie, a tak powabne i pojemne.

## Luksemburg



Stare i nowe pieniądze. Stara i nowa szlachetność. Stara i nowa mała wielkość. I wielka mała dostojność.

Chodzi się po Luksemburgu jakby na palcach, bo czuje się, że podziemnymi drogami przepływają tu miliony. Nie wiadomo skąd, dokąd i za co. Spaceruje się po mieście, które jest piękną maską kryjącą coś, czego nigdy się nie pozna. Niejako w zastępstwie patrzy się więc na budowle i mosty, pomniki i gazony, kościoły i pałace.

I tylko gdy staje się nad głębokim wąwozem, który przecina miasto w pół, można zastanawiać się, czy nie jest to jakaś symboliczna blizna – świadectwo dawnej walki żywiołów i namiętności na pięknej dzisiejszej masce.



Wiedziała Europa, gdzie umieścić swą unijną stolicę. Piękną stolicę dużej Europy w pięknym małym kraju.

W Brukseli jest wszystko. Jest gigantyczny model atomu i miniaturowa replika najważniejszych budowli europejskich. Są piękne stare uliczki i nowe dzielnice, zielone parki i szklane domy, kościoły i gmachy rządowe.

Przede wszystkim jednak w Brukseli jest rynek tak piękny, jakby był wymyślony przez bajkopisarza-cudotwórcę. Można bez końca wpatrywać się w każdą kamieniczkę z osobna, ale można też kontemplować całe pierzeje. Potem trzeba kogoś poprosić, aby nas stąd zabrał, bo z własnej woli można nie chcieć stąd wyjść. (W jednej z tych kamieniczek Karol Marks napisał *Manifest komunistyczny*; teraz jest tam siedziba jednej z wielkich kompanii piwnych.)

A gdy się już na wszystko podróżny napatrzy, może podejść do małego posążka wdzięcznie siusiąjącego chłopca, codziennie przebieranego w inne ubranko. Wierzmy, że jest to dobry symbol stolicy europejskiej.

## Antwerpia



Antwerpia jest piękniejsza niż obrazy Rubensa, który tu mieszkał. Te obrazy zestarzały się, natomiast miasto, które jest o wiele starsze niż barok, zachowało dostojność i szlachetność starych pieniędzy, nie tracąc uroku młodości.

Tu gdzieś chodzili kupcy, którzy wiele wieków temu przynosili Europę z południa na północ. Budując swe domy i siedziby firm pokazali, że okolice Morza Śródziemnego nie mają monopolu na wdzięk. Każda wąska kamieniczka prezentuje się jak szczupła modelka na wybiegu – tyle że w ich fasadach można dopatrzyć się więcej radości niż w twarzach modelek.

Nawet gdy nie lubi się malarstwa Rubensa, trzeba jednak wejść do Katedry Najświętszej Marii Panny, by zobaczyć tam jego *Ukrzyżowanie* oraz *Zmartwychwstanie*. Trzeba też wejść do jego domu, który wygląda jak książęca siedziba. No cóż – to dobre miejsce, by zastanowić się nad tym, co musi robić artysta w swej epoce, aby osiągnąć powodzenie i pieniądze.



To nie jest Toskania ani Prowansja czy Dalmacja. To jest leżące na północy miasto. A przecież jest to też bajka wymodelowana z kamieni, czasem czerwonej cegły. Z misternymi nitkami kanałów. Z uroczymi placami i zaułkami, z krętymi uliczkami, po których można krążyć w nieskończoność szukając straconego czasu.

Tak – Brugia jest świadectwem tego, że dawne epoki nie przemijają zupełnie. Jest zwierciadłem skamieniałego czasu – dosłownie i metaforycznie. Ten dawny czas ma tu młodzieńczy rumieniec i ma werwę. Przede wszystkim jednak kamienne uliczki Brugii mówią, iż ten miniony czas ma tu dystans do siebie samego. Do tego czasu, jaki był kiedyś, oraz do współczesności.

Błądzimy uliczkami Brugii, by nabrać tego dystansu. Jeszcze wierzymy, że jest to możliwe.

## Namur



Można dziwić się, że mieszkańcy Namur wpuszczają tu obcych. To miasteczko jest jakby stworzone dla bogatych rentierów. Piękne dawne uliczki, stare bogate wille i rezydencje w zielonych ogrodach, a przynajmniej za przystrzyżonymi żywopłotami. I to położenie przy ujściu Sambry do Mozy. Można spokojnie spacerować uliczkami, ale można też spacerować deptakiem wzdłuż rzeki. Miasto wtedy widoczne jest jakby od drugiej strony – pokazuje, że i tam jest zadbane i piękne.

A przecież to złudzenie, że można zobaczyć jakiegokolwiek miasto od „drugiej strony”. Każde miasto zawsze jest takie, jakie chce być widziane przez swoich i obcych. Tu nie ma oddzielnie kulis i sceny, widowni i kurtyny, bo wszystko jest spektaklem. W Namur jest to akurat spektakl bardzo spokojny – taki trochę dla emerytów, którzy wychodzą do teatru nie wieczorem, lecz po południu, gdy jest błogo i bezpiecznie. Tu można nabrać złudzenia, że taki jest cały świat.



Podobno, jeżeli chce się być wolnym, należy przyjechać do Amsterdamu. Przynajmniej tak było 40 lat temu. A teraz? Teraz też można tu przemieszczać się łodzią (kolejna Wenecja Północy), pieszo lub rowerem. Szczególnie rowerów jest dużo.

W bylej katedrze jest galeria, a w wielu byłych kościołach sklepy komputerowe i dyskoteki. Dzielnica czerwonych latarni robi się ciekawostką dla turystów, a w wielu kawiarniach można podobno kupić trawkę. Zawsze można wypić dobre piwo, a jeżeli nie chce się kupić najlepiej na świecie oszlifowanych brylantów, można wybrać się do niedalekiego Muzeum van Gogha lub do Rijksmuseum, nie tylko po to, żeby obejrzeć Rembrandta.

Amsterdam jest duży, różnorodny i ciekawy. Tu naprawdę można mieć złudzenie, że jest się wolnym. Jeżeli jednak do tego, by czuć się wolnym, potrzebne jest jakieś złudzenie, nie należy wybierać się nigdzie. Wolność wszędzie może być złudzeniem, tak jak i złudzenie wolnością.

No tak, Amsterdam to dobre miejsce, by sobie to przypomnieć.

## Szwajcaria

Kraj, o którym marzą milionerzy i mafiosi, bogaci emeryci i dostojne hrabiny, których nikt nie chce już zaprosić na żaden jacht cumujący u nabrzeży któregoś z krajów nadmorskich. I wszyscy, którzy chcą mieć święty spokój i dostatek. Otoczenie Alp, twarde dzieje i neutralność kraju dają poczucie bezpieczeństwa. Każda dolina dodaje do tego zielony uśmiech i błogie spojrzenie bardzo lubianych tu krów. Szwajcaria to kraj, w którym swojskość i światowość umówiły się, że będą się tu trzymały pod rękę.

## Vaduz (Liechtenstein)



Jadąc do Szwajcarii ze wschodu (przez Austrię) dobrze jest się zatrzymać na jakiś czas w tym niewielkim „powiatowym” państwie. Między innymi po to, by zobaczyć jedno ze starych europejskich księstw, zanim zobaczy się jedną z najstarszych europejskich republik.

Miasteczko będące stolicą to pocieszenie dla wszelkich prowincjuszy, którzy żyją kompleksami. Chodząc po czystych ulicach, między niewielkimi bankami, można nawet napotkać krowę (a na pewno się ją napotka, gdy wyjdzie się chociaż kilkanaście metrów poza zabudowania).

Widać krowy i łąki, a nie widać pałacu ani księcia. No cóż – zaczynamy myśleć, że może jest to jakieś wymyślone księstwo. Tym bardziej, że tu i ówdzie w mieście widać nowoczesne rzeźby – jakby w niezgodzie z długą tradycją feudalną. Wierzmy jednak na słowo. Wszak dobrze jest nie tylko myśleć, że małe jest piękne, ale także, że stare jest nowe. Trzeba jednak stąd wyjeżdżać. Choćby dlatego, żeby w tym małym państwie nie zagubić się w wielkiej lingwistyce.

## Zurych



To już jest prawdziwa Szwajcaria. Ren pospinyany pięknymi mostami. Czystość, dostatek, powaga. Wieże protestanckich kościołów i szyldy tajemniczych banków. Elewacje bogatych kamienic, które dyskretnie chowają te tajemnice oraz puste ulice, po których dzisiaj akurat nie spacerują milionerzy. Trochę szarości w powietrzu, gdy niebo jest pochmurne.

I tylko samotny kloszard drzemiący na kamiennej ławce jest być może szczęśliwy: stojąca obok butelka wina wypita jest tylko do połowy. Nie wiemy, czy został kloszardem dlatego, że złożył swoje pieniądze do banku, czy dlatego, że ich nie złożył.

A może mądre władze wynajęły go, by nieco uzupełniał i urozmaicał ten doskonały miejski pejzaż? I tylko powiewy wiatru przekornie szepczą: jakie to wspinałe i ludzkie miasto!



Choć jest to miasto, do którego przybywają na wypoczynek milionerzy i gwiazdy z całego świata, to i nas przecież przyjmie. Na krótko. Najlepsze hotele są już zarezerwowane, także stoliki w najlepszych i najdroższych restauracjach.

Przejdziemy się jednak piękną promenadą nad brzegiem Jeziora Genewskiego, spojrzymy na dostojne stare drzewa, pomarzymy o wielkim świecie. To wszystko jest za darmo. No może niezupełnie – szczególnie wtedy, gdy za bardzo uwierzymy w te marzenia.

Wiemy, że trzeba tu być krótko. Więc jeszcze raz przejdźmy się promenadą i jeszcze raz popatrzymy na wszystko, co się da. Pewnie już nigdy więcej tu nie będziemy. Chyba, że zrobią nam posąg – jak Elvisowi Presleyowi, który stoi nad brzegiem jeziora z gitarą w ręce. Wygląda jednak jakby się nudził.

## Interlaken



Już Rzymianie nazywali to miejsce *Inter Lacus*. Można tu dzielić przyjemność i fawory na dwa jeziora. Można się obrażać na jedno i wybrać się nad brzeg drugiego. I odwrotnie. Jednak mieszkańcy kochają oba swoje jeziora: Thun i Brienz. Ale kochają je także przybysze: od Lorda Byrona i Juliusza Słowackiego począwszy. Kochają to miasto. Piękne i dostojne hotele, piękne i pełne wdzięku mieszkanki. I przyrodę, która wlewa się tu ze wszystkich stron.

Jeżeli niewygodnie jest ją oglądać z ziemi, można całe miasto, jego dwa jeziora oraz okolicę zobaczyć z góry – z lotni. Są tu wyjątkowo dobre warunki do szybowania. Tylko wtedy może z nadmiaru wrażeń naprawdę zakręcić się w głowie.



To miasto ma krótką nazwę i długą przeszłość (jeden z zamków widocznych na wzgórzu Valeria pochodzi z XI wieku, a piękna średniowieczna katedra jest jedną z najstarszych w całej Szwajcarii). Spacerując po Sionie nieustannie napotykałyśmy różne stare budowle: wiele domów mieszkalnych, urzędów i restauracji mieści się w średniowiecznych kamiennych budowlach. Można niemal bez przeszkód zaglądać do ich wnętrza przez nieosłonięte okna; można tam szukać spokoju i dostojności. W którejś z restauracji można zjeść najlepsze na świecie *fondue*.

Niedaleko Sionu odbywają się coroczne walki krów. Aż trudno w to uwierzyć – przecież Szwajcarzy bardziej lubią krowy niż cokolwiek innego, nawet bardziej niż siebie samych. W tych walkach widać jednak, że i Szwajcarzy są mądrzy, i mądre są ich krowy. Walki mają jedynie rytualny charakter: krowy walczą tylko wtedy, gdy im się chce i niemal nigdy się nie krzywdzą. Trudno się dziwić, że krowy są symbolem tego kraju. Zegarki pojawiły się później.

## Genewa



Republikanizm, protestantyzm i umiłowanie wolności. I milionerów więcej niż bezrobotnych. I mała soczewka dużego świata: organizacje międzynarodowe z ONZ na czele. I Jezioro Genewskie z gigantyczną fontanną na środku. I wiele kwiatów (w maju glicynie pną się na wielu murach, a tysiące bratków rośnie na setkach klombów).

A przy tym wszystkim Genewa ma wiele uroku. Są tu skwery i zaułki, są legendy i tajemnice, są uśmiechnięte dziewczyny i galerie sztuki. A kiedy przysiądzie się w kawiarni przy stoliku na ulicy, niekoniecznie zobaczy się grubych milionerów czy obmierzłych polityków. Można też zobaczyć grupę muzyków i pięknych tancerek afrykańskich, którzy też pasowali do tego bardzo szwajcarskiego, a jednocześnie bardzo międzynarodowego miasta. Tak więc, wcale nie należy żałować, że nie jest się milionerem; bardziej można żałować, że nie potrafi się tańczyć afrykańskich tańców.



To piękna nazwa. I piękne miasto. Bardziej czułe i bardziej wzniosłe od innych szwajcarskich miast. Trudno się dziwić, że to właśnie tu Adam Mickiewicz napisał swe cudowne liryki. Szkoda tylko, że nie był tu szczęśliwy, bo jest to miasto, w którym poeta może przecież czuć się dobrze.

Lozanna ma zaułki i ma skośne ulice. Ma dachy, które widać ze wzniesień. Ma starą katedrę i stary uniwersytet. Jest to jedno z tych miast, o których myśli się, że można by tu przeżyć życie – osiąść po długim wędrowaniu (gdzieś tu, niedaleko, zamieszkał na starość genialny tramp – Charlie Chaplin).

Ale my mamy jeszcze trochę wędrować. Choć trzymają nas zaułki i stare mury, trzeba jednak zebrać się i wyjechać. Będziemy tu wracać w tęsknotach. A póki co, oglądajmy Jezioro Genewskie z jeszcze jednej strony – po Montreux i Genewie.

## Lucerna



Miasto położone nad Jeziorem Czterech Kantonów. Już to sugeruje, że musi być niezwykle. Nie chce być gorsze od Lozanny, więc bywało już stolicą kraju, a teraz jest promieniującą stolicą kulturalną środkowej Szwajcarii. Czule chroni swe średniowieczne zabytki, które stanowią o tożsamości miasta, a jednocześnie nie stroni od współczesnych rozrywek i współczesnej sztuki (Muzeum Picassa).

Lucerna ma prawie kilometr starych murów miejskich, wiele wież i kryty dachem najstarszy drewniany most dla pieszych, łączący dwa brzegi małej zatoki, która chce być rzeką – Kapellbrücke. (Po tym moście najlepiej chodzić bez potrzeby, podobnie jak po starych murach.) W Lucernie jest też wiele starych budynków o konstrukcji szachulcowej, których cudowna kompozycja jest tak misterna, jak współczesne zegarki.

Warto w Lucernie zostawić ostatnie pieniądze po to, by wypić kawę lub wino, ale przede wszystkim po to, by dłużej oglądać to stare piękne miasto.



Nie można wyjechać z kraju i nie zobaczyć jego obecnej stolicy. A przecież nie jest to jakaś imponująca metropolia. Szwajcarzy i tu zachowali umiar, dyskrecję, stateczność i piękno. I nie psują tego nawet niedźwiedzie, których rzeźby i malowidła obecne są wszędzie (Berno może w tym względzie konkurować z Berlinem i Madrytem). I nie psują tego uskoki terenu, na którym zbudowane jest miasto.

Po Bernie można się poruszać nawet w deszczu – głowy są chronione przez kilometry podcieni z arkadami. To powoduje, że to północne miasto przypomina miasto śródziemnomorskie. Wrażenie takie jest tym bardziej uzasadnione, że miasto zdobi wiele starych i nowych fontann oraz starych i nowych rzeźb.

Wiele tu też starych kościołów, zamków i muzeów, a my mamy do dyspozycji tylko kilka godzin. Zbierzmy się więc pod wieżę zegarową na Kramgasse i obejrzymy bajkową procesję figurek, które tak kroczą co godzinę od 1530 roku. Gdyby tego było nam mało, to jeszcze w pośpiechu obejrzymy wymalowane na zegarze znaki zodiaku i zastanówmy się, jakie gwiazdy nas tu przywiodły i jakie każą nam wyjeżdżać.

## Skandynawia

Długa droga na północ biegnie przez bajeczne krainy: fiordy, ziemię trolli, tundrę. I tylko chłód oraz mało słońca (poza letnim sezonem) sprawiają, że niewielu tu turystów. Na szczęście. Są tylko ci, którzy szukają samotności pośród skalistych fiordów, oraz ci, którzy uparli się, by dojechać do Nordkapp – Przylądka Północnego. Kto tęskni raczej do krain Morza Śródziemnego, przyjeżdża tu pewnie tylko raz. Można w pełni zrozumieć jednak tych, którzy pragną, gdzieś tu, daleko na północy, zaszyć się i za sąsiadów mieć jedynie nieme skały, zimny wiatr i dyskretne spojrzenie jakiegoś fiordu. W Skandynawii nie miasta są interesujące, tylko pejzaże. Można by tu opisywać każdą zatokę, każdy załom skalny, każdy wodospad. Niech jednak pozostaną sobie spokojnie w swej samotności.



Niewiele zapamiętuje się z tego miasta. Na pewno spokój i czystość, tyle tylko, że one nie dają żadnemu miastu tożsamości. Park rzeźb Vigelanda, nawet zwiedzany przed wieczorem, robi wrażenie. Tyle dzieł jednego artysty w jednym miejscu każe jednak myśleć o pewnej megalomanii autora, choć trudno w to uwierzyć u Norwega. Potem Muzeum Wikingów. Gdy komuś nie imponuje ich odwaga, wtedy pozostaje estetyczna kontemplacja pięknych kształtów ich łodzi. Zdecydowanie lepsze to niż wyobrażanie sobie rzezi, jakich dokonywali w podbijanych miastach. I wreszcie Muzeum Thora Heyerdahla. Owszem, z nim w młodości można było w wyobraźni podróżować zarówno na tratwie Kon-Tiki jak i na trzcinowej łodzi Ra. Teraz, patrząc na te łupiny trudno pojąć, że pokonaliśmy na nich tak dalekie morskie przestrzenie. Tylko w wyobraźni, choć to było też daleko.

## Lillehammer



Nie wiadomo, co bardziej tu imponuje: wysoka skocznia narciarska, na której odbywała się któraś zimowa olimpiada, czy bezpretensjonalny pomnik norweskiego króla na nartach z małym pieskiem u boku. Tak, można lubić królestwa, gdzie królowie zamiast koron na głowach mają czapki z pomponikiem. Niedaleko jest też piękny skansen norweskiej wsi. Porastające dachy chałup mech i trawa są tak urocze, jak wiosna w bardziej ciepłych krajach. A może ten mech i ta trawa nie tylko miały ochraniać dachy, ale też przypominać mieszkańcom o wiosnie, na którą każdego roku musieli tak długo czekać? Może trzeba by jeszcze pochodzić po miasteczku i wyłuskać w nim jakieś cudowności, ale lepiej jednak usiąść w parku i długo wpatrywać się w wysmukłą wieżę maleńkiego kościółka. Stał jakby trochę na uboczu i wydawał się raczej dopełnieniem pejzażu niżeli miejscem kultu.

## Od Trondheim do Narviku i dalej



Tu już jest naprawdę północna północ. Już bardzo długo jedzie się do położonego w głębokim fiordzie Trondheim, a przecież kamienna średniowieczna katedra podpowiada, że tu jeszcze nie jest aż tak daleko. Śnieg – mimo lipcowego czasu. Jego łachy nie zdążyły stopnieć od poprzedniej zimy i może nie zdążą przed następną. Niektóre bezczelnie nie chowają się w załomach skalnych tylko wystawiają uparcie na słońce. Wiedzą, że choć świeci ono długo, to jednak jest niskie i nie robi im krzywdy. W górach śniegu jest jeszcze więcej. A przecież stąd jeszcze daleko do Narviku. (Komu tu chciało się prowadzić wojnę? Jaki obłęd przygnał tu jej demona? Groby polskich żołnierzy nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Nie potrafi tego wyrazić także wyniosły obelisk.) Po drodze mijają się bardzo rzadko położone miejscowości (między innymi Altę z pierwotnymi malowidłami naskalnymi sprzed kilku tysięcy lat). Mijają się setki fiordów i dziesiątki wodospadów, tysiące skał; czasem spotyka się renifery. Rzadko spotyka się przy drogach Lapończyków. Coraz większa samotność pejzażu. Coraz też groźniejsza – jakby bronił się przed ludźmi. W swej grozie pejzaż zapomniał jednak, że jest bardzo piękny, że zderzenie różnych kolorów i kształtów skał z uwodzącą go wodą fiordów i rzek nie zapewni mu całkowitej samotności.

## Nordkapp

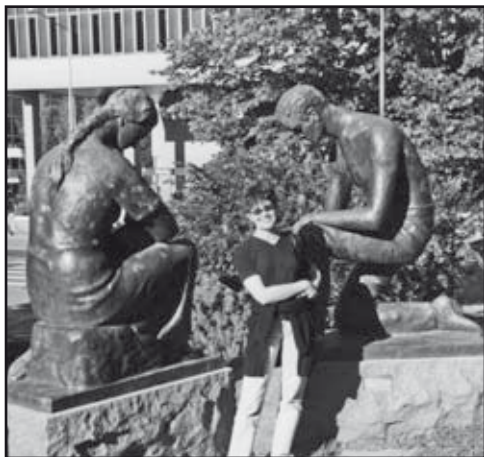


Tu już jest kres Europy. Dalej już nic nie ma – tylko Arktyka. Można tu przyjechać tylko latem, bo w zimie drogi są nieprzejezdne. A przyjeżdża się w czerwcu, lipcu, by zobaczyć, jak słońce nie zachodzi. Tu białe noce są najdłuższe – teoretycznie letni dzień nigdy się nie kończy. Jednak chmury i deszcz zazwyczaj przeszkadzają obserwacji bladego słońca, które miało zatoczyć nad horyzontem owal i powoli zacząć się wznosić, nigdy się nie kryjąc. No cóż, zazwyczaj jest brzydka pogoda, trzeba więc uważać, by silny wiatr nie zwał nas z tego ostatniego skrawka Europy. Upadek byłby przerażający: stoi się na grani kilkaset metrów nad poziomem w dole huczącego morza. Wiatr urywa głowy, trzeba się gdzieś schować. Na szczęście jest duża hala – poczekalnia czy raczej przeczekałnia dla turystów. Jest nawet mała ekumeniczna kapliczka, w której śący się piękna muzyka Jana Garbarka. Raz po raz ktoś próbuje wyjść na zewnątrz i patrzeć, czy przez chmury nie przebija się niezachodzące słońce. Niestety – nie. Trzeba wierzyć na słowo, że takie ono jest. I zacząć wracać na południe – już przez Finlandię.



To fińskie miasteczko wyróżnia się tym, że leży na równoleżniku wyznaczającym koło polarne: 66°33' szerokości geograficznej północnej. I tym, że tu mieści się „wioska św. Mikołaja”, i że zawsze i wszędzie tu słychać kolędy – nawet w lipcu. Pewnie niewiele osób, a jeszcze mniej dzieci przyjeżdża, by to samemu sprawdzić – by zobaczyć na własne oczy św. Mikołaja i może o coś go poprosić. I tak nie zawsze to się udaje: św. Mikołaj może mieć akurat „przerwę obiadową”. Przy wielkim kominku z prezentami, na dostojnym fotelu wisi wtedy wywieszka informująca o godzinach dyżurowania „świętego”. Chodzi się jeszcze po Rovaniemi, ale albo niczego interesującego tu nie można znaleźć, albo ciągle myśli się o niezrealizowanej szansie zobaczenia symbolu dziecięcych marzeń. Trzeba wyjeżdżać, bo czeka długa droga poprzez rozległe fińskie przestrzenie – przestrzenie płaskie, jak tafla spokojnego jeziora. Jednak nawet jezior w tej „krainie jezior” nie widać z drogi. Nic, tylko lasy i lasy. Tylko czasem pomiędzy drzewami coś mignie na niebiesko odbijając pogodne niebo.

## Kuopio i Oulu



Mogą się mylić fińskie miasta i miasteczka. Mało mają rozpoznawalnej tożsamości. Mało tu historii skamieniałej na ulicach. Wszędzie współcześnie, wszędzie czysto i schludnie. Wszędzie prosto. To tu gdzieś pojawiły się pierwsze budynki zaprojektowane przez Alvara Aalto. Może są wygodne, ale nie sposób ich zapamiętać. Widać rodziny piorące dywany i chodniki w jeziorze, czasem przez środek skrzyżowania przejdzie ktoś jakby pijany. Zastanawiające, bo w sklepach więcej tu pism pornograficznych niż butelek piwa. W miastach są ładne, bezpretensjonalne pomniki i jest dużo zieleni. Ludzie cieszą się z lipcowego słońca, bo wiedzą, że potem przez wiele miesięcy będzie ponura pogoda. To dziwne, ale jakoś nikt nie chce się przeprowadzić nad Morze Śródziemne. Czyżby bali się tłoku? Może czytali Sartre'a i wiedzą, że „inni to piekło”.



Niełatwo stwierdzić, do jakiego miasta podobne są Helsinki, bo nawet trudno powiedzieć, że są podobne wyłącznie do siebie – do miasta skandynawskiego. I to nie tylko dlatego, że dominują tu akcenty rosyjskie: pomniki i pałace imperatorów, cerkiew – słowem, jakiś melanż skandynawsko-rosyjski. Miasto i tak zachowało w tym dużo wdzięku i godności – może dlatego, że było i jest nieco prowincjonalne. Jest to jednak prowincjonalność bezpretensjonalna.

Może najbardziej w Helsinkach podobają się rzeźby i pomniki. Już w pobliżu portu jest piękna rzeźba nagiej nimfy, której przyglądają się delfiny. Niedaleko stadionu olimpijskiego jest pomnik dawnej legendy biegów długodystansowych: Paavo Nurmi. I wreszcie w parku miejskim jest przepiękny pomnik Sibeliusa. Nie tylko, gdy się na niego patrzy, ale nawet wtedy, gdy się o nim w oddaleniu myśli, można odnieść wrażenie, iż sam pomnik gra. Pewnie każdy kompozytor na świecie chętnie napisałby niejedną symfonię więcej, byle tylko mieć taki pomnik.

## Sztokholm



Sztokholm jest bardziej miastem kontynentalno-europejskim niżeli typowo skandynawskim. Przede wszystkim dlatego, że bardziej obecna i bardziej widoczna jest tu historia. Są tu nawet stare place miejskie i stare uliczki, w których miło jest zabłądzić. Są tu imponujące średniowieczne kościoły z wyniosłymi wieżami. Są pałace na ludzką miarę. Jest ratusz i gmach parlamentu, gdzie wręczane są nagrody Nobla. Bluszcz, który go porasta czyni to miejsce mniej patetycznym. Jest tu także w specjalnym muzeum, wydobyty z dna morskiego ponad trzystuletni galeon „Waza” z pełnym wyposażeniem – także tym codziennym.

Sztokholm potrafi uwieść, bo ma w sobie delikatność i poezję, w które potrafił zamienić swą dawną militarną potęgę. To pierwsze miasto skandynawskie, w którym żałuje się, że trzeba je opuścić. Chce się tu powtórnie przyjechać. Często mży tu jednak deszcz i rozmywa takie zamiary.

## Kraje Bałtyckie

Litwa, Łotwa, Estonia. Trzy małe kraje obdarzone wielką chęcią istnienia, a istniejące jedynie z łaski historii i wielkich mocarstw. Północ, która flirtuje z Zachodem; Zachód, który uwodzi Północ. Bałtowie, Słowianie i Hanza. Brzeg Bałtyku, lasy i zabytki. I nawet, jeżeli później nie zatęskni się do tych miejsc, warto je zobaczyć. Pod powiekami pozostanie dużo wrażeń.

## Wilno



Chciałoby się ścisnąć to miasto. Nie uściskać (gdy nie ma się kresowych sentymentów), lecz właśnie ścisnąć: ogarnąć, ustawić, zebrać razem wszystko to, o czym od dawna o nim się czytało i słyszało, co się widziało na różnych ilustracjach i co widzi się w wyobraźni. I ścisnąć to, co widzi się teraz, na miejscu – rozproszone, może trochę pogubione i przestraszone. I przede wszystkim chciałoby się ścisnąć swe wrażenia i odczucia.

Chciałoby się jakoś w sobie i w przestrzeni połączyć cmentarz na Rossie i ślady Mickiewicza, kościoły i stare bramy miejskie, historię i własną tu obecność. To się nie uda, więc zabiera się ze sobą tylko piękny gotycki kościół św. Anny (który już kiedyś chciał podobno zabrać Napoleon), bramę i Celę Konrada w byłym klasztorze Bazylianów. Ktoś inny zabrałby więcej, musi jednak to wystarczyć, by jednak tu wracać.

Może chciałoby się Wilno pokochać – bo wydaje się, że należy. Ale jakoś jest to trudne. Niełatwo znaleźć w sobie te wzruszenia, którymi ta miłość mogłaby się żywić. Pozostać więc tu trzeba jedynie turystą. Ale cieszyć się choć z tego.



Po zobaczeniu Parnawy w Estonii (gdzie jest obskurnie i pusto), można być trochę uprzedzonym do nadbałtyckich kurortów. Jednak Pałanga może oczarować.

Najpierw pałac Tyszkiewiczów z sympatycznym muzeum bursztynu (jakie imponujące okazy!) oraz otaczającym go parkiem. Samo miasto jak każde inne tego typu nadmorskie miasto: setki kawiarenek i barów, kolorowe zabawki dla dzieci i muszle, sprzedaż biletów na wieczorne atrakcje. A przy tym wszystkim jakaś szlachetność stworzona przez liczne rzeźby plenerowe – klasyczne i współczesne.

W Pałandze jest uroczo, wesoło i słonecznie. I tylko za wcześnie trzeba było stąd wyjeżdżać. Pewnie się już tu nie wraca – chyba że kogoś skusi ta rzeźba nagiej Ewy z parku Tyszkiewiczów, którą z kolei kusi wąż.

## Kowno



Niewiele wie się o tym mieście, a i jego nazwa jakoś nieciekawie i mało ponętnie brzmi.

A tymczasem Kowno okazuje się sympatycznym miastem, w którym ostało się sporo starych budowli i miejsc. Najpierw trzeba jednak zobaczyć Pożajście z pięknym barokowym klasztorem kamedułów (chyba jednak zbyt pięknym dla tego zakonu, który wyrzeka się doczesnego świata). Potem pozostałości średniowiecznego zamku, potem różne odnowione zaułki i zabytki. Może najbardziej uroczy jest tu plac ratuszowy, gdzie konkurują ze sobą białe wieże klasztoru jezuitów z wieżą ratuszową (a z tyłu próbuje jeszcze siłą wadząca się z nimi wieża gotyckiej katedry).

Tu w młodych latach mieszkał jako nauczyciel Adam Mickiewicz. Czuło się jego obecność, ale może jeszcze bardziej czuło się pragnienie zachowania śladów tej obecności. Czas jednak mija i nawet w największej ciszy nie daje się już usłyszeć jego kroków, gdy spieszył do pięknej pani K.



Zazwyczaj niewiele się wie o tym mieście – raczej nic. I to „nic” nagle wypełnia się pięknym miastem. Wypełnia się pięknym gotykiem i piękną secesją; wypełnia się pięknymi placami i zaułkami; wypełnia się starymi dziejami i młodymi dziewczynami.

Choć każde miasto raczej otwiera się powoli, Ryga otwiera się szybko. Może dlatego, że jej mury obronne zburzono dawno, a teraz nie potrzebuje się już przed nikim bronić. Teraz chce być zdobyta przez turystów.

Ryga jest stolicą małego państwa, ale jej stołeczny styl nie budzi wątpliwości: jest mniej prowincjonalna niż wiele stolic z centrum Europy. A przy tym jest urocza i jakby nieco niefrasobliwa w swym szyku i w dowcipie. Pewnie Łotysze dobrze się teraz czują ze swoją stolicą o krótkiej nazwie i długiej pogmatwanej historii.

## Lipawa



Może warto zajechać do Lipawy choćby po to, żeby zobaczyć, jak wygląda tu miasto nie będące stolicą. Jest tu więcej szarości, więcej zaniedbań, a mniej zabytków i jeszcze mniej wdzięku.

Nie ma tu nawet urody prowincji, gdyż Lipawa jest „muzyczną stolicą” Łotwy. Często są tu organizowane koncerty, a na jednej ze śródmiejskich uliczek są odlewy dłoni i podpisów lokalnych gwiazd estrady. Żadne nazwisko obcemu przybyszowi nic nie mówi na tej odległej replice bulwaru wielkiego świata.

Jednak estońska młodzież przez całą noc snuła się po Lipawie głośno świętując jakiś muzyczny występ. Na szczęście rześkie poranne powietrze i łagodne światło słoneczne rozwiały opary alkoholu. Może najlepiej zapamiętać stąd wymowny, choć nieco ulotny pomnik przyjaźni. Mając nieco szczęścia można go w Lipawie odnaleźć.



Jedzie się długo – kilkaset kilometrów. Ciągłe na północ i ciągle lasami. Gdzieś tam samotna drewniana zagroda; rzadziej jakaś niewielka osada; czasem łąki; nigdzie ludzi ani pasących się zwierząt. I tylko sosny, świerki, brzozy.

Stopniowo pomiędzy drzewami coraz więcej podmiejskich willi. Wszystkie drewniane i wszystkie stare. Potem już widać duże budynki miejskie, potem wieże gotyckich kościołów i stare mury miejskie. Kilka średniowiecznych bram wprowadza nas do miasta. Już wiemy, że naród estoński przetrwał dzięki ludowym pieśniom. One pokonały Niemców, Szwedów i Rosjan. Dzisiaj Estończycy słuchają ich z nabożeństwem. I czasem śpiewają w chórach liczących dziesiątki tysięcy osób.

Tallin jest miastem, które trwa dlatego, że jest miastem z wmurowaną w jego ściany dawną kulturą. Wysmakowane fasady starych spichlerzy w jakiś sposób przechowały też wyrafinowanie, a stare mury miejskie obroniły finezję. I teraz nie zaszkodzą im nawet masowe przyjazdy Finów po alkohol.

Może należy wrócić do Tallina poprzez muzykę i pieśni, które tu się słyszało. I tylko nie da się wrócić do tutejszych lipcowych białych nocy.

## Ukraina

Próżny spór, czy to jeszcze Europa. Ukraina jest inna, ale przez to tym bardziej może być dla Europejczyków atrakcyjna. Już nigdzie w Europie nie ma tak rozległych kwiecistych łąk; już nigdzie nie ma tak pięknych starych malowanych wiosek, jak na Huculszczyźnie, na Bukowinie czy na Pokuciu. A i tak zazwyczaj zdoła się zobaczyć tylko niewielki jej zachodni obszar. Ale i on wystarczy, by się wieloma miejscami zachwycić.



Lepiej nie mieć sentymentów kresowych i przyjechać do Lwowa z otwartymi oczyma. Mimo zaniedbań, miasto imponuje dawną kulturą. Gmach Opery, Uniwersytet Jana Kazimierza, katedry (katolicka, ormiańska i przede wszystkim greckokatolicka), kościół bernardynów, klasztor benedyktynek, Cmentarz Łyczakowski, a nawet hotel George (czynny od 1793 roku) – wszystko to tworzy niepowtarzalną aurę.

We Lwowie spotka się nowocześnie ubraną atrakcyjną dziewczynę, ale też obdartą staruszkę sprzedającą na rogu ulicy kilka główek czosnku. Jeżeli nie trzeba szukać w mieście dawnych rodzinnych śladów, można tu spokojnie spacerować, znajdując na placach i w zaułkach kolejne kościoły i cerkwie, bramy i pomniki.

W tym mieście położonym na skrzyżowaniu narodów i kultur, chciałoby się położyć kwiaty przed pomnikiem jakiegoś mędrca, który ubolewał nad tym, że jednak ciągle łatwiej znaleźć w świecie piękno niż dobro. Szkoda, że nie pojawia się choćby jego skamieniały w kształt pomnika cień na jakimś lwowskim skrzyżowaniu ulic.

## Gródek, Rudki, Sambor



Pewnie można by odwiedzić wiele innych, dawnych kresowych miasteczek, ale te są dobrymi przykładami nieokreślonej tożsamości. Albo inaczej – tożsamości złożonej: polskiej, ukraińskiej i żydowskiej, czasem też ormiańskiej. W wielu takich miasteczkach sąsiadowały przez wieki kościół, cerkiew i synagoga. Obecnie żywe są zazwyczaj już tylko cerkwie. Dziś przyjezdny spaceruje po ulicach tych miasteczek, a jutro zapomni o nich, zapomni o tym, co je charakteryzowało i odróżniało. A przecież ludzkie losy, które tu się spełniały, były jak wszystkie ludzkie losy, nieporównywalne. Nie, nie należy snuć tego podniosłego wątku, bo tu jakoś to nie uchodzi. Trzeba więc wrócić, i jeszcze spokojnie pospacerować po ich ulicach, myśląc – przynajmniej tu, na miejscu – jak niezwykle są tysiące miasteczek na całym świecie. To nic, że szybko pomylą się nam kształty ich świątyń i ratuszów. Na szczęście, ich mieszkańcy łatwo je odróżnią.



Po lekturach Brunona Schulza można sobie wyobrazić Drohobycz jako zapyziałe miasteczko, gdzie na „ulicach krokodyli” ciągle otwarte są niewielkie „sklepy cynamonowe”. Nie, nie ma tu już takich ulic ani takich sklepów, choć jest na szczęście dawny dom Brunona Schulza. Ale jest też miasteczko bardziej okazałe, niż można było oczekiwać. Kiedyś wzbogacone na ropie naftowej, którą niedaleko stąd wydobywano, nadal zachowało wiele drobnoburżuazyjnej miasteczkowej zabudowy z przełomu XIX i XX wieku. Jest też piękna stara cerkiewka św. Jerzego z końca XV wieku, a także cerkiew Podwyższenia Krzyża z XVI wieku. I są ruiny wielkiej synagogi z końca XIX wieku. Jest też gospoda z czasów realnego komunizmu, gdzie czeka się na podanie obiadu półtorej godziny. To duża strata czasu, bo o tyle dłużej można by spacerować po mieście. Choćby po rynku, po którym tyłekroć musiał przechodzić Schulz. Można być pewnym, że był przekorny, więc nie pozwolił się całkowicie zamordować. Czujemy to podczas lektury jego *Sklepów cynamonowych*.

## Truskawiec



Aż tak daleko na wschód zawędrowała alpejska architektura pensjonatowa, która znakomicie połączyła się tu ze wschodnią sztuką budowania drewnianych domów. Piękne wille z koronkowymi ażurami dekoracji, zadbane aleje parkowe, ładne rzeźby plenerowe – wszystko to od lat zapraszało do wypoczynku. Kurort był jednym z najbardziej popularnych na kresach, a i dziś, mimo że ludzie lubią wyjeżdżać daleko za granicę, też przyciąga kuracjuszy. Może czasem pojawi się tu coś swojsko-siermiężnego, ale i tak Truskawiec może się podobać. Nawet jeżeli podróżny nie zechce tu zostać dłużej, warto by pospacerował jego alejkami. Może ten spacer nie uskrzydli go, ale pozwoli bardziej poczuć nastrój tego miejsca.

Tak, dawne kurorty przyciągały ludzi nie tylko dla poratowania zdrowia, ale i dla poprawienia samopoczucia. Krążenie po parku zdrojowym dawało uspokojenie, bo wzmacniało poczucie, że przynależy się do elity. To nic, że była to tylko elita wzajemnych ukłonnów. Prawdziwą wyniosłość i tak przejawiały jedynie wysokie i dorodne drzewa po jednej i drugiej stronie alei.



Miasta, które mają zmienione nazwy, mają też bogatą historię. Jednak dla wielu ludzi to jest ciągle swojski Stanisławów. Gdy jest się tu krótko, niewiele można powiedzieć o tym mieście. Może tylko to, że jego stare centrum jest pięknie odnowione (pewnie nigdy w przeszłości nie było aż tak wypucowane, gdy kłębiło się tu bujne wielokulturowe i wielonarodowe życie). Ma się też poczucie, że jest to miasto gościnne: wszak można znaleźć się tu i na prawosławnym ślubie w cerkwi, i na nabożeństwie w synagodze. Nikt jakoś nie dziwi się naszej obecności – przeciwnie, odczuwa się, że miejscowi serdecznie zapraszają przyjezdnych.

Wyjeżdżając z miasta widzi się zaniedbane przedmieścia: szeregi biednych, krzywych, drewnianych zazwyczaj domów i obskurne podwórka. A przecież i tak będzie się pamiętało to, co ładne. Wszak rzadko kolekcjonujemy przykre wrażenia. Wyrzucamy je jak bolesne drzazgi, które wbiły nam się w palce i nie pozwalały dotykać strun, czy może raczej – stron świata.

## Jaremcze, Worochta, Kuty



Już same te nazwy brzmią egzotycznie. I zapowiadają egzotykę. Inaczej być nie może, skoro niedaleko jest też Przełęcz Tatarska. Ale i nazwy rzek brzmią egzotycznie: Prut czy Czereemosz. Szczególnie ta ostatnia, gdy wyśpiewywana jest w znanej kresowej pieśni. I znowu mieszają się tu prawosławne stare cerkwie z równie starymi żydowskimi kirkutami. Te pierwsze są zadbane, te drugie podtrzymuje w ich istnieniu jedynie czas. Wszystko zaś jest tak malownicze, że samo znajduje sobie drogę do naszych oczu. I legend. Przecież tu już jest niedaleko i Huculszczyzna, i Pokucie.

Tak bardzo chciałoby się zwiedzać te tereny na piechotę, ale niestety nie bardzo jest to teraz możliwe. Dobrze, gdy udaje się tu przejść pieszo choćby kilkanaście kilometrów. Oczy widzą wszystko lepiej, gdy pejzaż odczuwany jest też na podeszwach stóp. I wzgórze, i kwieciste łąki, i kolorowe wiejskie chałupy oraz cerkwie stają się wtedy bliższe i przyjacielskie.

Podróżny jest często niewierny: zaprzyjaźnia się zbyt często ze zbyt wieloma miejscami. Nie musi jednak przy tym zastanawiać się, czy te różne miejsca są o siebie zazdrosne, bo na szczęście nie są.



W Kołomyi jest przepiękna stara drewniana cerkiew Zwiastowania, której dzwonnica pochodzi z XVI wieku, jest aż pięć mniejszych i większych synagog i jest muzeum pisanek, w którym znajduje się ponad 30 tys. pisanek z Ukrainy, ale też i z wielu innych krajów. To dziwne muzeum staje się nawet oczywiste w miejscowości mającej tak dziwną nazwę. Może przede wszystkim trzeba tu przyjechać po to, żeby zobaczyć na własne oczy, iż Kołomyja naprawdę istnieje. Przedtem mogło wydawać się, że jest jedynie językowym żartem szyderców. Teraz wiadomo, że z pewnością istnieje, i że może się podobać – tak samo miasto, jak i jego nazwa.

Jeżeli podróżnemu nie zakręciło się w głowie od nazwy miasta, ani nie poczuł się nadmiernie zmęczony oglądaniem tysięcy pisanek, może próbować analizować etymologię tej nazwy. Gdy nie zadowolili się ustaleniami historyków, iż nazwa prawdopodobnie pochodzi od niedalekiego brodu, przy przechodzeniu którego obmywały się koła wozów, może stworzyć *ad hoc* swą własną etymologię: koło „my” jest „ja”. A może odwrotnie? Ale od myślenia na ten temat już na pewno w głowie może się zakręcić

## Pistyń



Tę malowniczą wioskę dobrze jest poznać spacerując i przyglądając się każdej z osobna kolorowej chałupie. Przy jednej stara babinka obiera ziemniaki, przy innej staruszek pasie kozy, a przy jeszcze innej dziecko zajada czereśnie. Prawie każda furтка nieco uchylona – zaprasza gościa do wejścia (tak zresztą jest w większości wiosek zachodniej Ukrainy). Wszędzie czysto i schludnie, wszędzie ubogo. Ale wszędzie barwnie: każda chałupa pomalowana na inny kolor. I tylko – niestety – te obrzydliwe dachy z eternitu (choć nie wszędzie, bo czasem są też kryte gontem czy dachówką). Nawet cmentarz jest tu kolorowy i przez to jakiś radosny. Małe nagrobki i delikatne krzyże, a na nich duże bukiety sztucznych kwiatów. I jeszcze nad głębokim jarem długi wiszący most drewniany, po którym trzeba przejść, by dotrzeć do maleńkiej cerkwi. A potem droga powrotna krętymi uliczkami Pistynia i znowu kolekcja pięknych starych domostw. Gdyby ktoś szukał istoty domu, mógłby może właśnie w Pistyniu lub w innych podobnych wioskach na Pokuciu, na Huculszczyźnie czy na Bukowinie ją znaleźć.



To już Bukowina i południe zachodniej Ukrainy. Blisko Rumunii. Miasto, o którym się mówi, że mogłoby być stolicą niejednego państwa. Bo jest tu i piękny uniwersytet, i jeszcze piękniejszy teatr. Jest imponujący sobór katedralny św. Ducha oraz wiele innych cerkwi – w tym nieczynna już cerkiew obrządku ormiańskiego. Jest też nieczynna synagoga i zapomniany kirkut. Miasto ma dobry styl: jest wspaniale zaprojektowane, a budynki są znakomicie wybudowane i zadbane. Podobno kiedyś w tym wielokulturowym mieście kwitło niezwykle ciekawe życie artystyczno-intelektualne. To tu urodził się Paul Celan i może, gdyby stąd nie wyjechał, nie utopiłby się potem w Sekwanie. Choć kto to wie, bo przecież przez Czerniowce też przepływa rzeka – Prut. Może jednak jej nazwa byłaby dla poety mniej kusząca.

Gdy myśli się o tym spacerując po Czerniowcach podczas sennej niedzieli, i gdy wszystko wydaje się nieco uśpione, oczywiście trudno znaleźć myśli mądrzejsze niż los. Jakby w poczuciu porażki, lepiej zająć się czymś błahym i wypić tu po raz pierwszy w życiu kwas chlebowy, i właśnie tutaj uznać, że już nigdy potem żadna cola nie będzie bardziej smakowała.

## Rumunia

Do Rumunii warto przyjechać choćby po to, by rozbić swe stereotypy. Zazwyczaj wszak kojarzymy z tym krajem żebrzących Romów, Draculę i reżim Ceaușescu. Tymczasem jest to piękny kraj, a właściwie trzy krainy: Transylwania, Mołdawia i Wołoszczyzna. Wiele tu wspaniałych, zabytkowych miast i wielu w nich wspaniałych ludzi. Na ładne ukształtowanie geograficzne nałożyły się wspaniałe regionalne kultury. Dla przyjeźdnego to wszystko może być cudowną niespodzianką.



To nie tylko piękna nazwa, w której można się zakochać. To także piękne miasto – pierwsze, które poznaje się wjeżdżając do geograficznej Transylwanii (i historycznego Siedmiogrodu) od zachodu. Wspaniała stara katedra (w której są grobowce wielu dawnych książąt Siedmiogrodu), cerkiew (tyleż imponująca, co stosunkowo nowa) oraz cytadela (zbudowana w XVIII wieku przez Giovanniego Viscontiego). Długa szeroka aleja otwiera się na imponującą cerkiew, za którą w oddali rozciągają się łagodne, zielone wzgórza. I wszędzie dużo kwiatów. To nic, że do centrum wciskają się nowe budynki, bo wydaje się, że nie czynią tego zbyt nachalnie i miasto pozostaje piękne.

Jednak dla wielu podróżnych magnetyczna nazwa miasta wydaje się najbardziej atrakcyjna. Nie wiadomo tylko, czy ta nazwa jeszcze kiedyś nas tu przyciągnie. Są wszak niezwykle intrygujące imiona kobiet, których mężczyźni jakoś boją się. I choć tego miasta nie trzeba się bać, to przecież miasto Alba Julia nie musi stać się miejscem kultu. Wystarczy w domu, z dala, wymawiać jego imię. Szybko przypomni się jego wyobrażenie.

## Sibiu



Sibiu jest tak urocze, jak jego pogodne położenie na południu Transylwanii. Na środku wielki plac z niewielkimi jedno- lub dwupiętrowymi domami. Ich dachy są niekiedy wyższe niż całe domy. Ten plac to tylko wstęp – może miejsce odpoczynku dla zmęczonych podróżnych (kiedyś też pewnie koni). Potem można zagłębić się w zaułki miasta, spacerować po jego mostach, wspinać po kamiennych schodkach i zaglądać w tajemnicze bramy. Ile by nie chodzić i patrzeć, i tak miasteczko tchnie jakąś tajemnicą. I niespodzianką: co chwilę dostrzeżę się coś ciekawego. A to piękna zabytkowa cerkiew, a to interesujący stary portal kościoła katolickiego, a to ciekawa kompozycja skośnych dachów, które jakby umówiły się na spotkanie. Szkoda, że jest nieco pochmurno. Trzeba więc sobie wyobrazić, jak musi wyglądać Sibiu w słońcu. Nie – nie trzeba. Raczej można się tylko dziwić, że w mieście o tak pogodnej nazwie kiedyś mieszkał Emil Cioran – pisarz tak mroczny, którego mroków nie rozjaśnił później nawet Paryż, gdzie potem zamieszkał.



Miasto jest wielokulturowe – jak kiedyś cała Rumunia. Pośród wielu pięknych budynków, gdzieś w spokojnej sieci ulic i uliczek znalazły sobie swoje miejsca i cerkiew prawosławna, i potężny zbór protestancki, i kościół katolicki, i niewielka synagoga. Nie wiadomo, jak kiedyś, ale teraz zdają się żyć w zgodzie. Chyba nawet pozdrawiają się swymi wieżami ponad dachami domów. Może kiedyś też żyły w zgodzie, bo piękny stary ratusz miejski łagodził ewentualne spory i żale. Plac przed ratuszem jest obszerny – pewnie po to, by kiedyś spokojnie mogli się tu zbierać wszyscy obywatele miasta i spacerując wzajemnie sobie nie przeszkadzać. Teraz, gdy podróżni spacerują po Brashowie, mogą tylko wypatrywać ich cieni. Trzeba jednak wyobraźni, by ich dostrzec, a na to rzadko kiedy stać zmęczonego turystę. Należy jednak wierzyć, że te cienie wychodzą, gdy turyści wyjeżdżają, a dzisiejsi miejscowi kładą się spać. Wtedy do miasta wracają dawni jego mieszkańcy. I plotkują o nas.

## Cozia, Horezu i Curtrea de Arges



Trzy klasztory. Trzy przykłady z wielu innych. W każdym odrębny świat. Za kamiennymi murami. Jednak ich furty, nawet bramy są szeroko otwarte. Mnisi i mniszki (w Horezu) gościnni, uśmiechnięci, życzliwi. Można z nimi rozmawiać – nawet swoimi językami. Uśmiechy i gesty są uniwersalne. Prawosławny nastrój i prawosławny styl zabudowań. Dyskretne zabytki najwyższej klasy. W cerkwiach kolorowo i wesoło – a przecież bardzo pobożnie. Kto z turystów nie upiera się przy swoim obrządku religijnym, może tu z pewnością znaleźć Boga. W Cozi brodaty mnich w jakimś ocienionym kącie czyta Biblię. W Horezu mniszki wychodzą w pole grabić siano. To też może być ich modlitwą. W Curtrea de Arges słyhać donośny bas jakiegoś śpiewającego psalmy mnicha. Wieczorem przyjezdni na szczęście wyjadą, bramy zostaną zamknięte, a mnisi i mniszki zostaną sami w swym świecie. Chyba jednak nie sami.

## Zamek Draculi, Bran, Peles i Pelisor



Trzy zamki. Pierwszy jest średniowieczną twierdzą położoną na wysokiej górze. Długo trzeba się wspinać leśnymi ścieżkami, by do niego dotrzeć. Ruiny są okazałe i groźne. Nie wiadomo, czy mieszkał tu Vlad Palovnik – osławiony hrabia Dracula. Wiadomo, że taka jest legenda. Teraz jest to atrakcja turystyczna. Widok z góry jest wspaniały.

Zamek Bran jest średniowiecznym cackiem przebudowanym w czasach renesansu. Nie był on zbudowany przez żadnego króla ani księcia, tylko przez kupców niemieckich z Brashova pobierających myto od kupców z Wołoszczyzny. Tu już łatwo dotrzeć autokarem. Dlatego pod zamkiem jest wiele kramów z pamiątkami turystycznymi.

Położone wśród bukowych lasów Peles i Pelisor to nie zamki – to dziewiętnastowieczne okazałe pałace zbudowane w pysznym stylu ozdobnych bawarskich rezydencji. Tyle że na miarę króla Karola I oraz jego następcy – bratanka Ferdynanda, którzy wybudowali je dla siebie. Miało być tak pięknie, a teraz gawieź turystyczna przechadza się tu, jak po swoim. Jednak do czasu. Królewska rodzina przypomina bowiem sobie o swych koronach. I o pozostawionych pałacach. O Peles i Pelisor trudno zapomnieć, bo są piękne i – choć królewskie – są na ludzką skalę. Jednak skale królów i podróżnych są różne.

## Preimer i Harman



Stare saksońskie wsie obronne wtopione w rumuński pejzaż. Oswojone, teraz zniszczone, lecz jednak nie zdobyte. Ciągłe na swój sposób się bronią. Na zewnątrz wysokie białe ściany, od środka w tych ścianach jakby cele: mieszkania zajmowane przez mieszkańców wsi, gdy czuli zagrożenie. W samym środku kamienny kościół, jako ostatni bastion obrony. Pracowici Saksończycy bali się wędrownych rabusiów i przygotowywali się na każdy ewentualny atak. Dzisiaj ci dawni, od pokoleń tu żyjący mieszkańcy jednak poddali się i wyjechali do Niemiec. Ich obronne wsie są otwarte, choć nie zostały zdobyte. Nieliczni turyści, na szczęście, nie są rabusiami. Może nawet pomagają swym zachwytem uratować te cudowne formy osadnicze. Siedzące na szczycie bociany czują się tu bezpiecznie. Pewnie przylatują tu od wielu pokoleń. Dobrze, że chociaż one nie odleciały do Niemiec.



Stolica Rumunii łączy w sobie elementy antyczne, orientalne, zachodnioeuropejskie i komunistyczne. Gdy Rumunii mówią o Bukareszcie, iż jest „Paryżem Wschodu”, oczywiście sporo przesadzają. Jest to jednak piękne miasto, i tę przesadę można im wybaczyć. Szerokie bulwary, znakomicie zachowane aleje i przede wszystkim wiele pięknych budowli: cerkiew z połowy XVI wieku Juliu Maniu, i późniejsza, lecz bardzo piękna cerkiew Stavropoleos, i cerkiew Patriarchalna, i gmach Opera Romana, i Narodowe Muzeum Sztuki. Bukaresztu nawet nie zepsuł zbudowany przez Ceaușescu horrendalny Pałac Parlamentu z 3100 pomieszczeniami o łącznej powierzchni 330 tys. metrów kwadratowych. Gdy chce się zwiedzić to monstrum, lepiej nie wypijać przedtem zbyt wiele palinki, bo jeszcze bardziej będzie się w głowie kręciło przy setkach gigantycznych kandelabrow i kilometrów różnokolorowego marmuru. Można spacerować po Bukareszcie znajdując wiele bardziej sympatycznych miejsc i budowli (najwięcej dziewiętnastowiecznych). Jednak i tak o prawdziwego Paryża trzeba pojechać oddzielnie.

## Sighisoara



Podobno wywołuje złe skojarzenia, bo urodził się tu Vlad Palownik. Jednak przyjezdny tego nie doznaje. Choćby dlatego, że miasto wita przybyszy piękną bramą z zegarem. Nawet w deszczowej pogodzie, Sighisoara może ująć. Także tym, iż tak wiele jeszcze tu do odnowienia. Miasto jest malownicze i urozmaicone, także kolorowe. Trochę krzywe, nierówne, brukowane ulice i uliczki prowadzą do uroczych placów i zaułków. Co kilkadziesiąt metrów odkrywa się nową niespodziankę: a to ciekawą elewację, a to interesującą fontannę, a to pyszną starą wieżę. I świetnie zachowane średniowieczne mury miejskie z kilkunastoma basztami. I stary monastyr, i jeszcze starszy gotycki kościół. Wystarczy tych atrakcji, więc niekoniecznie trzeba zwiedzać wystawę poświęconą Draculi. Lepiej jeszcze pospacerować brukowanymi uliczkami, popatrzeć na okoliczne wzgórza i w dobrym nastroju wyjechać z Sighisoary. I z Rumunii.

## Grecja

Skoro tu zaczęła się historia Europy, to właściwie i stąd należałoby zacząć podróże po niej. Jednak w podróżach nie trzeba koniecznie być skrupulantem: odrobina fantazji, przypadku i wolności jest bardzo pożądana. Szczególnie zwiedzanie Grecji tego wymaga. Tak, jak w Grecji narodziła się europejska kultura, tak też może tu na nowo narodzić się podróżny – a przynajmniej odrodzić. Umożliwia to niemal każdy fragment pejzażu, każda antyczna kolumna i każdy łyk retsiny.

## Mykeny



Nawet jeżeli nie wierzy się, iż cywilizacja grecka u swego zarania wydobywała się z kultury Krety, a potem z Myken, to przecież i tak patrzy się z podziwem na gigantyczne mury cyklopów, na imponującą Bramę Lwów, na Grób Agamemnona, na wielki stół ofiarny. I na wszystkie inne pozostałości kultury Achajów sprzed trzech i pół tysiąca lat.

W odległym tle widać łagodne łańcuchy gór, a podróżny spaceruje po ruinach z onieśmieniem i z pewną niewiarą, że to, o czym pisał kiedyś Homer było jednak prawdą. I jak zawsze w takich sytuacjach myśli, że nawet potężne mury i bramy nie uchronią potęgi, która skazana jest na zniszczenie – czy choćby na wypadnięcie z dziejów.

Teraz, gdy widać, jak po ruinach Myken spacerują piękne długowłose turystki, można zastanawiać się, jaką rolę pełniłyby w czasach achajskich. Czy byłyby tam księżniczkami, czy niewolnicami, czy może kapłankami dawnych greckich bogów? Tego już oczywiście wędrowiec nie dowie się. Na szczęście ich uroda i wdzięk dobrze łączą się ze starymi głazami. I to musi mu wystarczyć.



Gdy podróżny znajdzie się o porannym słońcu w wielkiej dolinie, w której położone są Delfy, gdy nie obeschły jeszcze krople rosy perliście zdobiące kolumny i architrawy, gdy przekona się, że to bajeczne miejsce istnieje naprawdę i jest tak piękne – może choćby przez ten moment poczuć się mieszkańcem starej Grecji. No i nie będzie się dziwił, że zewsząd przybywali Grecy właśnie tutaj, by się modlić, a przede wszystkim wysłuchać wróżb.

Jeżeli podróżny sam ma ku temu odpowiednią okazję – na przykład rocznicę urodzin – może także wyobrazić sobie, że pozna tu swą przyszłość (która pewnie, na jego szczęście, się nie sprawdzi). Potem może dotknąć kamienia zwanego omfalosem, w którym dawni Grecy lokalizowali centrum świata. I ten moment rocznicy urodzin oraz to miejsce okażą się ważniejsze od niespełnionych wróżb albo oczekiwań.

Słońce powoli się podnosi, oświetla trybuny stadionu, ruiny świątyni Apollina oraz dawny skarbiec Ateńczyków i teatr. A także odległe Góry Parnas i rosnące gdzieś wyniosłe cyprysy. Wtedy dobrze jest usiąść sobie gdzieś na odłamku jakiejś starej kolumny i patrzeć na ścieżki, którymi z tych gór schodzili tu kiedyś Grecy, a przede wszystkim na Świętą Drogę. I oczywiście pomyśleć też, jacy to bogowie sprawili, że jakaś ścieżka doprowadziła tu także nas.

## Korynt



Dawniej – w antycznych czasach – Koryntowi zawsze dobrze się działo. Niezależnie czy rządzili nim królowie, tyrani czy oligarchowie. Dobre położenie przy przesmyku koryntkim, ważny port, współpraca z innymi miastami greckimi przyczyniały się do rozwoju i bogactwa miasta. A dziś? Dziś pozostało z dawnego wspaniałego Koryntu kilka kolumn świątyni Apollina, kilka głowic rozrzuconych w trawie i kilkadziesiąt nieforemnych już bloków skalnych – pozostałości fundamentów. I jego piękne górzyste tło na południu oraz bliskie współczesne miasto na północy.

Korynt oczywiście kojarzy się z jego „córami”. Antyczny port musiał przyciągać pаниenki, lecz pewnie tak było w każdym portowym mieście. Dlaczego więc metaforyczne określenie prostytutek wzięło się od nazwy tego właśnie miasta?

Kiedy myśli się o tym siedząc na odłamku antycznych fundamentów, można zobaczyć małe jaszczurki szybko przebiegające pośród chwastów i kamieni. Je także można spotkać w wielu innych starożytnych ruinach, jednak tu nasuwa się myśl, że może są one wcieleniami dawnych cór tego miasta, które dziś próbują na swój sposób przyciągnąć uwagę zwiedzających.



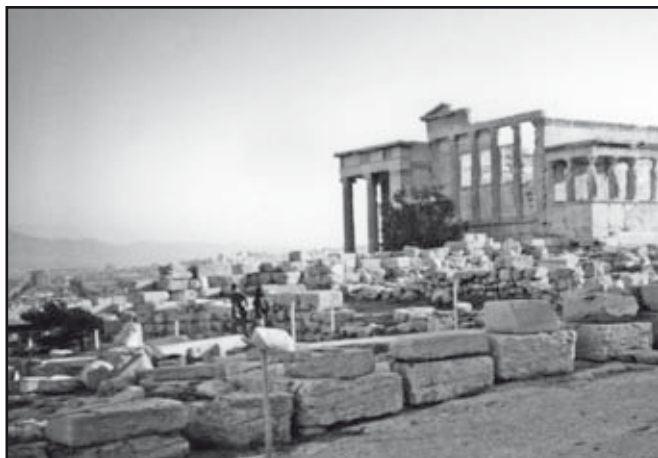
Ze starożytnej Grecji we współczesnej Grecji zostało niewiele dobrze zachowanych pozostałości. Do wyjątków należy też Olimpia.

Już sama nazwa tego miasta brzmi magicznie dla współczesnego człowieka. A może jeszcze bardziej magicznie brzmi określenie „laur olimpijski”. W Olimpii łatwo go zdobyć. Można sobie przebiec kilkadziesiąt metrów na starym dobrze zachowanym stadionie, a potem obok zerwać dwie gałązki z dziko rosnącego drzewa laurowego i ozdobić swe skronie. I można to jeszcze uwiecznić na fotografii.

Oczywiście w pozostałościach starożytnej Olimpii można robić jeszcze wiele innych rzeczy, a przede wszystkim spacerować i dotykać niektórych z licznie zachowanych stojących jeszcze kolumn. Można też przyglądać się tym leżącym – głównie z ogromnej świątyni Zeusa – i kolejny raz zastanawiać się nad tym, jak starożytnym Grekom udawało się tworzyć tak wspaniałe budowle i jak upływający czas je niszczył.

Można też wybrać się do zakątka, który uchodzi za dawną pracownię Fidiasza. W Olimpii nie ma oczywiście żadnej jego rzeźby. Chce się jednak wierzyć, że w tym miejscu unosi się dobra twórcza aura – ważniejsza od jakiegokolwiek olimpijskiego wyczynu.

## Ateny



Nad Atenami ciągle góruje ateński Akropol – dosłownie i symbolicznie. Najlepiej przyjść tam o świcie, gdy nie ma jeszcze wielu turystów. Wtedy można przejść z uwagą Propyleje, zadumać się nad proporcjami Partenonu oraz urodą Erechtejonu (to nic, że fragmenty jego fryzu, podobnie jak i metopy z Partenonu, są w muzeum). I nad tym, że to wzgórze tyle przeszło w swych dziejach, a ciągle istnieje i ciągle robi niezwykle wrażenie. To pewnie nieprawda, że służby miejskie uzupełniają co jakiś czas kamienny gruz, który podobno turyści zabierają sobie myśląc, iż zabierają odrobinę starożytności. To nie powinna być prawda, bo przecież można zabrać ze sobą to wszystko, co się zobaczyło. I na swój sposób pomodlić się – bo przecież do tego to wzgórze było przeznaczone.

A potem jeszcze obejrzyć imponujące zbiory greckiego Muzeum Narodowego, wejść do któregoś ze starych kościołów bizantyjskich i obejrzyć paradę wojskową przed gmachem greckiego parlamentu. Pijąc retsinę na ruchliwej Placu można zadumać się nad meandrami historii, która właśnie w tym mieście bardziej niż gdzie indziej wykonywała bardzo karkołomne ruchy. Chce się powiedzieć: jakby wypięła zbyt wiele dobrego greckiego wina.

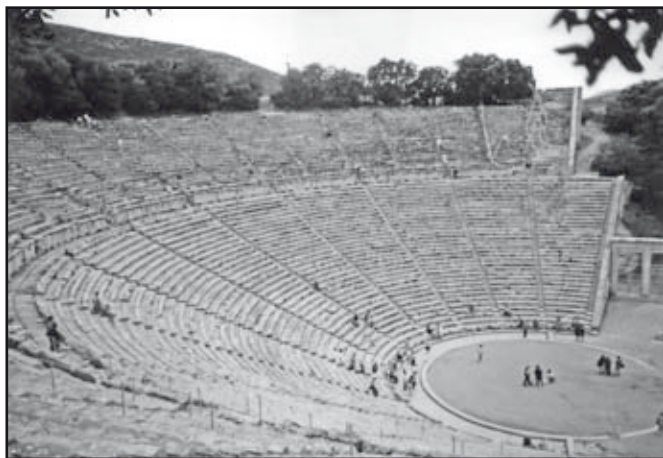


Dzisiejsza „Sparta jest z historii odarta”. Podróżny musi samemu sobie wybaczyć ten głupi rym, który jednak narzuca się tu z dużą siłą.

W nudnej, przeciętnej i na wskroś współczesnej Sparcie najstarsze jest to, co ma zaledwie pół wieku. I nie wiadomo, gdzie się podziało poprzednie 30 wieków. Współczesny pomnik bohaterskiego Leonidasa długo jeszcze nie nabierze takiej patyny, by patrzeć na niego, jako na obiekt historyczny. Praktycznie więc nie ma tu nic: nie ma starych murów ani kolumn, ale nie ma też spartańskiego ducha. Młodzi ludzie przesiadujący w kawiarniach i popijający coca-colę jakoś nie kojarzą się z tym dawnym etosem. Inna rzecz, że współcześnie coraz częściej przypomina się, iż dawni Spartanie nie zawsze byli niezwyciężeni i nie zawsze bohaterscy, jak chciał historyczny mit i stereotyp. Zdarzało się bowiem, że też tchórzliwi (jak na przykład w bitwie z Tebańczykami) i że czasem też zdradzali (jak na przykład nieraz Ateńczyków, knując coś z Persami).

No cóż, nawet nie zasmuciliśmy się tym rozczarowaniem, opuszcza się więc Spartę bez żalu. Szczególnie, gdy nie lubi się żołnierskich mitologii.

## Epidauros



Dobrze pojechać do Epidauros, gdzie można zasiąść w znakomicie zachowanym, położonym niemal na pustkowiu antycznym amfiteatrze. Dziś zazwyczaj jedynymi widzami i słuchaczami są okalające go góry i wzniesienia. To skądinąd ciekawe, iż ta widownia jest jednocześnie scenografią. Piękną scenografią. Można tylko zastanawiać się, jak ją widzieli starożytni Grecy, i czy w ogóle ją widzieli.

Można wyobrazić sobie jednak, że na scenę wchodzi grecki chór i właśnie zaczyna się spektakl. A może ten spektakl ciągle tu trwa? Pojawiają się wszystkie znane z mitologii greckiej postacie, wszystkie zapamiętane kwestie i sytuacje z greckich tragedii. Wszak nie może być inaczej, skoro nawet najcichsze słowa wypowiedane przez kogoś znajdującego się na scenie, słyszalne są w najdalszych i najwyższych rzędach teatru. Można wierzyć, że równie łatwo jak przestrzeń, pokonują one czas.

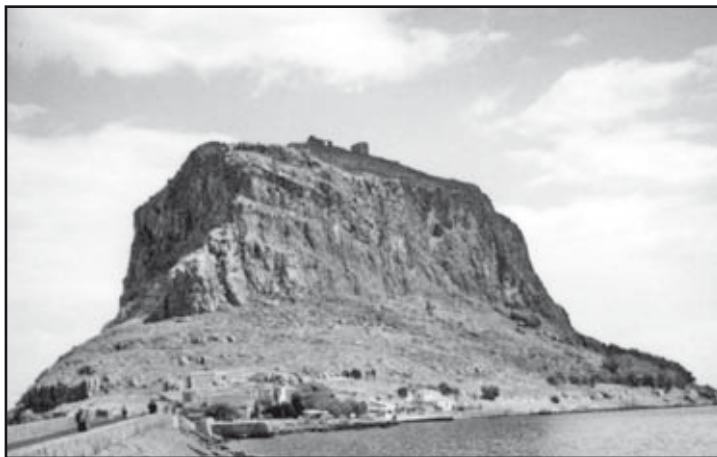


Nie wiem, skąd się wzięła ta kosmiczna nazwa dla zespołu starych greckich klasztorów zbudowanych wysoko na skałach. Może stąd, że nie chce się uwierzyć, iż zbudowane one zostały na ziemi. Wydaje się, jakby spadły z nieba. Albo były zbudowane dla nieba.

Nie wiadomo, czy tak traktowali je dawni misi. Na pewno jednak niezbyt lubili ludzi z zewnątrz. Może też bali się ich. Dlatego tak trudny był tu dostęp. Dzisiaj rzesze turystów, bo przecież nie pielgrzymów, przychodzą tutaj przynosząc hałas, niedyskrecję i nieznaną świat zewnętrzny. Kiwają głowami z uznaniem, wręcz z podziwem dla wysiłku, z jakim kiedyś zbudowano te klasztory. Może też dla odosobnienia, w jakim żyli mnisi. Ci na szczęście pochowali się gdzieś w celach. Jakby wstydzili się, że pokazują te klasztory obcym. Może też zazdroścżą tym z góry Athos, którzy ciągle są niedostępni.

Klasztory i fantazyjne skały, na których zostały zbudowane i które je otaczają, nawet dziś nie są pozbawione tajemniczości. I jakiegoś romantyzmu, z którym tajemnica lubi się kochać. W każdym greckim monasterze można znaleźć szansę na dostrzeżenie jakiejś tajemnicy – także tej we własnym spojrzeniu. Również tej tkwiącej w chwilowym zamyśle, czy nie zostać tu na zawsze.

## Monemvasia



Taki drugi Gibraltar – tyle że położony u południowo-wschodnich wybrzeży Peloponezu. Na szczycie jest dawna twierdza mająca chronić to bogate miasto żyjące z handlu. Dziś niczego już ona nie strzeże, a z dawnych kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców pozostało może kilkadziesiąt osób.

Najpierw usypaną groblą, a potem wąskimi uliczkami wchodzi się powoli na górę. Ten wysiłek warty jest pięknych widoków. I spojrzeń w dół na zapierającą dech w piersiach stromiznę murów twierdzy nadbudowanych na skale.

Jest na świecie wiele takich twierdz i zamków, które kiedyś wydawały się nie do zdobycia, a dziś są jedynie obiektem zainteresowań biur turystycznych. Warto wejść na górę także i po to, by pojawiła się może w nas nadzieja, że taki los czeka kiedyś dzisiejsze arsenały atomowe. Ta mało poetycka refleksja musi być jednak przerwana, bowiem zaczyna kropić deszcz i pora szybko schodzić w dół.



Przyjeżdża się do Napflionu nie dlatego, że jest w nim jakiś ważny zabytek (choć oczywiście są tutaj zabytki bizantyjskie i jest twierdza wenecka), tylko dlatego, że jest to piękne i wygodne miasto. Położone we wschodniej części Peloponezu, schowane w Zatoce Argolidzkiej, niczego od nas nie wymaga. Ot, chodzimy tu sobie, oglądamy wystawy sklepowe i galerie sztuki, pijemy kawę. I wiemy, że jest to jedno z takich miejsc, do których chciałoby się wracać.

A właściwie nie wiadomo, po co. Może dlatego, że wydaje się ono lekkie i niezobowiązujące, czyste i przytulne. A może dlatego, żeby spotkać ślady Meliny Mercouri, która podobno tu mieszkała. I choć do Pireusu jest stąd kawałek drogi, to przecież można sobie zaśpiewać jej przebój *Dzieci Pireusu*. Lepiej jednak wybrać się do Pireusu – choćby po to, żeby zobaczyć niedaleki Kanał Koryncki, albo po to, by wsiąść tam na prom i popłynąć na jakąś wyspę na Cykladach. Ale to już pewnie przy innych marzeniach i przy innej okazji.

## Rodos



Wyspa nazywa się tak, jak miasto, miasto jest imiennikiem wyspy. I nie jest ważne, co dało nazwę drugiemu. Ważne jest, że gdy stoi się na końcu cypla w mieście Rodos (i zarazem na końcu wyspy Rodos), można lewą nogę mieć zanurzoną w wodach Morza Egejskiego, a prawą w wodach Morza Śródziemnego. Różnią się odcieniem, wysokością fal, charakterem. Idąc potem piękną promenadą wzdłuż Morza Śródziemnego, już nawet nie żałujemy, że zamiast antycznego Kolosa Rodyjskiego przy wejściu do portu stoją jedynie dwie kolumny zwieńczone figurkami jeleni. Też mogą się podobać.

Korcą po drodze różne atrakcje, jednak już z daleka nasz wzrok przyciągają potężne mury średniowiecznego Rodos zbudowanego przez zakon Joannitów. Przekraczając imponujące bramy i zasypane fosy, nie chce się pamiętać o przemocy i krwi, która tu była kiedyś przelewana. W środku czeka nas cała historia średniowiecznej architektury obronnej z wieloma świątyniami, pałacami i płataniną wąskich uliczek wzajemnie wspierających się przyporami. Tu i ówdzie znajdzie się jakiś meczet zbudowany później przez Turków. Wiele placów i zaułków sprawia, że nawet nie przeszkadzają inni turyści. Pierścień potężnych murów obronnych powoduje, że nie zaginiemy tu, ale też nie chcemy stąd wyjść.



Na Rodos korcą też jednak różne pokusy. Jedzie się więc do Lindos, którego akropol wznosi się ponad białymi domkami w aureoli różaneczników (a z akropolu rozciąga się widok na błękitne morze i maleńkie skaliste wysepki). Patrząc z akropolu w dół na morze, zdajemy się być wdzięczni mu za to, że się przed nami tak kusząco rozkłada. To tu mogłyby się narodzić podróżnicze marzenia Odyseusza, gdyby wcześniej nie pochwycił go fatalistyczny i bardziej bezwzględny przymus wędrowania.

Dobrze jest też popłynąć na niedaleką wyspę Symi, gdzie z jednej strony jest klasztor Panormitis, a z drugiej miasteczko Symi (można tu zjeść najsmaczniejsze owoce morza popijając aromatyczną retsinę). Odnosi się wrażenie, że wysepka nieco martwi się, iż od niej odpływamy, a przecież tak naprawdę jej mieszkańcy są zadowoleni, iż wreszcie pozostaną sam na sam ze swoją wyspą.

Choć Symi jest trochę podobne do Portofino i oczarowało podróżnego swą urodą, wraca się jednak na Rodos. Tak trudno oderwać się od jego dwóch mórz, od promenady, od zakłętego kręgu starego kamiennego miasta. No i od widoku bliskich oraz dalekich wysp i wysepek.

## Rethymnon



Kreta ma długie wybrzeże, i jak na wybrzeżu każdej wyspy jego środek nie jest nigdzie i jest wszędzie. Jednak nie każdy środek jest jednakowo środkowy. Rethymnon jest nim może jednak bardziej niż inne miejsca.

Kreta, jak każde słoneczne miejsce, jest na wybrzeżu oblepiona kilometrami hoteli (dlatego można polubić skaliste wybrzeża, gdyż są wolne od nich). Rethymnon to także setki hoteli i tysiące turystów. Trudno od nich uciec i przed nimi się schować. Szuka się takich miejsc na starej weneckiej cytadeli, gdzie w koronach sosen pini można wysłuchać koncertu cykad i spojrzeć na morze i miasto z góry. Niestety, jeszcze bardziej stamtąd widać jego rozlazłą wielkość. Stare miasto weneckie i tureckie z wąskimi uliczkami też jest zapchane turystami i sklepami z gadżetami turystycznymi. Na szczęście, można na brzegu wpatrywać się w białe grzywki fal, pośród których da się odnaleźć wspomnienia innych mórz.

Dobrze jest też stąd wyjechać choćby na jeden dzień, choćby do Moni Arkadiu – starego monasteru. To niedaleko, a turystów tu niewielu. Jest historia, piękno i spokój. Przecież wiadomo, że niczego więcej nie trzeba – może za wyjątkiem kilku oliwek i szklanki wina.



Jeżeli chce się zobaczyć to, co jest najładniejsze na Krecie (a widziało się już zabytki minojskie oraz ortodoksyjne monastery), dobrze jest przejechać wyspę w poprzek (na przykład do południowej laguny Elafonisi). Po drodze można zawisnąć wzrokiem nad głębokimi skalistymi wąwozami, przejechać po wąskich półkach nad przepaściami i dziękować, że nieraz starczyło kilku milimetrów by pojazd się zmieścił. Tak to zresztą jest we wszystkich górskich przejazdach, gdzie nie ma tuneli i estakad. To gra emocjami na własne życzenie.

Ale trzeba też odwiedzić Chanię – najpiękniejsze miasto na wyspie. Dobrze jest przy tym zamówić słońce i dobry nastrój, dobrze jest wypić w pięknym starym porcie kieliszek metaksy lub filiżankę kawy. I spacerując po cudownym nabrzeżu patrzeć, patrzeć, patrzeć... Często wzrok padnie na starą latarnię morską, która zainspiruje może do zastanowienia się nad kierunkami własnej nawigacji – nawigacji, która przywiodła podróżnego i tutaj.

Dobrze jest przejść nabrzeże w Chani kilkakrotnie – choćby po to, by upleść sobie bogaty naszzyjnik wrażeń.

## Heraklion i Knossos



Choć Heraklion to współczesna stolica Krety, to prócz pięknej nazwy nie ma tu wiele interesujących miejsc – za wyjątkiem wspaniałych zbiorów muzealnych. Jeżeli jeszcze podróżny przybył tu w piątek po południu lub w sobotę, to może poobserwować młodzież, która po brzegi wypełnia liczne kawiarenki i puby przy wszystkich placach, placykach i skwerach. Tu nie ma wielu turystów, więc widzi się tylko miejscowych. Ale przecież nie po to tu się przyjeżdża. Nawet nie po to, by coś kupić na miejscowym targu, a także nie po to, by wyjeżdżać stąd w rozczarowaniu.

Przyjeżdża się tu w zasadzie tylko po to, by dotrzeć do położonych niedaleko ruin w Knossos. Coś, co powstało przed czterema tysiącami lat oglądamy w czterdzieści minut. Te pozostałości minojskich pałaców jakoś nie mogą wywołać głębokich wzruszeń. Trzeba więc wrócić do Heraklionu, by w Muzeum Archeologicznym przyjrzeć się minojskim freskom, biżuterii, ceramice, rzeźbom. I dyskowi z Fajstos, który ciągle dyskretnie milczy. Można kupić sobie jego kopię i próbować w domu, w długie zimowe wieczory go odczytać. Może jednak lepiej uznać jego tajemniczość i wpatrywać się właśnie w nią.

## **Balkany**

Piękny, choć niespokojny półwysep. Fiordy nad Adriatykiem prawie jak w Skandynawii – tyle że słoneczne i ciepłe. Setki wysp i wysepek. Tysiące lat historii. Bogata kultura spojona z bogatą przyrodą – jak kamienie i złoto w jubilerskich precjozach. Granice zmienne jak kobiety, a kobiety piękne jak marzenia mężczyzn. Balkany – geograficzne wyobrażenie podróżnych, choć już nie wytchnienie historii Europy.

## Lublana



Stolica Słowenii jest tak piękna, jak miasto bałkańskie, i tak schludna, jak miasto austriackie. Może dlatego, że gdzieś tu ciągle włóczą się duchy austro-węgierskiej monarchii i przypominają o tym, żeby wszystkie ulice posprzątać, odrapane tynki naprawić, a fasady pięknie wymalować. A przecież ta czystość nie odbiera Lublanie tajemnicy: jej kręte uliczki nadal są zagadkowe, jej mosty nad rzeką Ljubljanicą wiele obiecują, a cudowne stare budowle zapraszają do oglądania. Miasto jest otwarte i przyjazne, i choć jest stolicą niewielkiego kraju, niczego się nie obawia. Może dlatego, że wydaje się takie niewinne, a może dlatego, że właśnie takie jest. I jeszcze może dlatego, że jego nazwa tak dobrze się kojarzy. Tak, gdy nadjeżdża się od północy Europy, Lublana pięknie wita i gościnnie zaprasza do poznawania Bałkanów.



Podziemne miasto. Ukryty majestat. Skamieniała tajemnica. Teraz doprowadzone tu światło elektryczne pozwala spacerować turystom kilometrami podziemnych korytarzy i sal. Światło ukazując te tajemnicze formy z jednej strony odbiera im tajemnicę, zaś z drugiej ukazuje ich niezwykłość. Kształty i kolory, przestrzenie i zamknięcia tworzą misterny labirynt, w którego realne istnienie trudno uwierzyć. Można obawiać się, że gdy gaśnie tu światło, wszystko znika. Ale na razie istnieje i jest takie, że nie wiadomo, gdzie zatrzymać wzrok. A przecież trzeba ciągle iść dalej, czasem też płynąć łodzią podziemną rzeką. Co zdołamy zapamiętać, który kształt wybrać jako najpiękniejszy? Próżny trud. Tu przydaje się jedynie prosta kontemplacja czystych form. A potem trzeba wyjść na zewnątrz i zobaczyć tamten świat. No cóż – w wodach jaskini żyją ryby, które tam osłepliły. Można obawiać się, że zostając tu dłużej, też moglibyśmy osłepnąć. Może nie na to, co wewnątrz jaskini, lecz na to, co na zewnątrz.

## Jeziora Plitwickie



Można pomyśleć, że swym turkusowym kolorem konkurują z błękitem Adriatyku. I to im się nawet w dużym stopniu udaje. Żeby jeszcze bardziej uwieść, rozlokowały się na różnych poziomach tworząc misterny układ połączeń, przepływów, progów i kaskad. Człowiek dołożył mosty i pomosty, które rozłożone nad przesmykami pozwalają niejako spacerować po wodzie. Jeziora stanowią wielką atrakcję turystyczną, więc jest tu oczywiście dużo ludzi. Można sobie tylko wyobrazić, jak musi tu być uroczym wczesnym rankiem lub wieczorem, gdy turyści odjadą. Można też sobie wyobrazić, jak tu było wtedy, gdy turyści jeszcze nie znali tych miejsc. Szkoda jednak, że właśnie tu gdzieś padł pierwszy, jeszcze dość przypadkowy strzał w wojnie jugosłowiańskiej z końca XX wieku. Czy piękna natura musiała urodzić bestię?



Cały półwysep Istria jest cudowny, a każde miasteczko chce tu uwodzić turystę. I kolejno skutecznie uwodzi. Może jako pierwszy uczynić to właśnie Poreć – ale chyba tylko dlatego, że tu wielu przyjezdnych z północy zaczyna poznawać Istrię. Najlepiej, gdy świeci poranne słońce, bo wtedy bazylika Eufrazjasza z VI wieku w pełni objawi swój adriatycki urok. Już tu widać, jak wspaniale krzyżują się europejskie i wschodnie melodie w jego architekturze. I w architekturze całego miasteczka. Chropowate mury domów z kamienia i wyślizgane od setek lat kamienne płyty ulic, łuki i kolumny; okna i kwiaty w oknach – wszystko to może też być symbolem całej Istrii.

Gdy poranne słońce podniesie się, wtedy jeszcze zyska na urodzie. Wówczas nawet najdłuższy spacer w małym Poreću zawsze wyda się zbyt krótkotrwały.

## Rovinj



Już z nabrzeża wita wędrowca wysmukła dzwonnica katedry św. Eufemii. Nie dzwonnica – tylko campanilla. Tak przypomina podobne stare dzwonnice miast tokańskich, że wydaje się ich siostrą, która tu gdzieś za Adriatykiem zabłąkała się w poszukiwaniu wiernych. Także wysmukłe ściany starych domów zdają się wyrastać z nadmorskich skał. Gdy gdzieś tu w jakiejś osłoniętej od słońca tawernie wypije się kieliszek vermuthu Istria, będzie można powiedzieć, że ma najlepszy aromat na świecie. Będzie się też wydawało, że błękitny kolor zatoki odbija się w kieliszku, który trzymamy w dłoni. Patrzy się na wysepki położone niedaleko i marzy, żeby któraś chciała nas przyjąć. Wierzy się, że właśnie tam można w nieskończoność czytać swoje trzy ulubione książki. Gdy zaczynamy się zastanawiać, jakie byśmy wybrali, nadchodzi godzina odjazdu z Rovinj. Można dotknąć jeszcze dłonią jakiegoś muru, aby pobyt tu był dla nas w pełni namacalny.



W Puli jest wszystko to, co kojarzy się z miastem antycznym. Jest tu kilka wspaniałych bram: piękny Łuk Sergiuszów z I wieku p.n.e. oraz równie piękna Brama Herkulesa z początku naszej ery, a także Podwójna Brama z II wieku. Jest znakomicie zachowany rzymski amfiteatr z I wieku, jest wreszcie świątynia Augusta także z I wieku. Ale jest też średnio-wieczny ratusz i kilka starych kościołów.

Pula jest niewielka, a posiada tak wiele. I jeszcze ma piękne południowe słońce, które wszystkie te obiekty cudownie oświetla. Gdyby jeszcze komuś czegoś brakowało, to tu i ówdzie rosną stare cyprysy. Gdy podróżny jest zmęczony, może przysiąść w cieniu, na schodach świątyni i patrzeć na przylegający do niej plac. Nie będzie się modlił do antycznego bóstwa, lecz do tego, co widzi wokół. Żeby jego spojrzenia nie zniszczyła egzaltacja, może przyglądać się też pięknym dziewczynom, które spacerują po mieście. Nie może żadnej zaprosić wieczorem na wino, bo i stąd musi wyjechać. No cóż – nigdy nie ma się wszystkiego. Pewnie wiedzieli to już ci dawni Rzymianie, którzy kiedyś budowali to miasto, i którzy je potem stracili.

## Krk



To już nie Istria, lecz wyspa, która połączona szerokim mostem z lądem stała się niemal półwyspem. Trzeba mieć nadzieję, że ten nowoczesny most nie odbierze wyspie i miastu o tej samej nazwie ich urody. Niestety, bywa tu teraz coraz więcej ludzi. A Krk ma tylko małeńkie placzki i wąskie uliczki, których kamienne obramowania nie będą chciały ustąpić miejsca przyjezdnym. Na szczęście. Gdy spaceruje się po miasteczku w samo południe, senność spowodowana upałem sprawia, że można zacząć tu niemal śnić. Żeby nie obudzić się z pięknego snu, lepiej wcale nie zasypiać. Pora więc na kawę albo chłodzące lody. To wszystko po to, by móc dalej spacerować uliczkami i nic nie uronić z urody miasteczka. Dotykając jakiejś kamiennej obudowy małego domku, można sobie przed odjazdem pomyśleć o rybaku, który tu mieszkał przed wiekami, i któremu nigdy nie udało się złowić złotej rybki. A więc o wszystkich biednych rybakach świata.



Pozostałości gigantycznego pałacu Dioklecjana przenikają budowle średniowieczne, a te przeplatają się z renesansowymi i osiemnastowiecznymi. Portyk rzymskiej świątyni daje podparcie piętnastowiecznemu ratuszowi, a stara rzymska brama prowadzi na plac, na którym stoi średniowieczna warownia. Mauzoleum cesarza stało się chrześcijańską świątynią. Setki antycznych zabytków sąsiadują ze współczesnymi sklepami i barami. A wszystko to tworzy na rozległym obszarze jedyną w swoim rodzaju strukturę.

Split jest więc skondensowanym podręcznikiem historii sztuki – przede wszystkim historii architektury ostatnich dwóch tysięcy lat. Zwiedzanie tego miasta to także szkoła wolności. Nie jest ważne, gdzie się zaczyna i gdzie kończy, nie jest ważne, które warianty przejść wybiera. Gdy ktoś zgubi się w zaułkach tego miasta, to tak jakby zgubił się w meandrach dziejów. A przecież na końcu i tak znajdzie drogę do współczesności. I do portu, a przede wszystkim do błękitnego Adriatyku.

## Šibenik



To miasto jest kolejnym darem Adriatyku dla każdego podróżnego, który przedtem go nie znał. Choć nie słyszał nigdy wcześniej o nim, nawet nazwy nie znał, to miasto obdarowało go tyloma wspaniałościami. Nawet hotel, w którym mieszkał, położony jest przy promenadzie nadmorskiej. Nawet na pokładach jachtów zacumowanych w porcie można niekiedy spotkać opalające się nagie dziewczyny. I wtedy nie wiadomo, czy dyskretnie im się przyglądać, czy raczej łąpczywie oglądać stare miasto.

Jego średniowieczne i renesansowe budowle wyrastają stopniowo od nabrzeża i powoli pną się po zboczu ku górze. Z tej perspektywy tworzą misterny amfiteatr, na którym tu i ówdzie przysiadły piękne stare kościoły (z imponującą katedrą św. Jakuba na czele), pałace i kamienice. A gdy ogląda się to wszystko, gdy spaceruje się popijając tu i ówdzie miejscową śliwovicę, to trzeba cieszyć się, że nie jest się w tej chwili w żadnym innym z miliona miejsc na świecie.



Wzdłuż wybrzeża Adriatyku znaleźć można wiele pereł, a Dubrovnik uchodzi za najwspanialszą. I nawet gdyby ktoś chciał ćwiczyć się w sceptycyzmie wobec tych powszechnych opinii, to i tak miastu ulegnie. Ulegnie już wtedy, gdy z oddali zobaczy białe średniowieczne mury, a jeszcze bardziej, gdy przekroczy ich imponujące bramy. Gdy zagłębi się w węzeł wąskich uliczek, gdy pozna jego place i setki pięknych budowli, będzie już zniewolony.

Dubrovnik, jak każde średniowieczne miasto, jest zamknięty w pierścieniu dawnych murów. Gdy się tutaj spaceruje, choćby tylko od fontanny przez Stradun do Pałacu Rektorów, już wydaje się on nieskończonym labiryntem – miejskim kosmosem z niezliczoną liczbą historycznych zaułków, obiektów i perspektyw. A przy tym raz jest to wąska uliczka, a innym razem szeroki plac; raz ozdobna fasada, a innym razem biała kamienna ściana muru miejskiego. W labiryntcie, jak to w labiryntcie, trudno znaleźć puentę, a jeszcze trudniej wyjście. Dlatego wydaje się, że z Dubrovnika nigdy tak naprawdę się nie wychodzi.

## Zagrzeb



Trudno polubić stolicę Chorwacji, gdy poznaje się ją przy ponurej pogodzie. Może też dlatego trudno ją polubić, że ona nie chce dać się polubić. Tak inne to miasto niż miasteczka z wybrzeża dalmatyńskiego, w tak innej oprawie niż Adriatyk. A przecież jest tu sporo pięknych obiektów: Teatr Narodowy, katedra św. Stefana, stare baszty. No cóż – zabrakło jeszcze czegoś miastu lub zabrakło czegoś podróżnemu w chwili, gdy poznawał miasto. I pewnie już nigdy tego nie sprawdzi, bo pewnie już nigdy tu nie wróci. Nie wiadomo, czy ma się martwić, że tak lekko skazał to miasto. Na szczęście jest jeszcze cała wspaniała Chorwacja. I wiele innych krajów na Bałkanach.



W stolicy Bośni i Hercegowiny wyniosłe są wieże minaretów i spojrzenia kobiet. Tu długa jest historia i długa jest aleja snajperów. Tu ludzie strzelali do siebie jak do tarcz, a mimo to dziś na twarzach mieszkańców Sarajewa obecny jest uśmiech. Uśmiech pojawia się też w nowych budowlach, które doskonale zblizniają stare rany w przestrzeniach miasta. Miasta, które od kilkunastu lat cieszy się spokojem.

Można polubić Sarajewo za tę kroplę orientu w sercu Europy. Meczety w Sarajewie są liczne, jednak jest też tu duża chrześcijańska katedra oraz tu i ówdzie cerkwie. I jest wschodni bazar z zachodnimi zwyczajami. Spacerując po nim, nie jest się zaczepianym nieustannymi propozycjami przekupniów. Można tu chodzić w spokoju – jak w parku miejskim.

Całe miasto położone jest w pięknej dolinie. I tylko na wzgórzach rozłożyły się białe cmentarze z grobami sprzed kilkunastu laty. Ich nagrobki mają o czymś pamiętać – tylko, kto wie, o czym. Pewnie, niestety, każdej ze stron konfliktu o czymś innym.

## Mostar



To piękne stare bośniackie miasto wzięło swą nazwę od mostu zbudowanego prawie 500 lat temu przez Turków. Kamienny łuk nad rzeką Neretwą był nie tylko dziełem techniki, ale i dziełem sztuki: jest to most, którego architektura śpiewa. Przez wieki łączył mahometan, katolików i prawosławnych. Kilkanaście lat temu został zburzony w wyniku ostrego konfliktu; niedawno został odbudowany. W Mostarze jest kilka innych, mniejszych kamiennych mostów, jednak ten jeden, najwyższy i najwspanialszy, jest symbolem miasta – i symbolem zarówno tego, co łączy, jak i tego, co dzieli.

Dzisiaj w Mostarze jest wielu turystów. Mogą kupować na pamiątkę długopisy wykonane z łusek po nabojach. Choć jest ich bardzo, bardzo dużo, to można obawiać się, co będzie, gdy ich zabraknie. Już teraz zaczynają ze sobą konkurować wieże meczetów i kościołów. Na razie tylko pod względem wysokości. Można pocieszać się, że zazwyczaj złe prognozy wędrowców są mylne, gdyż ci dobrze życzą każdemu napotkanemu kamieniowi i każdemu napotkanemu człowiekowi.

Odjeżdżając z Mostaru, jeszcze długo słyszy się śpiew jego pięknego mostu.



Czarnogóra – najmniejsze państwo na Bałkanach – ma największą zatokę na Adriatyku: Bokę Kotorską. A że ta zatoka ma swoje zatoki, to łączna długość jej brzegów przekracza sto kilometrów. Gdy objeżdża się ją szosą położoną blisko brzegu, ma się z jednej strony majestatyczne wysokie góry, zaś z drugiej – błękitną wodę niemal na dotknięcie ręki. Miasteczka i domy konkurują ze sobą w konkursie urody, jakby narcystycznie przyglądając się swemu odbiciu w tafli wody.

Tylko Kotor nie uczestniczy w tej konkurencji, gdyż jest bezkonkurencyjny. Mieszkali już tu ludzie w czasach greckich, rzymskich, bizantyjskich, weneckich. Miasto nigdy nie zostało zdobyte – może dlatego, że jego wspaniale zachowane mury obronne miejscami mają grubość 15 metrów. Czasem zdobywało je trzęsienie ziemi, jednak Kotor szybko otrząsał się ze zniszczeń. Dziś spacerując jego wąskimi uliczkami, możemy zastanawiać się, czy sami potrafimy je zdobyć. Oczywiście nie – to Kotor zdobywa nas.

Po drugiej stronie wysokich gór znajduje się Budva. Choć także otoczona wysokimi murami, dziś bardziej otwarta jest jednak na morze. I na turystów. Wiele tu hoteli, lokali rozrywkowych i wszelkich atrakcji wypoczynkowych. No cóż – przegrała rywalizację z Kotorem o urodę i intymność, to postanowiła zwyciężyć w rywalizacji o nowoczesność.

## Kruja i Durrës



Wjeżdżając do Albanii podróżny musi szybko porzucić wyświechtane stereotypy i próbować patrzeć na ten interesujący kraj otwartym spojrzeniem. Owszem, pełno tu kontrastów, z którymi trudno sobie poradzić: zdarzają się nędzne i potwornie zaśmiecone osiedla Romów, ciągle wiele tu pozostałości komunistycznych bloków i bunkrów, jakieś zdewastowane zakłady przemysłowe. I nowe imponujące wille, hotele i nowoczesne siedziby firm. A wszystko we wspaniałym pejzażu i słońcu, i w sąsiedztwie słonecznych ludzi. I długiej historii – bo aż od illiryskich czasów.

Choć Kruja dla Albańczyków jest ważnym miastem (bo to tutaj bronił się przed Turkami Skanderbeg), jednak podróżny nie zdoła się rozsmakować w tym mieście i pewnie szybko stąd wyjedzie.

Pięknie położone nad morzem Durrës przywita go typowymi dla Albanii kontrastami: nieznacznymi pozostałościami antycznych budowli, fragmentami średniowiecznych murów obronnych, jakimiś włoskimi akcentami architektonicznymi z lat międzywojennych, wyraźnymi śladami komunistycznej zabudowy i rozpadzonej nowoczesności. Wszystko to razem jest jednak nieco meczące. Dlatego lepiej albo usiąść nad brzegiem morza i wpatrywać się w jego bardzo południowy koloryt, albo wjechać w albański plener.



W stolicy Albanii widać wszystkie kontrasty charakteryzujące cały kraj. Widać stare komunistyczne bloki i rządowe budynki – a w tym otoczoną płotem z zasiekami wielką rezydencję byłego dyktatora Envera Hodży; widać na głównym placu miejskim wielkie Muzeum Narodowe i wielki gmach opery, które mają zaledwie czterdzieści lat, a już powoli niszczeją; widać gigantyczną piramidę, która miała być hołdem dla dyktatora, a która dziś wstydliwie popada w ruinę. A przy tym widać ogromny rozmach: buduje się wiele imponujących biurowców, fontann i dróg. Ciągłe jednak odnosi się wrażenie, że tu nic do niczego wzajemnie nie pasuje. Pewnie trzeba jeszcze trochę poczekać, aż nowa Albania całkowicie przesłoni tę komunistyczną, albo po prostu ją wyprze.

Na razie jest to kraj, z którego oceną trudno sobie poradzić: nie wiadomo, czy się podoba, czy nie. Wszystko jednak jest tu na tyle obiecujące i optymistyczne, że nie sposób zaprzeczyć, iż z pewnością spodoba się bez zastrzeżeń już za kilka lat. Na razie serca nie zostawiamy w Albanii – zostawiamy nadzieję, którą dokładamy do nadziei i uśmiechu Albańczyków.

## Ochryd



Jadąc wzdłuż brzegu Jeziora Ochrydzkiego od jego albańskiej strony ku stronie macedońskiej zauważa się, że jest coraz czystiej. Przede wszystkim jednak dostrzega się coraz więcej cerkwi. Już w miejscowości St. Naum jest piękna stara cerkiew pod wezwaniem swego patrona. To miejsce polubiły pawie – albo mnisi tam mieszkający polubili te ptaki, bo wiele ich dostojnie przechadza się wokół świątyni wpatrującej się w jezioro.

Jednak dopiero stare miasto Ochryd (pamiętające czasy greckie, rzymskie, bizantyjskie i starobułgarskie – to tu osiedliło się w IX wieku dwóch uczniów świętych Cyryla i Metodego: Kliment i Naum) robi niezwykle wrażenie. Sporo tu antycznych wykopalisk (łącznie z rzymskim amfiteatrem), wiele dużych cerkwi i maleńkich cerkiewek (niektóre z nich cudownie zlokalizowane nad brzegiem jeziora), wiele uroczych starych domów i nowych willi otoczonych krzewami bzu i glicynii. Ochryd jest jednym z tych miejsc, o których myśli się, że można by tu zamieszkać. Ale cóż: można tutaj tylko pospacerować, by zabrać ze sobą jak najwięcej wrażeń. I to one raczej muszą zamieszkać w nas.



Stolica Macedonii ma długą historię: byli tu Ilirowie, długo stacjonowały rzymskie legiony, potem była pod wpływem Bizancjum, wreszcie imperium osmańskiego. Pięćdziesiąt lat temu nawiedziło Skopje trzęsienie ziemi. Na szczęście nie uległy zniszczeniom pozostałości średniowiecznych murów obronnych. Uratował się też wspaniały most na rzece Vardan zbudowany jeszcze w XV wieku przez Mehmeda Zdobywcę. Gdy podróżny się skupi, pod jednym z jego kamiennych przęseł może dostrzec ducha dziejów, który próbuje się tam na chwilę dyskretnie zatrzymać, a może i zawrócić. Płynąca woda nie pozwala mu jednak na to. A może jest to przy innej rzece, pod innym mostem, w innym mieście i kraju?

Teraz miasto szuka swej tożsamości i jak wiele bałkańskich miast opiera ją na różnorodności kulturowej, która tka piękny kobierzec orientально-europejski, w którym dostrzega się coraz więcej nowoczesności. Zniszczone w wyniku trzęsienia ziemi obszary dają wolne przestrzenie. Czasem jednak czuje się, że tych otwartych przestrzeni jest zbyt wiele jak na stolicę niewielkiego państwa. Przyjezdny nie potrafi miasta ogarnąć i jest nieco zagubiony. A może po prostu był tu zbyt krótko? Z pewnością nie zdąży też znaleźć tej maleńkiej cegielki, do której może kiedyś przyczynił się swym datkiem na odbudowę miasta.

## Belgrad



Kiedyś stolica całej Jugosławii, dziś stolica Serbii – która może najdłużej nie chciała się pogodzić z rozpadem federacji. Jednak Belgrad ma znacznie dłuższą historię: byli tu Scytowie, potem przez kilka wieków Rzymianie, później był pod panowaniem Bizancjum, wreszcie Turków. Mimo silnych bombardowań podczas II wojny światowej i bolesnych bombardowań amerykańskich pod koniec XX wieku, jest to piękne miasto. Jeżeli podróżny pozna tylko jego dziewiętnastowieczne dzielnice, będzie się dziwił, że zamiast orientального charakteru, widzi miasto europejskie. Takie bowiem są imponujące mieszczańskie kamienice i pałace oraz budynki rządowe o eklektycznej architekturze, która przejawia jednak dobry smak. Dobrym smakiem cechują się też liczne nowe obiekty budowane na przełomie XX i XXI wieku. Tak więc ktoś przyzwyczajony do myślenia o stolicy Serbii jako może półdzikim mieście będzie bardzo rozczarowany. I spacerując wolnym krokiem z tym rozczarowaniem pod rękę, może tym bardziej polubić bardzo europejski Belgrad, stopniowo zamieniając rozczarowanie w oczarowanie.

## Włochy

Podobno każdy człowiek ma dwie ojczyzny: swoją własną i... Włochy. Pomijając tych, którzy nie mają żadnej, oraz tych, dla których cały świat jest ojczyzną, pozostaje wielu, dla których to powiedzenie jest prawdziwe. Gdy jeszcze jej nie poznali, tęsknili do włoskich pejzaży i zabytków; gdy już coś na włoskiej ziemi zobaczyli, wracają tam nieustannie, by jeszcze raz ujrzeć miejsca, które ich urzekły, oraz by zobaczyć nowe. Zabraknie życia, by zdołać zobaczyć te najważniejsze i najpiękniejsze. Próbować jednak trzeba.

## Rzym

Co napisać o „wiecznym mieście”? Znamy je od zawsze. A więc i w tym sensie jest „wiecznym miastem”, że jakaś wiedza o nim, o jego istnieniu, jest nam dana niemal od urodzenia.

Jest też Rzym i dlatego „wiecznym miastem”, że nie tylko istnieje zawsze czy „od zawsze”, ale niemal wieczności wymagałoby jego poznanie. Im częściej i dłużej się tutaj przebywa, tym bardziej nabiera się przekonania, że nie sposób tego miasta poznać. Najpierw próbujemy ogarnąć je jako całość – a właściwie zobaczyć to, co zna się ze słyszenia, z ilustracji czy filmów: Koloseum, Forum Romanum, Bazylikę św. Piotra, Kapitol, Piazza Navona, Schody Hiszpańskie, fontannę di Trevi. Potem próbujemy skoncentrować uwagę albo na pewnych dzielnicach (Watykan, Trastevere, Kwirynał), albo na pewnych epokach: starożytność, wczesne średniowiecze, renesans czy barok. Później stwierdzamy, że każda ulica, a nawet każdy kościół, każdy pałac, każde muzeum, wymagałyby tygodnia, może nawet miesiąca, by w pełni poznać wszystkie ważne ich szczegóły.

I tu trzeba się poddać, ale jednocześnie pocieszyć się, że pewnie i Rzym nie zna siebie samego. Dobrze jest wierzyć, że trzeba tu przyjeżdżać po wielokroć, aby za każdym razem uchwycić choćby niewielki fragment jego tajemnic i jego wieczności. Bo Rzym to naprawdę zarówno „wieczne miasto”, jak i „miasto otwarte”.



W Rzymie na każdym kroku można spotkać coś z dawnej, antycznej przeszłości. Bardzo często ocieramy się o pozostałości dawnych murów obronnych (głównie tych zainicjowanych przez Aureliana, które, choć tak potężne, i tak nie obroniły miasta przed barbarzyńcami). Często wychodzimy lub wchodzimy przez taką czy inną starą bramę miejską. Możemy pójść nawet nieco dalej za Rzym osławioną Via Appia Antica. No i antyczne centra Rzymu: Forum Romanum, Forum Augusta, Area Sacea dell'a Argentina, Hale Trajana, kolumny Trajana i Aureliusza, posąg Marka Aureliusza (choć na Kapitolu stoi jego kopia, bowiem oryginał zachowany jest w Palazzo Nuovo). Trzeba też wspomnieć o Termach Karakalli czy Dioklecjana. Do tego dodać należy czynny od dwóch tysięcy lat most na Tybrze (Ponte Fabrizio). Zawartość licznych muzeów rzymskich przyprawia o zawrót głowy. Tego wszystkiego jest tak wiele, że opis złożyłby się na wielotomową historię kultury starożytnej. Ponadto, co rusz odnajdywane jest coś nowego (trzeba však napisać: „starego”). Zdarza się nawet, że podróżny widzi przy hotelu, w którym mieszka, jakieś tajemnicze czeluście pod powierzchnią ulicy, która właśnie jest remontowana. Musi wtedy uważać, żeby nie wpaść w nie, tak jak wpaść w historię Rzymu.

## Rzym chrześcijański



Kiedyś do Rzymu przybywali pielgrzymi. To dla nich zbudowano setki większych i mniejszych kościołów – żeby mieli gdzie się modlić i zostawić pieniądze. Niektóre są tak wspaniałe, że dech zapiera. Więcej wiary można jednak znaleźć w tych starych, przede wszystkim romańskich – szczególnie wtedy, gdy zachowały dawny charakter. Santa Maria in Cosmedin przyciąga znajdującymi się obok „ustami prawdy”, a mało kto wie, jaki to uroczy stary kościół. Do tego San Stefano in Rotondo, Santa Saba i wiele innych. Ich autentyzm, zazwyczaj niewielkie rozmiary, spłowiałe pozostałości fresków, czasem mozaik, mroczne światło sprawiają, że można się w nich skupić. Zazwyczaj są też puste.

Dzisiaj jednak do Rzymu przyjeżdżają głównie turyści. Mrowią się wszędzie, a więc są także oczywiście w niektórych kościołach. Zdarza się, że w jakimś kościele bywa kilku wiernych (zazwyczaj starsze kobiety) oraz setki turystów. Bo też niektóre kościoły to prawdziwe arcydzieła sztuki. I przepychu.

I jeszcze jedno: w Rzymie spotkać można wielu ciemnoskórych księży, podobnie jak wiele ciemnoskórych sióstr zakonnych. Wygląda na to, że dzisiaj przybywają oni nawracać niewiernych białych, tak jak ci kiedyś nawracali na chrześcijaństwo ich przodków.



W Rzymie, jak w mało którym mieście, jest wiele miejsc mitycznych. Zmitologizowała je ich niezwykłość, wielkość ich twórców, otoczenie, historia, literatura i film. Dobrze jest mieć to szczęście, żeby nie tylko zobaczyć je przez chwilę w przelotnym spojrzeniu. Miejsca te wymagają kontemplacji i powrotów. Wymagają kultu. Ten, na szczęście, nie zawsze wymaga pozycji na klęczkach.

Mitycznych miejsc w Rzymie można odnaleźć bardzo wiele. Można więc spacerować tropem rzymskich fontann – a jest ich bez liku. Także tych wspaniałych. Można odnajdywać pałace renesansowe (zresztą nie trzeba ich odnajdywać – same będą wpadały w oczy: Doria Pamphilij, Farnese, Spada, Borghese czy Barberini). Można kroczyć tropem dzieł Michała Anioła czy Berniniego (są znane, więc łatwo je odszukać). Można poszukiwać obrazów Caravaggia (to już wymaga wysiłku, by wszystkie je znaleźć). I jeszcze bramy miejskie w dawnym murze Aureliana. I jeszcze romańskie kościoły. I Trastevere. I...

Rzym mityczny nie ma kresu. Bo jest to też Rzym magiczny. A magia czyni cuda. Pozwala także na odnajdowanie niezwykłych miejsc, jak królików w cylindrze magika. Nie wiadomo tylko, kto tu jest tym magikiem: ta ziemia czy te dzieje?

## Toskania

Łagodne wzgórza. Zielone cyprysy i winnice. Urocze wille i wspaniałe miasta. Pogodne niebo. Ot, arkadia. Już nie słyhać szcżęku broni sprzed wieków, nie widać przechodzących armii i żądnych łupów kondotierów. Teraz mieszkają tu bogaci rentierzy szukający spokoju. Czasem zakłócają go jedynie turyści.

Jaka tajemnica tkwi w tej ziemi, na której zgromadzonych jest więcej wspaniałych budowli, dzieł sztuki i uśmichów niż w pozostałej reszcie świata? Jaki pakt z bogami wielu religii został tu zawarty? Dlaczego właśnie tu kusząca przyroda i dorodna sztuka umówiły się na długie rendez-vous?

Na te pytania nie ma oczywiście odpowiedzi. Podróżując po toskańskiej ziemi, spacerując po toskańskich miastach, można jedynie stwierdzić, że dobrze się stało, iż to wszystko właśnie jest tu. I że my też tu teraz jesteśmy.



Jeżeli ktoś uprze się, że chce zobaczyć tylko jedno jedyne miasto na świecie, to niech wybierze Florencję. I tak nie starczy życia, by dokładniej przyjrzeć się wszystkim jej pałacom, kościołom, muzeom, rzeźbom, obrazom, placom, ogrodom. Większość można tylko obmieść wzrokiem. Można zdobyć się na setki wzruszeń, a tysiące innych przepadnie. Można zgromadzić kolekcję zachwyty, które i tak będą jedynie wypłowiałymi cieniami możliwości.

Lepiej więc Florencji nie studiować, nie biegać z otwartym przewodnikiem po jej ulicach ani nie chodzić po muzeach z katalogami w ręce. Lepiej zdać się na Florencję taką, jaką sama chce się nam pokazać. Krążyć wokół jej placów, błędzić po zaułkach, sunąć po salach muzealnych, spacerować po mostach i wzdłuż Arno. W każdej chwili Florencja coś pokaże, sama na coś zwróci naszą uwagę. I nie należy się martwić, że nie zobaczymy wszystkiego – nawet jeżeli będą to arcydzieła.

A gdy już zmęczeni wrażeniami poddamy się, przysiądźmy sobie gdzieś z boku (na przykład na schodach pod arkadami pięknego Piazza Della Santissima Anunziata). Bez hałasu, bez tłoku, bez turystów. Sam na sam z Florencją.

## Fiesole



Można tu przyjechać, by oglądać pozostałości etruskiego muru obronnego. Wielkie głazy ciągle imponują, imponuje też czas, który upłynął od ich ułożenia. W miejscowym muzeum można obejrzeć więcej pozostałości etruskiej kultury – zresztą tak, jak w innych lokalnych muzeach całej Toskanii.

Można przyjechać do Fiesole, żeby zwiedzić mały romański kościół (jeżeli jest niedziela, to można nawet przed wejściem porozmawiać z proboszczem, który osobiście wita nielicznych tu wiernych).

Można przyjechać do tego miasteczka, żeby powłóczyć się po jego uliczkach i pomarzyć o tym, jak dobrze byłoby tu zamieszkać w pobliżu Florencji.

Spacerując po Fiesole najlepiej jednak dotrzeć na wzniesienie i taras widokowy, z którego znakomicie widać położoną w dole całą Florencję. Wszak rzadka to okazja, aby mieć to miasto u swych stóp.



Po tym mieście można krążyć. Po tym mieście chce się krążyć. Najpierw po pięknych wałach obronnych, które już niczego nie bronią. Przeciwnie – są widownią, z której oglądamy miasto ze wszystkich stron.

Potem można krążyć po uliczkach Lukki. Od przepięknej, jedynej chyba we Włoszech asymetrycznej katedry ze św. Marcinem oddającym płaszcz ubogim, po kościół św. Frediano z niezwykłą romańską chrzcielnicą i mozaiką na frontonie; od miejsca, w którym mieszkał Giacomo Puccini do średniowiecznej wieży, na której szczycie wyrasta wielki dąb skalny.

Tak krążąc, docieramy do owalnego Piazza del Mercato – zbudowanego na obszarze dawnego rzymskiego obozu. Tu możemy bez przeszkód krążyć wokół tego placu rozkoszując się żółtym jego obramowaniem – kamieniczkami, które są różnej szerokości i wysokości. Powstawały bez żadnego planu, a wydają się, podobnie jak cały plac, perłą architektury.

Tylko niedobrze przysiądać przy tym przepięknym placu, żeby wypić filiżankę kawy czy kieliszek wina. W pewnej chwili, gdy zaczyna się odczuwać błogość, trzeba jednak wstać i wyjść z Piazza del Mercato przez którąś z półokrągłych bram. Odnosi się wrażenie, że znacznie trudniej się przez nie wychodzi, niż wchodziło.

## Pistoia



Gdy podróżny ogląda to miasto przejazdem – w drodze z Lukki do Florencji – Pistoia może odebrać to jako lekceważenie i powita go deszczem. (Jak widać, czasem deszcz pada nawet w Toskanii, i to w maju.)

Ale i w deszczu, na dodatek pod wieczór, Pistoia też odsłoni kilka swoich cudowności. Katedra di San Zeno z niezwyklej urody dzwonnica i baptysterium, Ospedale del Ceppo z rzeźbami Della Robii, średniowieczna studnia z piękną arką.

Nie, nie należy lekceważyć żadnego miasta ani miasteczka w Toskanii. Niemal każde zaskoczy nas czymś, o czym nie przeczytamy w przewodnikach. Zaskoczy nas czymś, czego się nie spodziewaliśmy i czego nie przewidywaliśmy w swych marzeniach o zobaczeniu tej krainy. Tak, Toskania to dobra kraina dla uprawy cyprysów i marzeń. Także i tych marzeń, które rodzą się w przejazdach. A może przyjazdach?



Miasto w kolorze swej nazwy. Miasto w środku Toskanii. Miasto, które długo konkurowało z Florencją, i które do dziś nie chce być jej brzydszą kuzynką.

Wędruje się uliczkami, z których żadna nie chce być prosta i równoległa do innej. Przechodzi się zaułkami, które obiecują tajemnicę i dotrzymują tej obietnicy. Siada się przy skwerach i placach, które urodziły się w starożytności, a szlachetność uzyskały w średniowieczu. Dotyka się starych murów miejskich i przechodzi się przez bramy, którymi przechodzili książęta i artyści. Wpatruje się w ceglane ściany, których surowe piękno kryje we wnętrzach historię i estetykę.

Krótką, choć nieco poplątana droga z Piazza di Campo do Piazza Duomo, mimo że kiedyś miała być szlakiem nawróceń, teraz staje się trasą nieustannych zawróceń. Który plac jest piękniejszy? Na którym zatrzymać się dłużej? Tu niezwykle ratusz, a tu niezwykle katedra, której budowy nie ukończono. Teraz mało w nich władzy i mało religii.

Każdy spacer uliczkami Sieny, każdy z oglądanych placów, każda budowla i każda brama, każda dotknięta woda w fontannie, każdy widziany dach, niosą pokusę zabrania ich ze sobą. I to się udaje, choć na szczęście Siena pozostanie na miejscu.

## Monteriggioni



Miasteczko jak wieś. Wieś jak forteca. Forteca jak teatrzyk.

Okrąg kamiennych murów na niewielkim wzgórzu i kilka kamiennych baszt. W środku kilkanaście kamiennych budynków, kilka uliczek i placyk z kamiennym romańskim kościołkiem (z tych, w których można znaleźć Boga) i ze starą studnią. I jeszcze niewielki stary sad, dwie kawiarenki i dwa sklepiki. Oto Monteriggioni.

Można by pomyśleć, że ktoś zbudował tu dekorację do jakiegoś spektaklu dla dzieci. A tymczasem Monteriggioni istnieje sobie od wieków. Teraz istnieje też dla nielicznych turystów, którzy nie bardzo wiedząc, co tu dłużej robić, szybko stąd wyjeżdżają. A przecież można sobie usiąść w którejś z nieuczęszczanych bram i mając za sobą kamienne mury miasteczka patrzeć ze wzniesienia na tokański pejzaż. Jego panorama nie ma tu ograniczeń – tego, co się zobaczy, wystarczy na lata. To nic, że gdy dzień zacznie się ścigać z naszym niedowierzaniem, ciemny pejzaż stanie się swą ideą. Na najbliższą noc.



Mówią na San Gimignano „toskański Manhattan”, a winni mówić na Manhattan „nowojorskie San Gimignano”. San Gimignano ma swe wieże od stuleci, Nowy Jork od kilkudziesięciu lat. San Gimignano znane jest wybranym, Nowy Jork wszystkim. San Gimignano podoba się wszystkim, Manhattan niektórym.

Kilkanaście wyniosłych kamiennych wież bez okien dziś niczego nie strzeże. Kiedyś były popisem konkurujących ze sobą patrycjuszowskich rodów. Dziś są popisem kultury, tak jak całe miasto, w którym pozostały nietknięte kamieniczki i uliczki, mury i bramy miejskie. I niezwykły trójkątny rynek z nieczynną studnią pochodzącą z XIII wieku, której stopnie oblegają zmęczeni podróżni – kiedyś pielgrzymi, teraz turyści.

Trzeba też wejść do dwunastowiecznej kolegiaty, żeby zobaczyć bajeczny świat fresków (a pośród nich Ghirlandaia), posłuchać na dziedzińcu koncertu na harfie. Potem można pójść za miasto drogą wzdłuż murów i usiąść sobie na tokańskiej ziemi. Przed nami będą rosły oliwki, a nieco dalej cyprysy i winnice, przy nas wiosenne łąki i kwiaty.

A przecież i stąd trzeba wyjechać. I tylko później w domu poczytać sobie *Annę Grazzi* Jarosława Iwaszkiewicza, gdzie to miasto opisane jest pod inną nazwą.

## Colle di Val d'Elsa



Niby nic – ot, takie sobie miasteczko tokańskie nieobecne w przewodnikach, nieznanie. Przypadek sprawił, że tu się znaleźliśmy.

Najpierw, z rana znaleźliśmy się na miejskim targowisku. Targ jak targ, tylko ciekawe było zobaczyć ludzi, którzy tam się poschodzili jedynie po to, żeby spotkać znajomych, porozmawiać. Grupki starszych mężczyzn i kobiet, dla których te spotkania i rozmowy wydawały się najważniejszym wydarzeniem na świecie. I pewnie takie były. Po dwóch, trzech godzinach targowisko opustoszało. Zbliżało się południe i zaległa cisza.

Colle di Val d'Elsa zbudowane jest na dwu poziomach – dość często spotyka się to w miastach Toskanii. Na górny poziom dawnego miasta zbudowanego na skale wjeżdża się windą. Wtedy znajdziemy się pośród uliczek średniowiecznych, które wszystkie zbiegają się na osi głównej ulicy biegnącej grzbietem skały – tak jak w wielu tokańskich miastach. Przy ulicy wiele renesansowych pałaców i fontann, rzeźb i bram. I piękny most przed imponującymi murami strzegącymi miasta. I cienie minionych dziejów, które dostrzec można w każdym fragmencie murów. Ich faktura jest już niema, choć gdy skupimy się, słyszymy jakby niewyraźny szept. Ale to tylko szept południowej ciszy w tokańskim miasteczku.



Volterra jest dość odległa i nieco samotna. Przez to jakby trochę nierealna.

To niewielkie miasto wabi wieloma atrakcjami. Najpierw dojeżdża się tu krętą i dość wyniosłą jak na Toskanię drogą z setkami wspaniałych widoków. Potem ogląda się jeszcze bardziej wyniosłe skaliste wzniesienie, na którym zbudowana jest Volterra. Następnie ogląda się centralnie usytuowane Piazza dei Priori z imponującym Palazzo Priori z początku XIII wieku, potem katedrę, której budowę rozpoczęto także w XIII wieku, później jedną z dawnych bram miejskich, w której tkwi wiele wielkich kamieni z czasów etruskich, następnie pozostałości rzymskie, dalej dziesiątki renesansowych pałaców, następnie..., następnie..., następnie... Brakuje tchu i czasu, by wszystko tu zobaczyć. A jeszcze wyroby z alabastru, w czym wyspecjalizowała się dzisiejsza Volterra. A jeszcze muzea. A jeszcze...

Niestety, zbliża się wieczór i pora wyjeżdżać. Samotna Volterra jednak lubi chyba swą samotność i niedostępność.

## Montepulciano



Każde tokańskie miasteczko najlepiej oglądać w słońcu, bo choć nie zostały one stworzone dla słońca, to jednak słońce lubi je pieścić. I tak jest w Montepulciano.

Do miasta można dojść pieszo z Pienzy. Jednak nie prowadzi tam malownicza polna droga przez łagodne doliny. Droga jest asfaltowa, więc lepiej dojechać autobusem. Doliny są niezmiernie piękne i malownicze, tyle że z autobusu krócej się je ogląda. Za to szybciej dociera do Montepulciano.

To jest bajeczne średniowieczne miasto ze znakomicie zachowanymi murami i bramami, licznymi starymi kościołami, z zaułkami, pałacami i placami. Tu i ówdzie w bocznych skośnych uliczkach przeświecają szczeliny, przez które w wąskich pionowych kadrach widać odległe świetliste pola i winnice. Niewielu turystów. Niewielu też mieszkańców, którzy pewnie za zamkniętymi okiennicami przesypiają „upał w upale” (ot, Leśmian zagościł teraz na chwilę w dalekim tokańskim miasteczku).

Każda uliczka korci, każdy zaułek zaprasza. Także winiarnia prowadząca do głębo- kich podziemi. Kupione w jakimś sklepiku wino z Montepulciano najlepiej wypić właśnie w Montepulciano. Skwerek, przy którym można je wypić potem odwiedza się w snach.



Podobno miasto to przoduje w handlu wyrobami ze złota. Nie widzi się tu jednak wielu sklepów jubilerskich, natomiast trafia się na gigantyczne targowisko staroci. Całe miasto, każdy plac, ulica i zaułek zajęte są wtedy przez stare meble, obrazy, bibeloty. Trudno więc się dziwić, że i niektóre pokoje w hotelach urządzone bywają pięknymi antykami.

Mimo zniszczeń wojennych w Arezzo jest wiele pereł: katedra, liczne małe kościoły – w tym śliczny romański San Domenico. Najbardziej zaskakuje San Francesco z niezwykłymi freskami Piera della Francesca oraz wciśnięty pomiędzy wąskie uliczki imponujący Pieve di Santa Maria z cudowną kolumnadą na fasadzie i z tyłu – w absydzie (kto wie, dlaczego jedna z kolumn jest tam koślawą?). Rynek w Arezzo też mógłby konkurować z wieloma innymi tokańskimi miasteczkami. A na dodatek ma piękną budowlę zaprojektowaną przez Vasarięgo, który długo w tym mieście mieszkał.

Przez to złoto wspomniane na początku można by mieć złe skojarzenia z Arezzo. Na szczęście, gdy zaświeci słońce, złote są tu przede wszystkim odcienie wielu budowli.

## Cortona



Zadziwiająca jest, że wszystkie miasteczka w Toskanii są jakoś podobne do siebie, a jednocześnie wyraźnie się różnią. Wszystkie położone są na wzniesieniach, wszystkie mają sporo antycznych pozostałości, nadto wiele zachowanych starych murów miejskich i bram; wszystkie mają utrwalony średniowieczny układ ulic z renesansowymi ingrediencjami, wszystkie mają wiele pięknych romańskich kościołów i wszystkie mają urocze rynki z bajecznymi ratuszami i ich wielkimi schodami. A jednocześnie kompozycja tego wszystkiego, miejscowy układ ulic oraz charakter kościołów i ratuszów jest zawsze odmienny.

Na czym więc polega osobliwość Cortony? Na szczegółach, które zaferował czas tu spędzony – szczegółach, które z tych przestrzeni wydobyły się, by powitać i dobrze przyjąć przyjeźdnego. Kamienny taras, z którego widać toskańskie wzgórza i doliny oraz dalekie Jezioro Trazymeńskie; ławka na rynku, z której cały jego spektakl można było w nieskończoność obserwować; dwie starsze nobliwe panie, które z pomocą trzeciej – młodszej – długo wybierały odpowiednie wino do obiadu. I jeszcze wiele przedmiotów, spojrzeń i zachwyków, które trzeba jednak zostawić w Cortonie.



Nie powinno się pisać o L., bo chciałoby się zachować je dla siebie. Dlatego należy je ukryć w inicjale, zamaskować i odstręczyć innym podróżnym.

Do L. dociera się z trudem. Stacja kolejowa jest dalej położona niż można się spodziewać, droga bardziej kręta, a miasteczko położone wyżej, niż wynikało to z mapy. Na szczęście kierowca przypadkowego autobusu szkolnego może okazać się bardzo życzliwy.

Teraz powinno być wszystko przekornie opisane na wspak. O tym, jakie to miasto brzydkie, zaniedbane, zatłoczone; jacy nieuprzejmi są jego mieszkańcy i jacy nieprzychylni wobec przyjezdnych. Powinno, ale nie może. Więc lepiej nic nie napisać o jego urodzie, ciszy i niezwykłości. Przecież jakoś nieswojo pisać o „swoim” miasteczku.

## Monte San Savino



Co można zrobić, gdy patrzy się na to miasteczko tokańskie, choć widziało się już wiele innych? Można z uznaniem stwierdzić, że jego średniowieczne wieże są też imponujące, że renesansowe pałace nie ustępują innym, a fontanny są także pomysłowe. Monte San Savino jest – jak wskazuje nazwa – na górze. I to także nie jest osobliwością.

Tutaj jednak lepiej nie wchodzić w boczne uliczki, nie spacerować po zakamarkach, nie odnajdywać kolejnych kościółków i bram. Tutaj należy przyglądać się fakturom dachów i murów, wieżyczek i schodów. Już tyle ich widziało się w tutejszych miastach, a jednak wydaje się, że trzeba się jeszcze nimi nasycić. Trzeba przeniknąć każdy ich szczegół. Siada się więc na jakimś murku i fragment po fragmencie zabiera je ze sobą. Ma się nadzieję, że kiedyś, w domu złoży z nich całość. Jeszcze ma się nadzieję, że będzie ona tym, co teraz się widzi.



Tego miasta można by wcale nie odwiedzać. Przecież nie ma tu niczego nadzwyczajnego – ot, zwykle i przeciętne tokańskie miasteczko. Na tej ziemi jednak wszystko jest niezwykle i nieprzeciętne. Spacerując po Bibiennie natychmiast to czujemy.

Jest południe, nikt z miejscowych nie kręci się po mieście – może tylko jakieś dzieci, które nie mogą usiedzieć w domu. Jesteśmy sami, więc wypożyczamy sobie Bibiennę dla samych siebie. Dobrze jest mieć choćby na krótko własne miasto.

Otwarty mały średniowieczny kościółek z fragmentami starych fresków i z rzeźbami, które mogłyby być ozdobą niejednego muzeum, zaprasza nie bojąc się niczego. Jakieś sennie patio, na którym od zawsze stoją sobie dostojne amfory. Schody, pełne zeschniętych liści, po których już od lat nikt nie wchodził (może trochę się obraziły, zarosły mchem). I pusty dziedziniec-taras, gdzie można spokojnie patrzeć na rozległe pola i na wzgórza za nami, i na placyk przed nami (a tam jest między innymi dom, w którym przed wiekami urzędował, jako miejscowy podesta, ojciec Michała Anioła Buonarottiego).

Po kilku godzinach z domów zaczynają wychodzić mieszkańcy. Trzeba więc oddać im ich miasto.

## Sanselporco



Do Sanselporco przyjeżdża się w zasadzie w jednym celu: zobaczyć fresk Piera della Francesca *Zmartwychwstanie* znajdujący się w dawnym Palazzo Pretorio, a obecnie Museo Civico. A że taki zamysł bywa nagradzany, można jeszcze obejrzeć *Madonnę Miłosierdzia (Misericordia)* – także wspaniałą poliptyk della Francesca. W muzeum są jeszcze jakieś inne obrazy innych malarzy, lecz ogląda się je raczej, a właściwie zerka na nie z kurtuazji. Natomiast przed *Zmartwychwstaniem* i *Madonną Miłosierdzia* przesiaduje się długo i po wielokroć przechodzi się od jednego do drugiego. Kto oglądał obrazy della Francesca „na żywo”, a jest ich niewiele, ten wie, dlaczego Aldous Huxley nazwał kiedyś *Zmartwychwstanie* „najwspanialszym obrazem świata”. Wtórował mu Zbigniew Herbert i inni.

Poza tym Sanselporco jest przeciętnym miasteczkiem tokańskim już blisko Umbrii (jeżeli jakiegokolwiek miasteczko w Toskanii może być uznane za przeciętne). Kilka średniowiecznych kościołów, renesansowych pałaców, skromne fragmenty nieskromnych średniowiecznych murów, kilka pozostałości średniowiecznych wież, spokój cichych, nawet trochę sennych, jasnych uliczek. I jeszcze dom, który uchodzi za były dom Piera della Francesca. Poza tym niewielu pojedynczych turystów, którzy przyjeżdżają tu dla niego.



Trzeba mieć odwagę, aby próbować opisać Pizę. W miastach tokańskich jest wiele cudów, jednak to, co znajduje się na pizańskim placu cudów – Campo di Miracoli – jest najbardziej cudowne. Katedra i bazylika, Campo Santo i krzywa wieża. Tylekroć oglądane i fotografowane, a przecież ciągle robiące niezwykle wrażenie. Mieszane wrażenie, bo zachwyt miesza się tu z jakimś poczuciem własnej znikomości. To wszystko wykonali ludzie? Przecież to niemożliwe! Południowe słońce podkreśla alabastrową jasność tych budowli, które tym bardziej wydają się niezemskie.

A przecież w Pizie jest też wiele innych wspaniałości, tyle że już rzadko odwiedzanych przez turystów. Czasem dobrze zostawić na chwilę Campo di Miracoli i zobaczyć też inne miejsca i obiekty. Także piękne, ale jakby bardziej ludzkie (jak choćby miniaturowy kościółek Santa Maria Della Spina nad brzegiem Arno).

Trzeba jednak mieć odwagę, aby opisać Pizę. A może lepiej jej nie mieć, za to dobrze ją zapamiętać? Tak często wszak zapominamy, że dobra bogini Mnemosyne rozdaje za darmo także najpiękniejsze miasta.

## **Umbria**

Położona w głębi Włoch, lecz równie piękna jak Toskania. Nie dotyka morza, a jest bardzo zielona. Ta malownicza ziemia zdaje się być wyniosła i dumna, czasem skalista, lecz zabytki i ludzie zawsze wspaniali i skromni. Jakoś tu spokojnie i przytulnie. Umbrii się nie zwiedza – w Umbrii się jest.



Gdy wyjdzie się w słoneczny poranek, powitają nas głosy budzącego się miasta: ktoś przywozi napoje do baru, ktoś zmywa terakotowy próg sklepu, prawie każdy przechodzień wita radośnie znajomego. Perugia otwiera się też wtedy dla przybysza.

Gdy poznaje się to miasto, na początku spaceruje się od Piazza Italia poprzez Piazza della Republica do Piazza IV Novembre – cały czas Corso Vanuci (po naszymu Perugino, znanemu nie tylko dlatego, że jego uczniem był Rafael). Po drodze kuszą różne zaułki, ale póki co nie ulegamy im. Docieramy do imponującego Palazzo Priori, zaraz też pięknej trzynastowiecznej Fontanny Maggiore zaprojektowanej przez Pisano i katedry San Lorenzo. Szybko to oglądamy, po czym rozsiadamy się – pośród wielu innych, najczęściej młodych perugian – na wielkiej galerii stopni przy katedrze. Przed sobą mamy cały spektakl Piazza IV Novembre, Corso Vanuci, a gdy się nieco wychylimy także Piazza Dante. Potem zwiedzamy ogromną etruską cysternę, także etruską bramę, kościoły mniejsze (jak Santa Aghata) i duże (jak San Domenico). I wracamy na stopnie katedry.

Wyjeżdżając będziemy się zastanawiać, czy był choć jeden taki dzień w przeciągu ostatnich siedmuset lat, gdy ktoś nie siedział wieczorem na stopniach tej katedry.

## Asyż



Jeżeli ktoś myśli, że w Asyżu się pomodli (oczywiście, gdyby miał taki zamiar), to grubo się pomyli. Tak, znajdzie tu wizerunki św. Franciszka na każdym miejscu: w wielu sklepach z dewocjonaliami są tysiące obrazków, kubków, a nawet napastrków. Hotele noszą jego imię, podobnie jak tawerny.

Piękne średniowieczne kamienne miasteczko z krętymi uliczkami jest znakomicie zachowane. Kolumnada dawnej rzymskiej świątyni Minerwy stanowi fronton obecnego kościoła. Piękne stare bramy miejskie zapraszają wszystkich, a przy tym uczą dostojęstwa. Liczne kościoły – choćby św. Rufina, św. Klary i oczywiście bazylika św. Franciszka – przykuwają uwagę podróżnych. Tak dolny, jak i górny kościół św. Franciszka zawiera całą encyklopedię sztuki fresków.

Jeżeli po obejrzeniu tego wszystkiego usiądzie się przy głównym placu miejskim obok starej fontanny, dwóch ulicznych grajków może rozbudzić spór. Oto z jednej strony niemiecki fletnista grający Vivaldiego, a nieco dalej romski akordeonista prezentujący wiedeńskie walce. Gdy ta dysharmonia zaczyna męczyć, powoli trzeba myśleć o wyjeździe z Asyżu. Na pamiątkę zabierze się ze sobą piękny kawałek średniowiecza.



Natychmiast po przyjeździe koleją do tego miasta unosi nas ono – niemal dosłownie – do nieba. To tutejsze *funiculare* przewozi chętnych do góry, do centrum starego średniowiecznego miasta. Gdy się już trochę pokręcimy po jego starych uliczkach, gdy się zmęczymy fotografowaniem zaułków, gdy te podprowadzą nas pod jedną z największych i najpiękniejszych katedr średniowiecznych, wtedy naprawdę sami uniesiemy się do nieba.

Potem jeszcze można obejrzeć śliczne romańskie kościółki San Andrea i San Lorenzo De Arari, spojrzeć na kilka wież (w tym Torre de Maurizio), także poszwendać się jeszcze po krętych uliczkach. Trzeba też koniecznie znaleźć te miejsca w scenografii miasta, w których da się zobaczyć wyniosłe skarpy płaskowyżu, na którym zostało ono zbudowane, i z którego jakby wyrasta. Momentami nie wiadomo, gdzie kończy się skała, a zaczyna miasto. Można wtedy spojrzeć w rozległą przestrzeń, gdzie pobliskie doliny i odległe wzgórza, wille, czasem jakieś zamki i cyprysy, plantacje winogron, przypominają o ziemi.

I ponownie wrócić przed Duomo. Teraz potrzebnych byłoby kilka lat, by poznać każdy detal fasady. Albo wręcz kilkaset (może tyle, ile trwała jej budowa – czyli ponad trzysta lat). A podróżny ma jeszcze tylko kilka godzin do odjazdu pociągu.

## Gubbio



Gdy jedzie się do Gubbio – na przykład z Perugia – malowniczą, wijącą się drogą, gdy ogląda się położone na zboczach wille, a czasem niewielkie zamki, gdy światło słoneczne podkreśla każdy detal, może nie wie się jeszcze, że wjeżdża się do najbardziej średniowiecznego ze średniowiecznych miast włoskich.

W Gubbio są jakieś pozostałości etruskie. W Gubbio jest niewielki amfiteatr rzymski (sąsiadujący z nader współczesnym placem zabaw dla dzieci). W Gubbio jest jednak przede wszystkim Gubbio – czyli znakomicie zachowane miasto średniowieczne, w którym nie brakuje żadnej kamieniczki, żadnego domu, a jednocześnie niczego nie jest za dużo.

Gdy patrzy się z dołu – na przykład od strony kościoła San Francesco czy od kościoła lub Piazza San Giovanni – miasto prezentuje się jak rozłożona na stoku wzgórza dekoracja, którą zwieńcza imponujący Palazzo dei Consoli i Piazza Grande wsparte na gigantycznych przyporach. Już one same tworzą architektoniczne cuda, po obejrzeniu których niemal z obowiązku oglądamy położone wyżej Palazzo Ducale i katedrę. Kręcimy się jeszcze po uliczkach Gubbio, by jeszcze raz – z dołu – obejrzyć tę kunsztowną dekorację górskiego zbocza. Wyniosły Palazzo Consoli będzie długo widziany z każdego zakątka miasta.



Nie wiadomo, czy było kiedyś bogate. Nie ma w nim wielu pałaców, nie ma dumnego ratusza ani imponujących placów. Jest za to wiele wąskich uliczek i niewielkich zaułków. Jest rzymski amfiteatr i cudowny czternastowieczny akwedukt (Ponte Della Torri) oraz urocza katedra. Może miasto stworzyło te piękne obiekty i potem przygasło? Zresztą i te kościoły jakoś w późniejszych wiekach przygasły. Tak, jakby historia na kilka ostatnich wieków zapomniała o Spoleto, które stało się skromne, biedne, trochę zaniedbane.

Teraz miasto w tej skromności odnajduje swą urodę. Oczyszcza się i odświeża, a liczne imprezy i festiwale artystyczne stały się jego nową religią.

Chodzi się więc po skromnym Spoleto i odnajduje jego niezwykle perły. I nie wie się, czy jest to miasto zwykłe, czy też właśnie niezwykle. A czy jakieś miasto może tu być zwykłe?

Dobrze jest miewać takie problemy. Potem ponownie można podejść jeszcze raz do akweduktu, by upewnić się, że istnieje on naprawdę. I uwierzyć, że zrobili go jednak ludzie, a nie giganci. I jeszcze – niezależnie od tego, czy wierzy się w Boga, w los czy w kulturę – można odszukać na obrzeżach kościół San Salvatore z IV-V wieku. W coś trzeba jednak wierzyć, by uwierzyć, że takie dawne surowe i piękne wnętrza świątyni udało się zobaczyć.

## Nursja



Nursja jest szczęśliwym miastem. I to nie tylko dlatego, że ma drugie imię: Norcia. Jest szczęśliwa, bo ludzie są tu szczęśliwi. Chodzą powoli, długo i często ze sobą rozmawiają i uśmiechają się do siebie. Policja i straż miejska są tu bezrobotne, podobnie jak sądy.

Całe miasto jest pogodne. Pogodne są kościoły i domy, pogodne ich ściany i drzwi, ulice i zaułki. Wszystkie są niewielkie i pastelowe. Wszystkie uliczki są dość płaskie – jak na miasto położone w górach. Wszystkie budowle sprawiają wrażenie lekkości. A podobno ich ściany są grube i solidne, gdyż musiały opierać się licznym trzęsieniom ziemi, które kiedyś nawiedzały Nursję. Ale tego nie widać – teraz miasto jest spokojne.

Może Nursja nauczyła się tego wszystkiego od najbardziej znanego jej obywatela – św. Benedykta, który urodził się tu w V wieku. O modlitwie wszyscy wtedy wiedzieli, o pracy jako drodze do Boga usłyszeli właśnie od Benedykta.

Jeżeli chce się dobrze spędzić starość, można tu zamieszkać. I nigdzie się nie spieszyć. Choćby dlatego, by na głównym placu miejskim często i długo rozmawiać z przyjaciółmi.

Trzeba też wspomnieć, że koniczynka zerwana na skwerze niedaleko Porta Romania, będzie pachniała tak, jak pachnie ta roślina u nas.



Wydawałoby się, że po zwiedzeniu wielu miast i miasteczek tokańskich czy umbryjskich nic nie zwróci już naszej uwagi. A tymczasem można odkrywać ciągle następne i następne, jakby jakiś dobry czarnoksiężnik wyjmował je ze swego czarodziejskiego kapelusza i rozkładał tu i ówdzie na skałach, na grzbietach gór, rzadziej w dolinach.

I oto jest Todi. Niemal całe zamknięte w pierścieniu średniowiecznych murów obronnych z bramami, które prowadziły w świat lub świat sprowadzały do Todi.

Z każdej bramy dojdzie się do Piazza del Popolo. Tam jest też wszystko, co najważniejsze w mieście: katedra (zbudowana w XIII wieku na ruinach antycznej świątyni Apolla), Palazzo dei Priori oraz Palazzo Capitano del Popolo (także z XIII wieku) – a wszystko zgodne ze sobą. I do każdej z tych budowli wysokie schody, które same w sobie są ważnym elementem architektury placu. I zakłęta w kamieniu metafizyką wchodzenia oraz schodzenia.

Plac łączy ciepło i dostojność – chce się tu wracać po obejrzeniu zaułków, w których także toczyła się długa historia miasta. Gdy w jakimś prześwicie między zabudowaniami dojrzy się piękny pejzaż umbryjski, przestanie się myśleć o historii, bowiem ta chwila terażniejszości będzie mogła zastąpić całe długie dzieje.

## **Lombardia i Emilia-Romania**

Północne Włochy, uchodzące za bardziej dostatnie od regionów południowych, nie są wcale w zamian uboższe w zabytki i dzieła sztuki. Jest tu wiele wspaniałych miast i miasteczek z bogatą historią, która łaskawie pozostawiła swoje ślady. Zamożność tych regionów nie odebrała im też ani mityczności, ani czaru: tutaj, podobnie, jak w innych włoskich regionach, podróżny znajdzie wiele miejsc niezwykłych i wiele momentów uniesień, które może nie zawsze przyjdzie mu łatwo wyrazić, ale które i tak odwzajemnią mu się swoim oddaniem.



Mediolan ma też swoją historię zakłęta we wspaniałych budowlach i swoje metafory.

Gdy pada deszcz, piękna biała katedra wydaje się smutna. Jest to jednak tylko kokieteria pięknej kobiety. W następane dni świeci słońce i ona w pełni jaśnieje.

Tak więc nie należy oglądać jej podczas deszczu. Trzeba wtedy pójść do Santa Maria delle Grazie – może uda się wejść do starego refektarza i zobaczyć *Ostatnią Wieczerzę* Leonarda da Vinci. Może uda się dowiedzieć, kto trzyma ten tajemniczy nóż za postacią Judasza. Nikt już chyba tego się nie dowie, bo pewnie i sam artysta tego nie wiedział. Jak i tego, skąd takie niebiańskie światło tchnie z malowidła. Potem jeszcze w Galerii Brera można zobaczyć *Wieczerzę w Emaus* Caravaggia. Gdy to będzie za mało, należy pójść do Sforzesco zobaczyć *Pietę Rondanini* – jedno z ostatnich dzieł Michała Anioła. Gdy starczy sił i wyobraźni, można próbować porównać ją z tą wczesną – z Bazyliki św. Piotra w Rzymie.

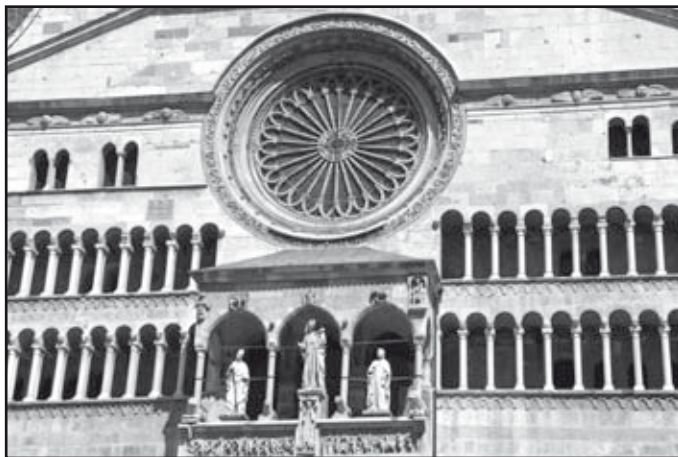
Podobno Mediolan to miasto pięknych modelek. Jednak nieraz przez kilka dni nie widzi się żadnej. I tylko przez ułamek sekundy, już podczas ostatniej jazdy metrem, może mignąć postać, która pewnie nie jest żywą kobietą, lecz też musi być dziełem sztuki. Jakiego artysty? I jaki artysta stworzył ten ułamek sekundy?

## Piacenza



Mało kto przyjeżdża do Piacenzy. Ot, skromna katedra na tle innych włoskich duomo. Campanilla też nie bije rekordów wysokości. A przecież miasto jest urocze – jest tu wiele pięknych zaułków i placów. Pałace renesansowe stoją w kolejce do naszego uznania. Miasto chce się jednak zaprezentować dwoma wielkimi posągami kondotierów. Stoją sobie na Piazza Cavallieri i pyszną się swym barokowym rozmachem. Hippyiczny zawrót głowy nie przeszkodzi jednak też zobaczyć wielu bocznych uliczek i romańskich kościołów.

I zobaczyć wiosnę, która próbuje zagościć we włoskim miasteczku. Nie wiadomo, czy mieszkańcy ją dostrzegają, czy tylko odczuwają. Drzew i krzewów tu niewiele, jednak wystarczają, by zobaczyć ich wiosenną ciekawość. I ciekawość mieszkańców, którzy przedpołudniową kawę piją już na dworze – jakby chcieli tę wiosnę powitać, choć wiadomo, że bardziej chcą przywitać przyjaciół.



To tu przed wiekami rody lutnicze wytwarzały arcydzieła dźwięku. Do dzisiaj nawet same nazwiska: Amati, Guarneri i Stradivari brzmią magicznie. A ich skrzypce, nawet gdy drzemią w pokrowcach lub w gablotach muzeów, podobno same grają.

Można długo spacerować po Cremonie i nie usłyszeć żadnego dźwięku. Nawet wyobraźnia nic nie chce podpowiedzieć, bo uparła się, by wybrać się gdzieś tam daleko na koncert wirtuoza, któremu ktoś powierzył cenny instrument sprzed wieków. No cóż, uliczny skrzypek nie ma Stradivariusa.

Tak, w Cremonie zazwyczaj nie słyszy się żadnej muzyki. Nawet, gdyby wsłuchiwać się z uwagą w każdy zaułek, wyteżać słuch na każdym placu i na każdej ulicy. I nic.

I dopiero, gdy zobaczy się tutejszą katedrę z jej wyniosłą wieżą i fascynującą fasadą, usłyszysz się koncert jakby tysiąca skrzypiec. Można wtedy długo siedzieć przed katedrą, potem spacerować przed nią i wokół niej, a koncert będzie trwał i trwał. Egzaltacja także. Trwać będzie do dziś.

## Bolonia



Dziesiątki, setki wspaniałych renesansowych pałaców, wszystkie z podcieniami, pod którymi przechodnie nie muszą się bać ani deszczu, ani upału. Można kilometrami chodzić po tym mieście i nie bać się przykryj pogody.

Także w Bolonii wszystkie ulice prowadzą na główny plac miejski. Tu są aż dwa splecione ze sobą: Piazza Maggiore z niedokończoną fasadą wielkiego kościoła San Petronio oraz Piazza Nettuno ze wspaniałą fontanną i rzeźbą Neptuna. Łączą je dostojne średnio-wieczne pałace municypalne. W Bolonii nie sposób pobłądzić, gdyż niedaleko, też w centrum, przy Piazza dei Porta Ravegnana stoją dwie wyniosłe wieże, które pozostały z kilkuset, jakie w średniowieczu górowały nad miastem. Teraz jedna, ta mniejsza, jest mocno przechylona, ale i tak dzielnie się trzyma. W prześwitach obie wieże widać z daleka.

Spacerując po mieście nieustannie coś się odkrywa, więc i tak nigdy się nie pobłądzi. Pewnie największym odkryciem pozostanie Abbazia di San Stefano – zespół kilku średnio-wiecznych kościółków tworzących misterną strukturę. Może to właśnie tu chce się najczęściej wracać w tym mieście, i patrzeć na San Stefano od środka i od zewnątrz, a także otwartymi i zamkniętymi oczami. I zastanawiać się, kiedy widać więcej i lepiej.



Ktoś od dawna tu zapraszał – może cienie rodu d’Este, a może filmowe cienie Michelange-  
la Antonioniego, który tu się urodził. Zamków i budowli pozostałych po d’Este jest tu peł-  
no. Panoszą się i przygniatają miasto. Nawet piękna katedra jest przy nich jakaś nieśmiała.  
Nie wznosi się zbyt wysoko do nieba – jakby bała się, że zostanie skarcona przez dawny  
potężny ród. Tyle że nie bardzo wiadomo, co stało się z tym rodem, a katedra jednak trwa  
od siedmiu wieków. Gdy oświetli ją południowe słońce, także katedra nabiera odwagi –  
odwagi podobania się.

Cieni Antonioniego lepiej jednak szukać w jego filmach. Tu raczej nie znajdzie się wie-  
le z ich scenerii, a do muzeum jemu poświęconemu nie zawsze można dotrzeć. I dobrze.  
Celuloid czasem okazuje się trwalszy i potężniejszy od grubych murów.

Tym można się pocieszać i wyjechać z lekkim rozczarowaniem. Nie tyle wobec miasta,  
ile wobec własnych oczekiwań. Miasto pokazało wiele.

## Parma



Tyle skojarzeń wywoływała ta nazwa: *Pustelnia parmeńska* Stendhala, znakomite sery parmezan i jeszcze bardziej znakomite szynki. Co tu bardziej smakuje? Trudno porównać. Zresztą – po co?

Kiedy przejdzie się imponującymi podcieniami gigantycznego Palazzo Pilotta rodu Farnese nawet nie dostrzeże się, że coś mu ubyło wskutek zniszczeń wojennych. Nadal jest wielki i potężny. I surowy (nie taki, jak późniejsze pałace tej rodziny w Rzymie, gdy już zostawali kardynałami i papieżami).

Za to średniowieczna katedra jest wysmakowana – ma piękne proporcje i filigranowe zdobienia elewacji. Sąsiadujące z nią baptysterium, mimo że ma pewnie z siedemset lat, sprawia wrażenie jakby zbudowano je za czasów Mussoliniego ku „chwale ojczyzny”.

Wędrujemy dalej. Więc jeszcze wiele kościołów i pałaców (ale renesans nas nie interesuje – jest za „młody” – szukamy epoki romańskiej). O dziwo, nie znajdujemy żadnych serów ani szynek. Dobrze. Lepiej zapamiętamy Palazzo Pillotta, katedrę i jej wewnętrzne przepiękne malowidła z pracami Correggia na czele. Także wtedy, gdy nie bardzo możemy rozróżnić, które to są pośród bogatej galerii tego kolorowego panoptikum.



Nie należy odwiedzać tego miasta w niedzielne popołudnie. Jest puste i nudne. Nawet nie ma kogo zapytać o to, gdzie jest miejscowa katedra – podobno jedna z piękniejszych w tej części Włoch. Kiedy długo kluczy się po mieście i w końcu znajduje Piazza Duomo, katedra okazuje się częściowo schowana za rusztowaniami. Na szczęście, nie przesłaniają jej urody.

Szukając katedry mija się gigantyczny Pallazzo Ducale – to tu przed wiekami przeniósł się z Ferrary ród d'Este. I przeniósł swą gigantomanię, tyle że już w barokowym wydaniu. Teraz jest tu szkoła wojskowa, co nie dodaje budowli subtelności.

W Modenie produkowane są wspaniałe samochody: Maserati i Ferrari. Ktoś myślałby, że po mieście przemykać będą często z piskiem opon. Nic z tego – co najwyżej czasem snuje się jakiś fiat czy opel. Ot, niedzielne popołudnie. Może więc warto tu przyjechać choćby po to, żeby upewnić się, iż niedzielne popołudnia wszędzie są nudne. W przełamaniu znudzenia nie pomogą nawet rozmyślenia, czy to niedziela lubi nudę, czy przeciwnie – nuda dobrze czuje się w niedzielę.

## Rawenna



Rawenna to pomost między Bizancjum a europejskim Zachodem. Długo można wpatrywać się we wspaniałe mozaiki w kościele San Vitale. Podnosić głowę, jakby wpatrując się w niebo. (A może to było niebo?) Złoto i kolory wprowadzają niebiański blask do mrocznej świątyni.

W Rawennie jest też wiele starych romańskich świątyń i bizantyńskich mozaik, które chce się zobaczyć, oraz wiele wspaniałych starych ulic i placów, przy których stoi wiele gotyckich i renesansowych kościołów i pałaców. I pewnie w Rawennie kochają poetów (wszak kiedyś przytulili tu Dantego wypędzonego z Florencji – którego grób znajduje się przy ulicy jego imienia).

Jednak w tym mieście szuka się przede wszystkim wspaniałych miejsc z cudownymi bizantyńskimi mozaikami z V i VI wieku, chodząc od San Vitale i mauzoleum Galii Placidii, poprzez Bazylikę Neoniano aż do wspaniałego kościoła Sant'Apollinare Nuovo. Tak odnajduje się Rawennę i tak się ją zapamiętuje.

Żeby uniknąć poczucia własnego patosu po obejrzeniu tych wspaniałości, należy przysiąść gdzieś na skwerze i chrupiąc herbatniki popatrzeć obok na małą stokrotkę.



Jest tu podobno najdłuższa plaża w Europie, ale nie ona jest najważniejsza. Jest stary rzymski most z czasów Tyberiusza. Jest imponująca brama miejska z wczesnego średniowiecza. Jest wreszcie Palazzo Podesta z XIV wieku oraz o stulecie późniejsze Tempio Malatestiano zbudowane (a właściwie przebudowane) dla Sigismonda Malatesty – jednego z największych rozpustników i łotrów tamtych czasów. Na szczęście, dzisiaj na mieście nie ciąży tamte dawne upiory. Jego stara zabudowa, jego zaułki i fontanny są równie urocze i sympatyczne, jak w innych włoskich miastach.

Błądząc po Rimini można szukać śladów Federica Felliniego, który tutaj się urodził i tu spędził wczesną młodość. Trudno jednak te ślady wytropić, podobnie jak trudno odnaleźć fragmenty Rimini w filmach Felliniego. Owszem, jest ta atmosfera, są dyskretne nawiązania do pewnych miejsc, ale przestrzeń Rimini nie są ilustracją jego filmów.

Ostatni ślad można jednak znaleźć na miejskim cmentarzu, gdzie znajduje się grób Federica Felliniego i Giuletty Masiny. Trudno pojąć, dlaczego jest tak niegustowny. Choć kto wie, czy światowy reżyser nie wykorzysta go gdzieś przekornie w scenografii jakiegoś filmu, który może teraz tworzy w zaświatach.

## Sycylia

Wyspa bogata jak kontynent – z której kiedyś tylu ludzi emigrowało. Bogata w historię i bogata w pejzaże. Jest włoska, ale jest też niezależna. Choć niektórzy przybysze boją się jej, jest przecież przyjazna. I szczodra. Pokazuje swą różnorodność poczynając od starożytnych Greków po średniowiecznych Normanów i nowożytnych Hiszpanów. Pokazuje się, gdy podróżny objeżdża ją wokół, i pokazuje się od środka. Nigdy jednak całkowicie. Zawsze pozostawia jakąś tajemnicę – pewnie dla swoich.



Jest to miejsce, z którego dobrze jest zacząć poznawanie wyspy – miejsce, które urzeka natychmiast i bezwarunkowo. To nic, że Taormina jest droga i wysmakowana, może też nazbyt powabna. Jest taka na wszelki wypadek: gdyby podróżny nie miał już czasu dalej podróżować po Sycylii. Wtedy i tak zabierze ze sobą bardzo dużo dobrych wrażeń. I będzie chciał wracać – do Taorminy, i na Sycylię.

Kiedyś przyjeżdżali tu pisarze; kiedyś powstawały tu wybitne dzieła literackie. Teraz już nie ma wybitnych pisarzy – są jedynie dostawcy czytań. Szkoda, bo przecież Taormina trwa i może pomóc. A może jej wysmakowanie jest już w niezgodzie z literacką współczesnością?

Nieważne jak długo podróżny tu przebywa – zawsze będzie miał poczucie, że zbyt krótko. A kiedy wyjeżdża, natychmiast zaczyna marzyć o powrocie. Aby tak się stało, na wszelki wypadek niech teraz nie zwiedza wspaniałego greckiego teatru ani trzynastowiecznej katedry. Zostaną na następną okazję, a póki co, niech mu wystarczą uroki samego miasta.

## Syrakuzy



Syrakuzy to zarówno wyspa Ortigia, jak i lądowa część miasta, jednak już bardzo zespoliczone. To miasto jest pewnie bardziej sycylijskie od Taorminy. Jest bardziej różnorodne i chaotyczne; jest zarówno eleganckie, jak i zaniedbane; jest tak piękne, jak cała wyspa, i tak biedne, jak emigranci, którzy stąd wyjeżdżali kiedyś w świat. Czasem też przerażające, jak podziemne kamieniołomy, w których umierali antyczni niewolnicy podsłuchiwani przez tyrana Dionizjusza. Przy odrobinie wyobraźni, ich jęki można słyszeć do dziś.

Na szczęście ze starożytności pozostało tu wiele więcej śladów: świetnie zachowany teatr grecki oraz amfiteatr rzymski, a także kolumny z antycznej świątyni Ateny wbudowane w boczne ściany barokowej katedry. No i mityczne źródło Aretuzy, którym inspirowało się wielu twórców – między innymi Szymanowski i Iwaszkiewicz. Pewnie więc miał rację Ciceron, który uważał Syrakuzy za najpiękniejsze miasto ówczesnego świata.

Teraz jest tu także wiele dziewiętnastowiecznych mniej lub bardziej biednych kamienic i uliczek, zaułków i placów. Gdy spaceruje się po nich w upalny dzień, wydają się trochę smutne. Tego smutku nie potrafi rozmyć nawet źródło Aretuzy.



To miasto powinno się podobać, a jednak nie zawsze się podoba i nie wszystkim.

Może podobałoby się owo antyczne Noto, które tu istniało do 1693 roku, kiedy zostało zniszczone w wyniku strasznego trzęsienia ziemi. Noto odbudowane w XVIII wieku jest ilustracją podręcznika barokowej sztuki budowlanej. Jest ozdobne i pyszne, a jednak jest nieco nudne. Żłocisto-ławy kamień, z którego zostało zbudowane, ma dodawać mu ujmującej barwy, ale jeszcze tę nudę powiększa. I nie rozprasza jej wspaniałe detale architektoniczne, imponujące fasady ani balkony.

Podróżnemu może być trochę wstyd i trochę przykro, gdy Noto mu się nie podoba tak, jak powinno i tak, jak na to pewnie zasługuje. Ot, kolejne potwierdzenie tajemnicy podobań się. Może jej rozwiązanie zostało pogrzebane w ruinach dawnego miasta?

## Mazzara del Vallo



Gdy podróżny pojawia się w miejscu, którego nie zna, o którym nic nigdy wcześniej nie słyszał, a miejsce to zachwyci go, to nie wie, komu być wdzięczny: przypadkowi czy temu miejscu. Gdy nic wcześniej nie słyszało się o Mazzara del Vallo, można być zdumionym niespodziewaną urodą tego niewielkiego nadmorskiego miasteczka, które za plecami miało Sycylię, a przed sobą Afrykę.

Miasteczko wydobywa się z zaniedbania, a właściwie odkrywa w sobie dawną uroczą wspaniałość. Wydobywa się spod prowizorycznych rusztowań, spod zruinowanych fasad, zza zabarykadowanych dawno temu uliczek. Błądząc wąskimi uliczkami odnajduje się piękne fasady niewielkich kościołków barokowych, czasem wyrasta gdzieś fragment starych murów obronnych, niekiedy budowla, która dawno temu musiała być meczetem albo inna, która była kiedyś pałacem lokalnego możnowładcy. Do tego dziwne, wielkie i rozłożyste drzewa, których korona i korzenie tworzą kształt klepsydry. To dobra metafora dla Mazzara del Vallo. Spacerując tutaj, nie spotykało się przyjezdnych, a i mieszkańców też niewielu. W ciszy słyszało się więc te wieki, które powoli przesuwwały się poprzez wąskie uliczki, by z niedowierzaniem pojawić się nad szerokim wybrzeżem morza.



Po latach mogą się mylić: w którym z nich był ten piękny zaułek, albo ta fasada zapomnianego kościoła, albo ten skwer, przy którym piło się dobrą kawę? Jedno jest jednak pewne: to w Marsali produkują ciężkie mocne wina, a w Trapani był duży targ rybny, gdzie można było kupić całego tuńczyka. Nie, w żadnym z tych miast lepiej nie kupować ani słodkiego wina, ani wielkiego tuńczyka; lepiej gdzieś kupić od ulicznego sprzedawcy kiść słodkich winogron, a od drugiego wspaniałe oliwki w zalewie ziołowej. I spacerować po jednym czy drugim mieście nawet nie starając się zapamiętać nazw ich uliczek, placów ani fasad starych budowli.

Pewnie mieszkańcy obu miejscowości byliby oburzeni, gdyby dowiedzieli się, że jacyś podróżni po latach będą mylili ich uroczne miasta płacząc ze sobą ich kościoły i pałace. Szkoda, że nigdy nie dowiedzą się, jak bardzo te miasta podróżnym się podobały i jak długo jeszcze będą po nich spacerować zjadając słodkie winogrona i zaglądając w zaułki i dziedzińce starych domów.

## Erice



Tego miasteczka nie da się pomylić z żadnym innym. Położone na wyniosłej skale jest jednym z najlepiej zachowanych kamiennych reliktywów średniowiecza. W czasach greckich było miejscem kultu Wenus, potem osiedli tu Arabowie, później Normanowie. W ostatnich kilkudziesięciu latach nikt tu nie mieszkał; dopiero teraz pojawiają się niekiedy turyści, czasem uczestnicy jakichś sympozjów czy konferencji.

Erice jest zbudowane z szarego omszałego kamienia. Może więc bardziej pasowałoby gdzieś w ponurym miejscu północnej Europy, a nie tu – pod błękitnym niebem sycylijskim i w pobliżu równie błękitnego Morza Śródziemnego. Jednak błądząc jego uliczkami, mijając opuszczone kamienne domy i nieużywane kościoły, nie przejmujemy się tą rzekomą niestosownością. Cieszymy się chłodem kamiennych ścian, cieszymy się ciszą i echem, które wzbudzą nasze kroki. I w milczeniu liczymy na to, że i nas wesprze ta Wenus, do której świątyni kiedyś zjeżdżali tu z dalekich miejsc wszyscy, którzy oczekiwali miłości.

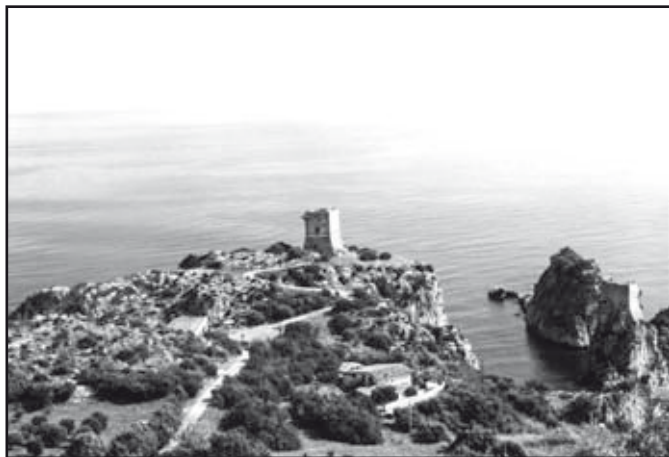
Gdyby ta wiara miała zawieść, warto pocieszyć się tu najlepszym na całej Sycylii smakołykiem: cannoli wyrabianym z owczej ricotty.



Już same nazwy tych miejsc brzmią niezwykle i niosą niezwykle obietnice. Bo też tylu za-  
bytków greckiej architektury już nigdzie nie znajdzie się w Europie. Jeżeli jeszcze podróż-  
ny był w Paestum (albo wybiera się tam), to jego doznania są już pełne. I nieważne, czy  
oglądał te świątynie w pełnym słońcu, przy zachmurzonym niebie czy w mżawce. I tak,  
patrząc na starogreckie świątynie, widzi się je zawsze w słonecznej aurze i przy błękitnym  
niebie – a przynajmniej takie wrażenie zazwyczaj się zapamiętuje.

Będą myliły się same świątynie i może ulegną zapomnieniu ich nazwy i bogowie, któ-  
rym kiedyś je poświęcano, będą myliły się ich kształty i lokalizacje (za wyjątkiem Segesty,  
która dzięki swemu położeniu jest jedyna i niepowtarzalna), będą myliły się kolumny,  
gzymsy, tympanony i architrawy. Będą też myliły się pinie i drzewa oliwne, które nieda-  
leko nich porastają. Nigdy jednak nie zostaną zapomniane modlitwy do historii i sztuki.  
I własna obecność w tych miejscach.

## Scopello i San Vito lo Capo



Na długim i często poszarpanym wybrzeżu sycylijskim niekiedy znajdują się niewielkie i szerzej nieznane urocze miejscowości. Są dyskretnie schowane w jakiejś zatoczce albo ukryte pomiędzy wystającymi z wody skałami. Gdy się do nich dotrze, zapomina się o całej wyspie, a nawet o reszcie świata.

Dobrze, że są nieznane, bo nie ma w nich jeszcze gigantycznych hoteli ani rzeszy turystów. Jest za to kilka wybrukowanych kamieniami uliczek, małe kościółki, jakaś stara studnia. I tylko niekiedy jakaś kawiarenka czy winiarnia. Zawsze też długa czysta plaża, słońce i błękitne niebo. I niebieskie morze, które uroczo kłamie zapewniając przybyśza, iż jest tutaj tylko dla niego. I jest ta jedna jedyna fala, na którą musi on poczekać, gdy dyskretnie mrugnie do niego, dając do zrozumienia, aby się jednak nie łudził.



Stolica Sycylii jest jak cała wyspa: bogata w historię, słoneczna i tajemnicza. Gdy pozna się najbardziej znane atrakcje miasta – Palazzo Reale, katedrę, nieczynny już kościół San Giovanni degli Eremiti zbudowany w dawnym meczecie, kościół Santa Caterina i sąsiadującą z nim imponującą fontannę Pretoria, a wreszcie katakumby w klasztorze kapucynów z tysiącami upiornych mumii – trzeba zanurzyć się w labirynt jego ulic.

Czuje się, iż jest to miasto bardziej egzotyczne niż inne i jakby nierozpoznawalne. Za barokowymi, choć zniszczonymi fasadami feudalnych pałaców jest coś, czego nawet się nie domyślamy, czego może nie domyślają się nawet potomkowie ich właścicieli. Bramy do nich wydają się nie otwierane od lat, a okna są tak zasłonięte, jakby kryły jakieś mroczne grzechy.

Po zobaczeniu Cappella Palatina podróżny może nie mieć już sił, by dotrzeć do Cefalù, może jednak dotrzeć do Monreale. Gdy nie dostanie tam obłędu od blasku niezwykłych mozaik we wnętrzu kościoła, niech wejdzie na klasztorny dziedziniec. Żeby dalej uchronić się od obłędu, niech tu nie porównuje setek kolumn w bajecznych krużgankach, bo każda z nich jest inna. A na wszelki wypadek niech już opuści wyspę ostatnim spojrzeniem spoglądając na Monte Pellegrino i zastanawiając się, dokąd go jeszcze powiedzie ta Góra Pielgrzyma.

## Z północy na południe

Po Włoszech można też podróżować mniej systematycznie – jakby z pominięciem granic i odrębności regionów. Można w ten sposób stworzyć sobie własny naszyjnik miejsc i miast – naszyjnik, którego kompozycja zależy może bardziej od przypadku czy od drugorzędnych okoliczności, a nie wynikać ze świadomego planu. Po latach może się jednak okazać, że właśnie ta kompozycja tworzy najpiękniejszy i najbogatszy katalog przeżyć.



Ilekcroć bywa się w Wenecji, tylekroć jest się nią zachwyconym. W słońcu, w deszczu, a nawet we mgle. Gdy widzi się ją pierwszy raz, podejrzewa się jednak, że tak naprawdę to miasto nie istnieje. Przybysz nie może pojąć, że rzeczywiście je widzi, że pływa po kanałach Wenecji i chodzi po jej ulicach i placach. Że patrzy na Pałac Dożów, na Bazylikę św. Marka, na Santa Maria della Salute, że ogląda na własne oczy dziesiątki pałaców i kościołów. Przede wszystkim ogląda na własne oczy tysiącletnią historię *Serenissimy*, która, choć zbudowana na wodzie, ciągle trwa. Rozkołysana w falach laguny zatrzymała się jakby w transie.

Gdy podróżny stwierdza, że jednak to miasto istnieje w rzeczywistości, dziękuje za to samej Wenecji. To wyznanie wywołuje w nim zażenowanie, ale co jeszcze może powiedzieć? Owszem, może milczeć. Kamienie Wenecji lubią nasze zafascynowane milczenie w rytmie fal Canale Grande. Te kamienie też są ciche, choć same przez wieki tyle słyszały. Więc i teraz lepiej słuchać ich w ciszy.

## Padwa



Padwa to nie tylko Bazylika św. Antoniego, stary uniwersytet i Cappella degli Scrovegni z freskami Giotta. Mało kto współcześnie modli się i studiuje jednocześnie. Ot, czasem w poszukiwaniu jakiejś zguby westchnie sobie do św. Antoniego, a piękny stary uniwersytet padewski odwiedza jako turysta.

Spacerując pod średniowiecznymi krużgankami bazyliki i renesansowymi uniwersytetu odnajduje się oczywiście przeszłość. Odnajduje się też siebie samego, który gdzieś zgubił przeszłość, a teraz, choćby na chwilę, odnalazł ją w sobie.

Potem spacer średniowiecznymi uliczkami Padwy. Dla utrwalenia tych odczuć, dla zobaczenia przeszłości w sobie. Kto ma dość odwagi, odnajdzie także siebie w kontekście przeszłości. Inna rzecz, że nie wiadomo, czy podróżując chcemy właśnie siebie odnaleźć i zobaczyć. Często chcemy siebie zgubić: zgubić tego, kim się jest, i odnaleźć siebie, jako kogoś innego. Może to dokonać się właśnie w Padwie, choć nie wiadomo, czy koniecznie potrzebny jest do tego św. Antoni.



Do Werony przybywają zakochani i ci, którzy chcą być zakochani. Wierzą, że jeżeli spojrzą na balkon, na którym rzekomo stawała Julia, i dom, w którym rzekomo mieszkał Romeo, ich własna miłość rozkwitnie. Niech i tak będzie, choć pewnie miłość ma inne źródła niż miejskie legendy – nawet wzbogacone przez Szekspira.

Ale w Weronie jest wiele innych miejsc godnych prawdziwej miłości, a przynajmniej adoracji. Jest wspaniale zachowany rzymski amfiteatr. Są ogromne średniowieczne mury miejskie tworzące imponującą kurtynę, obok której rozciąga się wspaniale renesansowe miasto ze średniowiecznymi ingrediencjami. Jest monumentalna katedra Santa Maria Matricolare. I to wszystko nie jest rzekome, nie jest utkane z legendy. Jest tak dotykalne, jak dotykalne i autentyczne są nasze zachwycone spojrzenia.

Nie znajdzie się w Weronie odpowiedzi na pytanie o źródło miłości, bo jej źródłem pewnie jest po prostu miłość. Ale nie znajdzie się też odpowiedzi, jakie jest źródło nienawiści różnych Montekich i różnych Capulettich. I znowu, najprościej byłoby odpowiedzieć, że jest nią nienawiść. Tylko czy takie proste odpowiedzi nie są nietaktem wobec Werony?

## San Marino



Stara mała republika. Enklawa we włoskim bucie – jak dziurka od sznurowadła. Zdziwienie, że nikt nie chciał połączyć tego państewka o wielkości niedużego powiatu. Ot, tajemnica dziejów politycznych.

Tani alkohol, kosmetyki i aparaty fotograficzne. I ekspedienci przyuczeni do rozmów w różnych językach.

Małe jest jednak piękne. San Marino jest piękne. Starym krzywym uliczkom nie przeszkadzają tanie sklepy, a budynkom rządowym nie przeszkadza, że gdzie indziej, w budynkach podobnej wielkości urzędują burmistrze. Ot, skansen dawnej demokracji w miniaturze.



Dobrze mają rzymianie: nie tylko u siebie mają wspaniałe miasto, ale jeszcze na dodatek niedaleko mają Ostię i Tivoli. Weekendowe wypady można kierować do miejsc tak bliskich przestrzennie, a tak odległych historycznie (choć czy dla rzymian starożytny Rzym może być odległy historycznie?).

W Ostii – tym dawnym porcie Rzymu – można spacerować po starej Decumanus Maximus dochodząc do forum, ruin świątyni i teatru. Można spacerować po historii nie opuszczając współczesności.

W Tivoli okazała willa Hadriana obejmuje rozległe tereny z dobrze zachowanymi ruinami budowli i wieloma rzeźbami. Są tam sadzawki i ogrody – wszystko, co było przeznaczone kiedyś dla jednego cesarza na emeryturze, teraz może być dla wszystkich.

A swoją drogą: można zastanawiać się, czy dawne dzieła architektury i sztuki, gdy skończyła się epoka, w których powstały i były użytkowane, też przechodzą na emeryturę? Są stare, często okaleczone, ale to zazwyczaj na swój sposób dodaje im werwy. Nie – to, co przetrwało z przeszłości, nigdy się nie starzeje. Starzeje się, lepiej lub gorzej, tylko współczesność. Szczególnie, gdy za wszelką cenę chce być młoda.

## Monte Cassino



Tu nie pomagały modły benedyktynów, gdy obok lała się krew i siało zniszczenie.

Gdy wygodny autokar z rozleniwionymi turystami pnie się pod górę, pewnie nikt nie myśli o tym, jak trudne musiało być zdobywanie tego bastionu. Patrząc na zbocze wydaje się to wręcz niemożliwe. Dzisiaj odbudowany klasztor i cmentarz polskich żołnierzy są już tylko swoistym pogłaskaniem czasu, jego uspokojeniem.

Nie wiadomo, do kogo modlą się dziś turyści na Monte Cassino. Może do bohaterstwa? Albo do wygnania? A może do pokoju? Pewnie należałoby tu napisać: o bohaterstwo, o brak wygnania, o pokój! W spełnieniu tych modlitw nie pomógł stary klasztor, można zatem mieć wątpliwości, czy pomoże ten nowy, odbudowany. Modlący się pewnie wierzą w to, że trzeba choćby próbować.

Monte Cassino to piękna nazwa. I piękne miejsce – nawet bez kwitnących czerwonych maków.



Kiedyś konkurowała z Wenecją. Teraz, gdy obie straciły dawne znaczenie gospodarcze i polityczne, mogą jedynie konkurować o uznanie turystów lub historyków sztuki. I tu Wenecja jest ciągle jedyna i niepowtarzalna, zaś Genua, choć interesująca, jest jednak tylko jednym z wielu ciekawych włoskich miast.

Kiedy patrzy się na port ze starą latarnią morską i repliką jednego ze statków Kolumba, kiwa się z uznaniem głową. Potem katedra San Lorenzo i Palazzo Ducale (jednak skromniejszy niż wenecki Pałac Dożów). Duże wrażenie robią średniowieczne pozostałości (bo nie można powiedzieć: ruiny) klasztoru Sant'Andrea. Krużganki te przyciągają pary, które tu coś sobie w ciszy wyznają. Zobaczy się też imponującą bramę Porta Soprana oraz dom, który uchodzi za rodzinną siedzibę Krzysztofa Kolumba (no cóż, można w to wierzyć lub nie). Potem zapuszcza się w wąskie uliczki – takie same jak w setkach innych miast południa, i z taką samą suszącą się na sznurach bielizną.

Chodzi się po Genui, kiwając z uznaniem głową, ale wraca się do portu, skąd odjeżdża się lub odpływa, bez szczególnego sentymentu. Może chciało się tu znaleźć dawną wielkość, a znalazło tylko strzępy historii. I okruchy poezji. Może jednak nie jest to mało?

## Portofino



Cała Liguria jest wspaniała. Szkoda, że jej nadmorskie miasteczka są trudno dostępne, także do Portofino niełatwo dotrzeć. Może najwygodniej dopłynąć tu łodzią z Santa Margherita, tylko że wtedy podróżny najpierw znajdzie się w konkurencyjnym kurorcie. Nie wiadomo czy ładniejszym, ale większym i pozbawionym legendy Portofino.

Portofino zasługuje na swoją nazwę i na swoją legendę, którą kiedyś, przed półwieczem, wyrażała znana piosenka Dalidy. Kto dziś ją śpiewa? Kto dziś ją pamięta? Tak czy inaczej, zgodnie ze słowami tej piosenki warto być „tamtego roku w Portofino”. Jeżeli nie „tamtego”, to jakiegokolwiek. Nawet gdy przyjedzie się do Portofino niestety zbyt późno, by zaśpiewać ją wraz z Dalidą. I gdy zdąży się jeszcze tylko obejrzyć jedną z nowel filmowych Antonioniego, której akcja dzieje się w tym miasteczku. Ale on też już nie żyje.

Nie wiadomo, czy Portofino musi być „ostatnim portem”. Jest tak piękne, że nie powinno kojarzyć się z niczym, co przywołuje jakiś koniec – nawet jeżeli ma to być tylko koniec półwyspu. I legenda w kolorze ochry i smutku.

## Cala Ganone (Sardynia)



Z licznych objazdów po wyspie niewiele zostaje. Przelotny pobyt w Orisiano, Cagliari, Nuoro. Została pamięć szarych, dość dzikich i niezamieszkałych wzgórz – rozległych przestrzeni pozbawionych mitologii, choć nie pozbawionych smutnego jesiennego uroku, który ubarwiały kłujące owoce opuncji. Nawet niewiele widać starych miast włoskich – jakby na Sardynii ich nie było.

Tak więc Sardynia niektórym turystom musi się kojarzyć jedynie z Cala Ganone – niedużym nowym miasteczkiem nad Morzem Tyrreńskim, które chce być kurortem. Są tam ogromne głazy chroniące plażę i nadmorski bulwar od fal oraz palmy, które już zdążyły urosnąć. I cykady, które w drugiej połowie września dają nocne koncerty. I pokój dla samotnika zawieszony nad przepaścią opadającą stromo do morza.

Przybysz znajdzie jednak w tym miejscu swą małą mitologię. Bo przecież jeszcze były w pobliżu tajemnicze, prehistoryczne kamienne nuraghi. Można mieć złudzenie, że gdy dotrze się do jednego z nich, jest się tam pierwszym współczesnym przybyszem.

## Neapol



„Zobaczyć Neapol i umrzeć” – jak pięknie i przekonująco to brzmi. Jednak już nikt nie umiera po obejrzeniu Neapolu. I nie wiadomo, czy kiedykolwiek umierał (może za wyjątkiem marynarzy, którzy kiedyś odwiedzali tu podejrzane panienki). Neapol nie tylko nie jest wart niczyjej śmierci, ale nie jest nawet wart zwykłego zachwytu.

Owszem: port, zamek Andegawenów, Palazzo Reale, galeria Umberto I, robią wrażenie. I pewnie jeszcze wiele innych obiektów oraz malowniczych, choć zaniedbanych uliczek schodzących amfiteatralnie do portu. Jednak nie każdy umie zachwycić się tak widokiem Neapolu, jak i jego specyficzną atmosferą. Ktoś taki nie potrafi polubić Neapolu ani jego miejskiego folkloru. Tym bardziej jego śmieci i poczucia niepokoju.

Można jednak zachwycić się Zatoką Neapolitańską – czy to oglądając w nocy z perspektywy nadmorskiej drogi do Sorrento, czy w południe z wierzchołka Wezuwiusza, czy nad ranem z perspektywy promu przybijającego do Neapolu, czy po prostu z neapolitańskiego portu. Trzeba tylko uważać, by nie zacząć zachwycać się własnym zachwytem.



To dla większości osób pierwszy po Forum Romanum większy obszar wykopalisk starożytnych, który oglądają.

Można tu zachwycać się wszystkim. Zachwycać się tym, że widzi się bezpośrednio to, co tylekroć wcześniej oglądało się na ilustracjach. Zachwycać, ale i nie dowierzać tym zachwytom, a właściwie temu, że Pompeje są jednak realne. Zachwycać się namacalnością wszystkiego, co pozostało tu ze starożytności. Zachwycać się rozległością obszaru dawnego miasta, a dzisiejszych wykopalisk. Zachwycać się samym rzymskim miastem, jego kulturą, jego ówczesnym rozwojem i jego wyrafinowaniem. Przykro to stwierdzić, ale zachwycać się też nieopisaną tragedią tego miasta – tragedią, która po 2 tys. lat stała się niemal mitem. Czy nie za dużo tych zachwyków?

Może jednak najbardziej można się zachwycać w Pompejach ich dzisiejszą poetyką. Bo te wszystkie zachwyty zlewają się w poczucie, że ogląda się tu coś bajecznego, coś, co właściwie nie może istnieć, a co jednak dziwnie istnieje wydobyte spod wielometrowej warstwy popiołu.

## Sorrento



Sorrento spełnia wszystkie marzenia i wyobrażenia o włoskim nadmorskim kurorcie. Jest piękne i nobliwe, interesujące i obiecujące.

Nawet jeden dzień i jedna noc spędzone w tym mieście pozwalają odkryć jego czar. Nie mówiąc już o bajecznej nadmorskiej drodze, która prowadzi do Sorrento i dalej – na południe do Kalabrii. W jeden dzień i jeden wieczór nie można jednak w pełni posmakować miasta. Można się z nim przywitać, zobaczyć, pomarzyć. I przypomnieć sobie tę przyjaźń, która zawarta została z dala i przed laty dzięki znanej piosence (*Wróć do Sorrento*). I jeszcze coś zapamiętać – jak choćby gigantyczną nadmorską skałę, na której wznosi się część miasta, i wzdłuż której trzeba schodzić i wchodzić do niego po kamiennych schodach; jak choćby wewnątrz jakiegoś mieszkania, do którego otwarte okno wprowadziło nasze przypadkowe spojrzenie.

Jak więc poradzić sobie ze słowami tego dawnego przeboju, który namawiał, by wrócić do Sorrento? Po prostu: dosłownie.



Jest piękne mimo kiczowatej mitologii. Jest urocze mimo bogactwa. Jest prawdziwe mimo sentymentalnej starej piosenki (*Pamiętasz Capri, tę wyspę kochanków?*).

Capri można poznawać od różnych stron. Można je opływać docierając do nadmorskich grot (także tej rzekomo lazuruwej) i skał (także I Faraglioni). Można wpłynąć do Marina Grande z jednej strony lub Marina Piccola z drugiej. Można wreszcie przejść wyspę w poprzek – właśnie od Marina Grande do Marina Piccola – i z powrotem. Najlepiej drogą zakosami, wśród pięknych a osamotnionych willi i rezydencji, pomiędzy bajecznymi ogrodami. Po drodze, na wzniesieniu jest małe olśnienie – stare miasteczko, jeszcze średniowieczne, w którym jest labirynt uliczek, romański kościółek i kolekcja starych dobrze zachowanych samochodów (nowych nie można już rejestrować).

Pora wracać – tą samą drogą. Ile mitologii udało mi się tu ocalić? Ile rzeczywistości udało się na nowo zmitologizować? Na Capri nie chce się ich rozdzielać – zresztą nie trzeba.

## Paestum



Można by się spierać, czy ta nazwa jest ładniejsza, czy też dawna – grecka – gdyż miasto, założone już w VI wieku p.n.e., nazywało się kiedyś Posejdonia. Można by też spierać się, która z ponownie odkrytych w XVIII wieku starych doryckich świątyń zapomnianego od dawna miasta jest najładniejsza: świątynia Hery, świątynia Neptuna czy świątynia Cerery. To byłyby próżne spory, bowiem surowa uroda tych wszystkich dobrze zachowanych budowli jest imponująca.

Gdy ma się szczęście oglądać je w pięknym porannym słońcu, gdy ich wygląd podkreślony jest otaczającymi je i jakby dyskretnie adorującymi śródziemnomorskimi sosnami pinii, wtedy ma się wrażenie, że ten stary grecki świat ciągle trwa w całej okazałości. Jednak nie – zaczyna powoli przybywać turystów, którym daleko do wzniosłości dawnych Greków. Przybywa też zmęczenia spowodowanego tymi przenosinami w odległy świat. Można wtedy przysiąść gdzieś z boku na odłamku starej kolumny i odpoczywając, zastanawiać się nad tym, czy bardziej zmęczyliśmy się wędrówką do przeszłości, czy może powrotem z niej.



To już jest daleko na południu Kalabrii. Miasteczko usytuowane na skalistym wzniesieniu przygląda się Morzu Tyrreńskiemu (albo przeciwnie: morze podgląda to miasteczko). Czasem odnosi się wrażenie, że lada podmuch strąci je ze skały. Ono jednak od wieków dzielnie się trzyma. I jest takie spokojne! Szkoda, że jest niewiele czasu, by pospacerować jego uliczkami czy zatrzymać się na którymś z placów. No cóż, trzeba powoli zmierzać do niezbyt odległej przystani, by stamtąd popłynąć dalej. Przedtem jednak można zejść na plażę, by tam wypatrywać Sycylię po drugiej stronie Cieśniny Messyńskiej. Już za kilka lat ma tu być zbudowany gigantyczny most. Póki co, jest tylko morze i promy. I za plecami wyniosła skała, do której przytuliła się Tropea.

Na południu Włoch jest wiele takich miast i miasteczek przytulonych do skał i wpatrujących się w morze. Kiedyś żyły one z morza, teraz żyją z turystów i wczasowiczów, którzy też tu zresztą dla morza przybywają. I trochę dla historii, która również polubiła te strony. To dobry kwartet: nadmorskie skały, stare budowle miasteczek, morze i historia.

## Tu i ówdzie w Europie Środkowej

Europa Środkowa nie ma swej tożsamości – jest ona jednocześnie spleciona i rozdarta: wschodnia i zachodnia, północna i południowa, płaska i górzysta, stara i nowa. I nie ma swej mitologii – może dlatego, że stanowi melanz tak wielu składników i splot tak wielu dobrych i złych historii. Jest też bardziej nasza niż inne obszary Europy. Takie przynajmniej mamy wrażenie. Na pewno jest jednak bliższa – przynajmniej pod względem geograficznym. Już coraz rzadziej od niej zaczynamy poznawanie kontynentu, zdarza się więc, że wcale jej nie znamy szukając egzotycznych miejsc.



Tu są dwa miasta: nowe, brzydtko postarzałe – za Dunajem – i stare, pięknie odnowione. Nic ich nie łączy – nawet wielki most i wieża widokowa. Nawet kawiarnia, z której rozciąga się widok na obie części.

Zamek w Bratysławie jest majestatyczny, ale surowy. Trzeba szybko stąd pójść i zagłębić się w uliczkach i placach Starego Miasta (nie patrząc po drodze na nowy budynek parlamentu, który nie umie się tu wpasować). Place, teatry, katedra... I nawet pieczone kasztany, których można tu posmakować i niekoniecznie wyjeżdżać w tym celu do Paryża na Place Pigalle.

Bratysława żyje sobie bez legend i mitów, nawet bez sławy (choć ma to słowo w swej nazwie). Podróżny znajdzie w niej jednak swoje oczarowanie – niech tylko otworzy oczy.

## Praga



Można Czechom zazdrościć wielu rzeczy i wielu walorów, a stolicy przede wszystkim – choć najmniej tego, że jest „złota”. Dobrze, że jest to jedynie slogan turystyczny, a Praga jest po prostu urocza i piękna. Udało się jej przejść poprzez dzieje zachowując urodę i wdzięk zarówno na imponujących Hradczanach, jak i w małych uliczkach, na Moście Karola oraz na Vaclavskiej Namiestii. Mówi się, że jest barokowa, i to prawda, ale jest też gotycka i renesansowa. Interesująca jest też Praga współczesna, bo nie boi się udanych eksperymentów.

Praga podoba się nie tylko wtedy, gdy z jej mieszkańcami pije się piwo i wspomina Szwejka. Także wtedy, gdy samotnie spaceruje się jej uliczkami szukając śladów Franza Kafki.

Jest tak blisko nas, że wielu boi się uwierzyć, iż może być tak piękna.



Piękna dostojność nanizana na Dunaj, podniesiona Górą Gellerta i wzbogacona gmachem Parlamentu. Równie piękna powściągliwość urodzona na Wyspie Małgorzaty i oplatająca setki ulic i niewielkich uliczek. Ich bramy pamiętają lęk, a jednak rozdają uśmiech i dyskretnie zapraszają. Zatrzymują pamięć, a przecież niosą spokój.

W Budapeszcie nie trzeba słuchać czardasza ani pić tokaj, by uśmiechać się do przechodniów i samemu odbierać ich uśmiechy. I wierzyć, że całe miasto uśmiecha się do nas. Wierzyć, że tylko do nas – przynajmniej tak długo, jak długo słyszeć czardasza i jak długo smakuje tokaj.

## Wiedeń



Wspaniały klejnot nieistniejącego imperium. Dotyk pięknej przeszłości w środku tego, co nazywamy współczesnością. Zamknięty w Ringu barwny motyl.

Po Wiedniu można spacerować bez obawy, czy zgubi się drogę – zawsze wraca się do tych samych miejsc. Hofburg i katedra św. Szczepana, parlament i Prater, grób Straussa i Opera. Wszystko w okręgu Ringstrasse. Środek w środku. Nawet sernik wiedeński i kawa wypita w Café Hawelka.

Czas – stary magik – tu znalazł sobie wygodny azyl. Tu chce odpoczywać. Tu chciałoby osiąść wielu emerytów w błogostanie piękna, bezpieczeństwa i spokoju. Tęsknotę za odległym morzem uspokajają „błękitne fale Dunaju”, a za chwalebłą przeszłością – pałac Schönbrunn. Jednak i on wie, że jest już tylko wspaniałym muzeum.



Berlin szuka swej niezwykłości. Wydobywa z przeszłości to, co kochał dawniej – Reichstag czy Bramę Brandenburską. Przetwarza to, co nienawdził niedawno – mur oddzielający dwie części miasta. Buduje to, co jest jego teraźniejszością – wiele imponujących szklanych domów. Myśli o tym, co może być jego przyszłością – liczne muzea i sale wystawowe. Berlin szybko dogania czas, który stracił. Próbuje też dogonić inne wielkie stolice europejskie, a pewnie po cichu próbuje je zdystansować.

Berlin jest bogaty i czysty, a berlińczycy uprzejmi. Muzea są tu wypełnione wspaniałymi zbiorami. Nowe dzieła sztuki czują się tu pewnie tak dobrze, jak liczni turyści.

A przecież przybysz nie znajdzie w Berlinie ani magii, ani nostalgii, ani marzeń. Gdy tego szuka, musi jednak wybrać się raczej do Paryża, Rzymu, Pragi czy Barcelony. A więc zacząć podróżowanie od nowa.

# perfekt prepress

- naświetlanie CTP
- naświetlanie CTF
- proof cyfrowy - certyfikacja ISO
- proof analogowy - z pantonami
- skanowanie

Perfekt Gaul i wspólnicy s.j.  
Świerzawska 1, 60-321 Poznań  
tel. +48 61 861 11 81-83, fax +48 61 861 11 66  
e-mail: [prepress@perfekt.pl](mailto:prepress@perfekt.pl), <http://www.perfekt.pl>